

**SANDRA BROWN**

***MIELI TYLKO  
SIEBIE***

## Rozdział 1

Wszyscy zginęli.

Wszyscy prócz niej.

Była tego pewna.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od wypadku ani jak długo tkwiła zgięta wpół, z głową na kolanach. Równie dobrze mogły minąć sekundy, jak minuty czy lata świetlne. Czas mógł też stać w miejscu.

Zdawało się, że rozdarty kadłub samolotu przechylał się bez końca, zanim z jękiem osiadł na ziemi. Okaleczone drzewa, niewinne ofiary katastrofy, przestały już drzeć. Teraz poruszały się jeszcze tylko niektóre liście. Wszystko zamarło w przerażającym bezruchu. Nastąpiła niczym niezmacona cisza.

Raptem zadała sobie pytanie, jak pada drzewo w lasach? Czy wydaje wówczas jakiś dźwięk? Tak. Usłyszała go. A więc musi być żywa.

Uniosła głowę. Jej włosy, ramiona i plecy pokrywały okruchy roztrzaskanego plastyku, który jeszcze niedawno był oknem tuż przy jej fotelu. Potrząsnęła lekko głową i odłamki posypały się z niej jak deszcz, wydając przy tym ciche, melodyjne dźwięki. W końcu zmusiła się do otwarcia oczu.

W jej gardle wezbrał krzyk, ale struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Była zbyt przerażona, by krzyczeć. Przed jej oczami roztaczał się okropny widok. Gorszy niż najbardziej koszmarny sen kontrolera ruchu powietrznego.

Dwaj mężczyźni siedzący na fotelach tuż przed nią - sądząc po ich głośnych, wręcz hałaśliwych przekomarzaniach, bliscy przyjaciele - byli teraz martwi, a ich żarty i śmiechy ucichły na zawsze. Głowa jednego z nich znajdowała się za oknem. Zarejestrowała ten obraz, ale starała się nie dopuścić go do swojej świadomości. Wokół było morze krwi. Gwałtownie zamknęła oczy i otworzyła je dopiero, kiedy zdołała odwrócić głowę.

Po drugiej stronie przejścia siedział kolejny martwy mężczyzna, z głową odrzuconą do tyłu i opartą o zagłówek wyglądał jakby katastrofa zaskoczyła go we śnie. .Samotnik. Jeszcze przed startem tak właśnie nazwała go w myśli. Ponieważ samolot był nieduży, obowiązywały w nim ścisłe przepisy dotyczące obciążenia. Podczas ważenia pasażerów i bagażu przed wejściem na pokład Samotnik stał w pewnym oddaleniu od grupy, demonstrując całą swoją postawą wyższość i wrogość. Jego chłód odstręczał od rozmowy z nim pozostałych pasażerów, którzy jeden przez drugiego krzykliwie przechwalali się swoimi trofeami. Pełne rezerwy zachowanie odseparowało go od reszty podróżnych - tak jak ją odizolowała płeć. Była jedyną kobietą na pokładzie samolotu.

I jedyną osobą, której udało się przeżyć katastrofę.

Spojrzała ku przodowi. Kabina pilotów została oderwana od kadłuba samolotu jak nakrętka od butelki. Teraz leżała na ziemi jakieś półtora metra dalej. Pilot i drugi pilot, weseli i dowcipni młodzi mężczyźni, byli niezaprzeczalnie, okrutnie martwi.

Przełknęła kulę, która wypełniła jej gardło. Dobrze zbudowany, brodaty drugi pilot pomagał jej wejść do samolotu. Robił przy tym słodkie oczy i plótł, że na pokładzie rzadko zdarza mu się gościć kobiety, a jeśli już, to nie wyglądają jak modelki.

Dwaj inni pasażerowie, bracia w średnim wieku, wciąż byli przymocowani pasami bezpieczeństwa do foteli w pierwszym rzędzie. Zabił ich poszarpany pień drzewa, który wbił się w kabinę jak otwieracz do puszek. Dla ich rodzin będzie to podwójna tragedia.

Zaczęła płakać. Rozpacz i strach przeniknęły ją do głębi, oplotły, sparaliżowały. Bała się, że zemdleje. Bała się, że umrze. Bała się też, że nie umrze.

Śmierć jej współtowarzyszy podróży była szybka i bezbolesna. Prawdopodobnie zginęli w momencie zderzenia samolotu z ziemią. Mieli szczęście. Jej śmierć nie nastąpi tak szybko, gdyż, o ile się zdążyła zorientować, dziwnym trafem nie doznała najmniejszego uszczerbku. Umrze świadomie i powoli, z pragnienia, głodu i zimna.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że wciąż żyje. Może fakt, że siedziała z tyłu, odegrał jakąś rolę. W przeciwieństwie do reszty pasażerów w pensjonacie myśliwskim nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim zostawiła kogoś bliskiego. Pożegnanie przeciągnęło się, więc weszła na pokład samolotu ostatnia. Wszystkie fotele, z wyjątkiem tego w tylnym rzędzie, były już zajęte.

Kiedy drugi pilot wprowadził ją do środka, hałaśliwe rozmowy raptownie ucichły. Schylając się ze względu na niski sufit, przeszła do jedyne wolnego miejsca. Czuła się w najwyższym stopniu skrępowana tym, że jest jedyną kobietą na pokładzie. Przypominało to wejście do pełnego dymu pomieszczenia, w którym właśnie trwa w najlepsze zażarta partia pokera. Pewne sprawy przynależą do świata mężczyzn, tak jak inne do świata kobiet, i ani emancypacja, ani równość płci nie zdołają tego zmienić.

Lot samolotem, obsługującym amatorów myślistwa i wędkowania w Terytoriach Północno-Zachodnich, należał do męskich spraw. W miarę możliwości starała się nie rzucać w oczy; wciśnięta w swój fotel, nie odzywała się do nikogo i wyglądała przez okno. Tylko raz, zaraz po starcie, spojrzała w bok i przypadkowo napotkała wzrok mężczyzny siedzącego po drugiej stronie przejścia. Patrzył na nią z tak wyraźną dezaprobatą, że odwróciła głowę do okna i tak pozostała.

Była prawdopodobnie pierwszą, która - poza pilotami - dostrzegła nadchodzącą burzę. Ulewny deszcz i gęsta mgła wprawiły ją w zdenerwowanie. Wkrótce również pozostali pasażerowie zorientowali się, że z samolotem coś się dzieje. Ich fanfaronadę zastąpiły wymuszone żarty o tym, jak to ucieka się przed burzą, a także jak to dobrze, że za sterami siedzi doświadczony pilot zamiast któregoś z nich.

Piloci mieli przed sobą niełatwe zadanie. Niebawem stało się to oczywiste dla wszystkich. W końcu pasażerowie umilkli i z napięciem wpatrywali się w mężczyzn w kokpicie. Z powodu nieprzeniknionej warstwy chmur ziemia była niewidoczna od momentu startu. Napięcie w samolocie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy dwuosobowa załoga straciła radiowy kontakt z wieżą lotów. Na urządzeniach pokładowych nie można było już dłużej polegać, ponieważ ich odczyty były, delikatnie mówiąc, mało dokładne.

Kiedy samolot zaczął spiralnie pikować i pilot zawołał do pasażerów: „Schodzimy w dół. Niech Bóg ma nas w swojej opiece!”, wszyscy przyjęli jego słowa z rezygnacją i zadziwiającym spokojem.

Kobieta zgięła się wpół i wcisnęła głowę między kolana, zasłaniając ją rękami. Modliła się przez całą drogę w dół. Miała wrażenie, że trwa to wieczność.

Nigdy nie zdoła zapomnieć szoku zderzenia z ziemią. Choć się zmobilizowała maksymalnie, nie była na nie wystarczająco przygotowana. Nie rozumiała, dlaczego natychmiastowa śmierć została jej oszczędzona. Jedyнным wytłumaczeniem było to, że dzięki drobniejszej budowie ciała wcisnęła się między dwa fotele, co zamortyzowało wstrząs.

Jednakże, wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie była pewna, czy powinna się cieszyć z tego, że przeżyła katastrofę. Do pensjonatu myśliwskiego na północno-zachodnim krańcu Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego można było się dostać wyłącznie drogą powietrzną. Między nim a miasteczkiem Yellowknife,

które stanowiło cel ich podróży, rozciągały się całe kilometry dziewiczego lasu. Bóg jeden wiedział, jak bardzo samolot zszedł z kursu, spadając na ziemię. Ekipy ratunkowe mogły strawić na poszukiwaniach całe miesiące. Dopóki jej nie znajdą - jeśli w ogóle - będzie całkiem sama, a to, czy uda jej się pozostać przy życiu, będzie zależało wyłącznie od niej.

Ta myśl pobudziła ją do działania. Bliska hysterii, usiłowała się uwolnić, szarpnąć pas bezpieczeństwa. Kiedy zamek odskoczył, poleciała do przodu, uderzając głową o oparcie fotela przed sobą. Wśliznęła się w wąskie przejście i na czworakach poczołgała w kierunku szpary w samolocie.

Starając się nie dotykać zwłok, wychyliła się przez rozdarcie w miejscu spojenia metalu. Deszcz przestał już padać, ale wiszące nad ziemią ciężkie, ciemnoszare chmury wyglądały tak groźnie, jakby za chwilę miały wybuchnąć. Cojaks czas wyrzucały z siebie niskie pomruki. Było zimno, mokro i ponuro. Postawiła kołnierz futra z rudych lisów. Powietrze było nieruchome. Pewnie powinna się z tego cieszyć. Wiatr mógłby być bardzo zimny... Zaraz, zaraz! Jeśli nie ma wiatru, skąd w takim razie pochodzi ten chrapliwy dźwięk?

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Dźwięk powtórzył się!

Coś jakby ruch.

Spojrzała w stronę mężczyzny, który zajmował równoległe do niej miejsce po drugiej stronie przejścia. Czy to tylko jej pobożne życzenie, czy naprawdę powieki Samotnika się uniosły? Wgramoliła się z powrotem, trącając po drodze zwisającą, krwawiącą rękę jednej z ofiar katastrofy. Wstrząsnęła się.

„Och, proszę, Boże, spraw, żeby żył” - modliła się żarliwie w duchu. Dotarłszy do tylnego rzędu, spojrzała uważnie na twarz mężczyzny. Wciąż wyglądał na martwego. Jego powieki były znowu nieruchome. Z ust, niemal całkowicie przysłoniętych bujnymi wąsami, nie wydobywał się żaden jęk. Spojrzała na jego klatkę piersiową, ale miał na sobie pikowaną kurtkę, więc nie mogła stwierdzić, czy mężczyzna oddycha, czy nie.

Położyła palec wskazujący na jego wąsach, tuż pod nozdrzami. Wydała zduszony okrzyk, kiedy wyczuła wilgotny oddech. Słaby, ale nie ulegający wątpliwości.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu. - Zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie. Uniosła dłońie ku jego policzkom i uderzyła go lekko. - Proszę się obudzić, proszę pana. Proszę się obudzić. Jęknął, ale nie otworzył oczu. Intuicja podpowiadała jej, że im wcześniej mężczyzna odzyska przytomność, tym lepiej. Poza tym potrzebowała zapewnienia, że nie jest martwy ani nie umrze

- W każdym razie nie natychmiast. Musiała wiedzieć, że nie jest sama na tym odludziu.

Założywszy, że zimne powietrze może przywrócić mężczyznę do życia, postanowiła wyciągnąć go z samolotu. Czekają ją nie lada zadanie; prawdopodobnie był od niej cięższy przynajmniej o czterdzieści kilo.

Czuła każdy gram, kiedy odpięła mu pas bezpieczeństwa i bezwładny ciężar osunął się na nią jak worek cementu. Objęła go prawym ramieniem i podtrzymała, przesuwając się tyłem między siedzeniami w kierunku dziury, na poły go dźwigając, na poły ciągnąc.

Pokonanie dwuipółmetrowej trasy zajęło jej ponad pół godziny. Zakrwawione ramię zwisające przez poręcz fotela zagroziło im drogę. Przewyciężając odrazę, dotknęła go i odsunęła na bok, brudząc sobie przy tym ręce krwią. Krew była lepka. Kobieta pisnęła z przerażenia, ale przygryzła zębami drżącą dolną wargę i znów podjęła trud ciągnięcia mężczyzny przejściem

- Centymetr po centymetrze.

Nagle uprzytomniła sobie, że jakiegokolwiek by były jego obrażenia, ruszenie go mogło mu przynieść więcej szkody niż pożytku. Ale zaszła już tak daleko, że zatrzymanie się nie miałyby sensu. Wyznaczenie celu i osiągnięcie go wydało się jej bardzo ważne, choćby dlatego, by udowodnić samej sobie, że nie jest bezradna.

Skoro już postanowiła wyciągnąć go na zewnątrz, zrobi to na przekór wszystkim trudnościom i własnej słabości.

Przesunęła mężczyznę tak daleko do przodu, jak zdołała. Od czasu do czasu jęczał, ale nic nie wskazywało na to, że odzyskuje przytomność. Zostawiwszy go na chwilę samego, przedarła się przez gałęzie sosny. Cała lewa strona kadłuba samolotu została odcięta, więc pozostało jej przeciągnąć mężczyznę przez koronę drzewa. Gołymi rękami odłamała tyle mniejszych gałązek, ile była w stanie, po czym wróciła po niego.

Samo obrócenie bezwładnego mężczyzny, by móc go chwycić pod pachy, zajęło jej pięć minut. Potem, posuwając się wolno przez wąski, kłujący tunel, ciągnęła go za sobą. Igły sosnowe pokłuły jej twarz. Ostra kora podrapała dłonie. Na szczęście gruba odzież ochroniła resztę ciała.

Oddychała z trudem. Zastanawiała się, czy nie zrobić sobie przerwy, ale bała się, że nigdy nie zbierze wystarczająco dużo energii, by podjąć zadanie na nowo. Teraz mężczyzna jęczał niemal bez przerwy. Zdawała sobie sprawę, że musi przeżywać katusze, ale nie zatrzymała się, bo mógł zapaść w głębsze omdlenie.

Wreszcie poczuła zimne powietrze na policzkach. Uwolniła głowę od ostatniej gałęzi i znalazła się na otwartej przestrzeni. Zrobiła parę chwiejnych kroków do tyłu i pociągnęła mężczyznę za sobą. Kompletnie wyczerpana, z palącymi od wysiłku mięśniami ramion, pleców i nóg, opadła ciężko na ziemię. Głowa mężczyzny osunęła się jej na kolana.

Oparła się na rękach, zadarła głowę w kierunku nieba i pozostała w tej pozycji, póki nie wyrównała oddechu. Wciągając w płuca przeraźliwie zimne powietrze, po raz pierwszy pomyślała, że dobrze jest żyć. Dziękowała Bogu, że ją oszczędził. Podziękowała mu też za życie swego towarzysza.

Kiedy znów spojrzała na mężczyznę, na jego skroni zauważyła guz wielkości gęsiego jaja. Nic dziwnego, że Samotnik stracił przytomność. Uniosła go na tyle wysoko, by oswobodzić nogi, przyczołgała się do jego boku i zaczęła rozpinąć jego grubą kurtkę. Modliła się, by nie odkryć śmiertelnej rany. Na szczęście odstąpiła tylko kraciatą flanelową koszulę. Nie było na niej śladów krwi. Zlustrowała mężczyznę od podkoszulka wystającego z rozpięcia przy szyi aż do sznurowanych wysokich butów i nie znalazła śladu poważnych obrażeń.

Z głośnym westchnieniem ulgi pochyliła się nad mężczyznę i ponownie uderzyła go lekko w policzki. Wyglądał na czterdzieści lat, ale mógł mieć mniej; najwyraźniej życie go nie oszczędzało. Dość długie, falujące włosy były ciemnobrązowe. Wąsy też. Ale zarówno w wąsach, jak i w grubych brwiach dostrzegła srebrne nitki. Miał wąskie wargi, dolną nieco pełniejszą od górnej. W kącikach oczu zaznaczały się zmarszczki. Czerstwa cera była ogorzała od słońca i wiatru.

Musiał spędzać sporo czasu na powietrzu. Była to sympatyczna twarz, choć nie dałoby się jej określić mianem klasycznie przystojnej. Cechowała ją pewna surowość, nieprzystępność, którą kobieta wyczuła w nim już wcześniej.

Zastanawiała się niespokojnie, co on pomyśli, kiedy odzyska przytomność i uświadomi sobie, że są w tej głuszy tylko we dwoje. Nie musiała czekać długo, żeby się tego dowiedzieć. W chwilę potem mężczyzna uniósł powieki.

Oczy, tak ciemnoszare jak niebo nad głową, spoczęły na jej twarzy. Chciała coś powiedzieć, ale zaniemówiła. Pierwsze słowo, które z siebie wyrzucił, było niewypowiedziane wulgarnie. Wzdrygnęła się, lecz uznała, że to z powodu bólu. Ponownie zamknął oczy i odczekał kilka sekund, nim je otworzył.

A potem odezwał się:

- Rozbiliśmy się? - Skinęła głową. - Jak dawno temu?

- Nie jestem pewna. - Zęby jej dzwoniły. Nie było aż tak zimno, więc pewnie brało się to ze strachu. Czyżby przed nim? Dlaczego? - Może godzinę temu.

Krzywiąc się z bólu, przykrył guz na głowie jedną ręką i podźwignął się, używając drugiej jako podpórki. Odsunęła się, by mógł usiąść prosto.

- A co z resztą?

- Nie żyją.

Kiedy próbował unieść się na jedno kolano, zachwiał się i stracił równowagę. Kobieta odruchowo wyciągnęła pomocną dłoń, ale ją odrzucił.

- Jesteś pewna?

- Pewna, że nie żyją? Tak. To znaczy, tak mi się wydaje. Odwrócił głowę i obrzucił kobietę wrogim spojrzeniem.

- Sprawdzałaś im puls?

Zmieniła zdanie w kwestii jego oczu. W ogóle nie przypominały nieba. Były zimniejsze i o wiele bardziej przerażające.

- Nie, nie sprawdzałam - przyznała ze skruchą.

Na parę sekund przygwoździł ją tym ponurym spojrzeniem, po czym z trudem podniósł się na nogi. Wspierając się o pobliskie drzewo, wytrzymał wszystkie siły, by stanąć prosto i zachować równowagę.

- Jak... jak się czujesz?

- Jakbym miał się za chwilę wyrzygać. Trzeba mu przyznać, że nie dobierał słów.

- Może powinieneś się położyć.

- Z pewnością tak.

- A więc?

Wciąż podtrzymując głowę, unióś ją i spojrzał na kobietę.

- Zgłaszasz się na ochotnika, żeby iść tam i sprawdzić im puls? - Na widok jej pobladłej twarzy uśmiechnął się ironicznie. - Tak właśnie myślałem.

- Wyciągnęłam cię stamtąd, prawda?

- Tak - potwierdził oschle. - Wyciągnęłaś mnie.

Nie oczekiwała, że będzie całował ją po rękach za uratowanie mu życia, ale zwykłe „dziękuję” byłoby miłe.

- Jesteś niewdzięcznym...

- Daruj sobie - przerwał.

Obserwowała go, jak odrywa się od drzewa i chwiejnym krokiem zmierza w kierunku rozbitego samolotu, odsuwając gałęzie na boki z większą siłą, niż ona zdołałaby wycisnąć z siebie po długotrwałym treningu.

Zapadła się w grząskie podłoże i wsparła głowę na uniesionych kolanach, bliska płaczu. Słyszała, jak mężczyzna porusza się po kabinie. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła go przez wybitą przednią szybę oderwanego kokpitu. Beznamiętnie przesuwając dłonie po ciałach pilotów.

Po niedługim czasie przedarł się przez zwałone drzewo.

- Miałaś rację. Nikt nie przeżył.

Jakiej reakcji po niej oczekiwał? „Anie mówiłam?”. Postawił na ziemi białą apteczkę i ukląkł obok. Wyjął z niej buteleczkę aspiryny, wrzucił trzy tabletki do gardła i połknął je bez popijania.

- Chodź tutaj - polecił szorstko. Kiedy rzuciła się ku niemu, podał jej latarkę. - Zaświeć mi prosto w oczy, po kolei, i powiedz, co widzisz.

Zapaliła latarkę. Wprawdzie szkło osłaniające żarówkę popękało, ale działała. Rzuciła promień światła w jego prawe oko, później w lewe.

- Źrenice się zewężają.

Wziął od niej latarkę i wyłączył ją.

- Dobrze. To nie wstrząs mózgu. Tylko przeklęty ból głowy. Z tobą wszystko w porządku?

- Tak mi się wydaje.

Popatrzył na nią sceptycznie, ale skinął głową.

- Nazywam się Rusty Carlson - powiedziała układowie. Zaśmiał się chrypliwie, podniósł wzrok i objął nim jej włosy.

\* Rusty - (ang). rdzawy.

- Rusty, mówisz?

- Tak, Rusty - powtórzyła z irytacją.

- Pasuje.

Ten facet miał kiepskie maniery, a właściwie nie miał ich wcale.

- A jak ty się nazywasz?

- Cooper Landry. Ale to nie garden party, wybacz więc, że nie uchylam kapelusza i nie mówię: Bardzo mi miło.

Jak na dwoje samotnych rozbitków, którzy przeżyli katastrofę samolotu, nie był to najlepszy początek znajomości. Właśnie teraz Rusty rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by ją pocieszył; zapewnił, że jest żywa i nic jej nie grozi. W zamian za to spotkało ją szyderstwo, w dodatku całkowicie niezasłużone.

- Co się z tobą dzieje? - spytała ze złością. - Zachowujesz się tak, jakby ta katastrofa wydarzyła się z mojej winy.

- Może tak było.

Z niedowierzania zaparło jej dech.

- Co takiego? Chyba nie obwiniasz mnie o wywołanie burzy?

- Nie, ale gdybyś nie przeciągnęła tego wzruszającego, pełnego łez pożegnania ze swoim podstarzałym gachem, może udałoby nam się ją ominąć. Jak to się stało, że postanowiłaś wyjechać przed nim. Czyżby sprzeczka kochanków?

- Nie twój cholerny interes - powiedziała ze złością, wyprowadzona z równowagi.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- W ogóle nie powinno cię tam być - powiedział po chwili i prześliznął się po niej wzrokiem. - To nie miejsce dla tego typu kobiet.

- Co masz na myśli?

- Nieważne. Powiedzmy tylko, że lepiej by mi było bez ciebie.

Powiedziawszy to, wyciągnął nóż myśliwski ze skórzanej pochwy przytwierdzonej do pasa. Rusty przyszło na myśl, że Landry zamierza poderznąć jej gardło i w ten sposób pozbyć się kłopotu. Ale on tylko odwrócił się i zaczął odcinać mniejsze gałęzie sosny, torując w ten sposób wygodniejszą drogę do kadłuba.

- Co masz zamiar zrobić?

- Muszę ich stamtąd wyciągnąć.

- W... wszystkich? Po co?

- Chyba nie chcesz dzielić z nimi sypialni.

- Zamierzasz ich pochować?

- Tak. Masz lepszy pomysł?

Nie, oczywiście nie miała, więc umilkła.

Cooper Landry ociosywał drzewo, zostawiając tylko większe konary. Łatwiej było je wyminąć i przydeptać.

Rusty, starając się być użyteczna, odsuwała ucięte gałęzie na bok.

- A więc zostajemy tu? - spytała.

- Na razie tak. - Kiedy zrobił coś w rodzaju ścieżki, wszedł do środka samolotu i dał jej ręką znak, by podeszła bliżej. - Chwyć go za nogi, dobrze?

Utkwiła wzrok w butach zmarłego. Nie potrafiła się do tego zmusić. Życie nie przygotowało jej na coś takiego. Nie miał prawa oczekiwać od niej, że zrobi coś tak absurdalnego.

Ale kiedy uniosła głowę i napotkała to nieugięte spojrzenie szarych oczu, wiedziała już, że on tego od niej oczekuje, co więcej, spodziewa się, że bez dyskusji wykona polecenie.

W miarę sprawnie usunęli zwłoki z samolotu. Cooper wykonał większość pracy. Rusty pomagała mu, kiedy było to konieczne. Wypełniając to przerażające zadanie, starała się myśleć o czymś innym. Kiedy była nastolatką, straciła matkę, dwa lata temu zginął jej brat. Obydwoje widziała w wyściełanych jedwabiem trumnach, w blasku świec, wśród kwiatów i muzyki organowej. Śmierć wydawała się czymś nierealnym. Nawet ciała matki i brata nie

były dla niej rzeczywiste, były kopiami ludzi, których kochała, manekinami stworzonymi na ich podobieństwo przez sprawnych pracowników zakładu pogrzebowego.

Ale te ciała były rzeczywiste.

Mechanicznie wykonywała zwięzłe polecenia Coopera Landry'ego, wydawane monotonnym, pozbawionym uczuć głosem. Zachowywał się jak automat. Obojętnie ciągnął zwłoki do dołu, który wykopał nożem i małą siekierką znaną w pudełku z narzędziami poci fotelem pilota. Kiedy skończył, ułożył na płytkim grobie stos kamieni.

- Czy nie powinniśmy czegoś powiedzieć? - Rusty wpatrywała się w bezładny stos szarych kamieni, które miały ochronić ciała sześciu mężczyzn przed dzikimi zwierzętami.

- Powiedzieć coś? To znaczy?

- Na przykład przytoczyć jakiś cytat z Biblii czy odmówić modlitwę.

Wzruszył nonszalancko ramionami, pochłonięty czyszczeniem ostrza noża.

- Nie znam żadnych cytatów z Biblii, a mój zapas modlitw wyczerpał się dawno temu.

- Odwrócił się plecami do grobu i poszedł ciężko w kierunku samolotu.

Rusty pospiesznie wyrecytowała modlitwę, a następnie podążyła za nim. Bardziej niż czegokolwiek obawiała się samotności. Gdyby spuściła go z oczu, kto wie, czy by jej nie zostawił. Na razie jednak było to mało prawdopodobne. Przynajmniej w tej chwili. Samotnik chwiał się na nogach ze zmęczenia i był bliski omdlenia.

- Dlaczego nie położysz się i nie odpoczniesz? - zasugerowała. Ją samą siły opuściły dawno temu. Teraz funkcjonowała tylko dzięki adrenalinie.

- Ponieważ wkrótce zapadnie noc - powiedział. - Musimy usunąć siedzenia i zrobić miejsce do spania. W przeciwnym razie będziesz musiała po raz pierwszy w życiu spędzić noc na dworze - dorzucił sarkastycznie tuż przed ponownym wejściem do tego, co zostało z samolotu.

Po chwili do uszu Rusty dobiegły jego siarczyste przekleństwa. Wyszedł na zewnątrz, ściągając brwi w ponurym grymasie.

- O co chodzi?

Podsunał jej rękę pod nos. Była mokra.

- Paliwo.

- Paliwo?

- Łatwopalne paliwo - wyjaśnił, zniecierpliwiony jej ignorancją. - Nie możemy tu zostać. Wystarczy jedna iskra i po nas.

- To nie rozpalajmy ognia. Przeszył ją wściekłym wzrokiem.

- Kiedy tylko się ściemni, będziesz marzyć o ogniu - powiedział z pogardą. - Poza tym wystarczyłaby byle jaka iskra. Jeden kawałek metalu mógłby zawadzić o drugi i przeszlibyśmy do historii.

- To co robimy?

- Zabierzemy, co zdołamy, i ruszymy w drogę.

- Sądziłam, że najlepiej jest trzymać się miejsca katastrofy. Gdzieś o tym słyszałam, a może czytałam. Ekipy ratunkowe będą szukać wraku. Jak nas znajdą, skoro stąd odejdziemy? Arogancko przekrzywił głowę na bok.

- Chcesz tu zostać? W porządku, zostań. Ja idę, ale pozwól, że przedtem cię ostrzeżę. Wydaje mi się, że w pobliżu nie ma wody. Pierwsze, co zrobię jutro, to wyruszę na poszukiwanie wody. Z samego rana.

Jego zarozumiałstwo mogło doprowadzić do szału.

- Skąd wiesz, że tu nie ma wody?

- Nie dostrzegłem tropów zwierząt. Od biedy można przetrwać na wodzie deszczowej, ale nie wiadomo, jak długo będzie padać.

Kiedy i jak zdążył zauważyć, że nie ma śladów zwierząt? Rusty nawet nie przyszło do głowy, by ich poszukać. Faktycznie, brak wody był prawie tak przerażający jak konieczność obrony



przed dzikimi zwierzętami, aby się do niej dostać. Szukać wody? Jak się do tego zabrać? Dzikie zwierzęta? Jakby się przed nimi broniła, gdyby ją zaatakowały?

Zginęłaby bez niego. Szybko doszła do tego niezbyt budującego wniosku. Nie miała wyboru. Wyzbyła się dumy i powiedziała:

- Dobrze, pójdę z tobą.

Nawet na nią nie spojrział. W ogóle nie zareagował na jej słowa. Nie dowiedziała się, czy jej decyzja ucieszyła go, czy sprawiła mu przykrość. Sądząc z jego zachowania, było mu to obojętne. Już składał na stos rzeczy, które wyciągnął z wraku. Zdecydowana nie dać się ignorować, uklękła przy nim.

- Co mam robić?

Skinął głową w kierunku przedziału bagażowego.

- Przejrzyj bagaże. Dokładnie. Weź wszystko, co może okazać się przydatne. - Podał jej kilka małych kluczyków, które najwidoczniej wyjął z kieszeni ofiar, zanim je pogrzebał. Spojrzała niepewnie na walizki. Niektóre były już otwarte na skutek wstrząsu. Osobiste rzeczy ofiar leżały rozsypane na wilgotnej ziemi.

- Czy to nie będzie... pogwałceniem ich prywatności? Ich rodziny mogłyby poczuć się dotknięte...

Obrócił się wokół własnej osi tak gwałtownie, że Rusty omal nie upadła do tyłu.

- Czy wreszcie spojrzysz faktom w oczy? - Chwył ją za ramiona i potrząsnął nią. - Rozejrzyj się. Wiesz, jakie mamy szanse wyjść z tego cało? Powiem ci: żadnych. Ale zanim zrezygnuję, zamierzam z całych sił walczyć o pozostanie przy życiu. Taką mam naturę.

Przysunął twarz do jej twarzy.

- To nie jest przygoda na wycieczce harcerek. To walka o życie, moja pani. Do diabła z etykietą i prawem własności. Jeśli decydujesz się być ze mną, to musisz robić to, co ci każe. Zrozumiałas? Nie ma czasu na sentymenty. Nie trać łez na tych, którym się nie udało. Odeszli i nie możemy nic na to poradzić. A teraz rusz tyłek i weź się do roboty!

Odepchnął ją od siebie i zaczął zbierać skóry, które myśliwi wieźli do domu jako trofea. Przeważały karibu, ale był tam również biały wilk, bóbr i mała norka.

Powstrzymując gorzkie łzy upokorzenia i bezsilnej rozpacz, Rusty pochyliła się nad walizkami i zaczęła przeglądać ich zawartość, tak jak jej kazał. Najchętniej zwinęłaby się w kłębek i płakała. Postanowiła jednak, że nie da mu tej satysfakcji. Ani najmniejszego pretekstu do pozbycia się jej. Prawdopodobnie natychmiast by go wykorzystał.

Pół godziny później przeniosła swoją zdobycz i dołożyła ją do stosu rzeczy zgromadzonych przez Coopera. Najwidoczniej zaaprobował jej wybór, który obejmował również dwie płaskie flaszki alkoholu. Nie potrafiła rozpoznać gatunku po zapachu, ale Cooper nie przywiązywał do tego wagi. Zdaje się, że porządny haust z jednej z flaszek sprawił mu przyjemność. Patrzyła, jak jabłko Adama porusza mu się w górę i w dół, kiedy przetykał trunek. Miał mocną szyję i masywną szczękę. Typowe dla tego typu mężczyzn, pomyślała z irytacją.

Zakręcił flaszkę i rzucił ją na stos wraz z pudełkiem zapalek, podróznym zestawem do szycia i ubraniami na zmianę zgromadzonymi przez Rusty. Nie pochwalił jej, że dobrze sobie poradziła. Za to wskazał ruchem głowy małą walizkę, którą trzymała w ręku.

- A to co?

- To moje.

- Nie o to pytałem.

Wyszarpnął jej walizkę z ręki i otworzył ją. Jego duże dłonie rozgrzebały porządnie ułożoną termiczną bieliznę z pastelowego jedwabiu, koszule nocne i dobrane kolorystycznie staniki i majtki. Przeciągnął jedną parę legginsów przez kółko z palca wskazującego i kciuka. Szare oczy napotkały jej wzrok.

- Jedwab?

Spojrzała na niego zimno, w milczeniu. Jego szeroki uśmiech był jawnie nieprzyzwoity. Insynuował rzeczy, których nawet nie chciała się domyślać.

- Ładniutki.

Po chwili uśmiech skrył się pod wąsami. Cooper rzucił w nią legginsami.

- Zabierz dwie pary długich kałesonów. Dwie pary skarpet. Czapkę. Rękawiczki. Tę kurtkę - dodał, rzucając kurtkę narciarską na ubrania, które wybrał sam. - Dodatkową parę spodni. Dwa swetry. - Otworzył zamykaną na suwak wyściełaną plastykiem saszetkę podróżną, w której znajdowały się kosmetyki i przybory toaletowe.

- Potrzebuję tego wszystkiego - powiedziała szybko Rusty.

- Tam, dokąd idziemy, nie będziesz tego potrzebowała. -Przetrzasał kosmetyki, niedbale rzucając warte majątek kremy upiększające i przybory do makijażu w gnijące, mokre liście. - Szczotka do włosów, pasta do zębów, szczoteczka, mydło. Wystarczy. I, tylko dlatego, że mam dobre serce, to. - Podał jej paczkę tamponów.

Wyrwała mu ją z rąk i wcisnęła z powrotem do saszetki wraz z kilkoma innym drobiazgami, które łaskawie pozwolił jej wziąć.

Znow się uśmiechnął. Kontrast białych zębów i szerokich wąsów nadawał mu wygląd pirata.

- Myślisz, że ze mnie prawdziwy drań, prawda? Jesteś po prostu zbyt uprzejma, żeby mi to powiedzieć.

- Nie, nie jestem. - Jej rdzawobrzęde oczy zapłonęły. -Myślę, że z ciebie prawdziwy drań.

- Przyzwyczaisz się. - Wstał i zerknął niespokojnie na ciemniejące niebo. - Chodź. Lepiej ruszajmy.

Jak tylko się odwrócił, Rusty wcisnęła do torby tubkę wazeliny, butelkę szamponu i maszynkę do golenia. Może on nie musi się golić, zanim dotrą do cywilizacji, ale ona z pewnością tak.

Znow odwrócił się ku niej i, podnosząc strzelbę myśliwską, spytał:

- Wiesz, jak się z tego strzela?

Pokręciła przecząco głową z poczuciem winy. Zaledwie wczoraj widziała pięknego barana kanadyjskiego zastrzelonego z takiej właśnie strzelby. To było przykre wspomnienie. Zamiast cieszyć się z trofeum, całym sercem współczuła uśmierconemu zwierzęciu.

- Obawiałem się tego - mruknął Cooper. - Ale i tak możesz ją nieść. - Zawiesił jej ciężką strzelbę na ramieniu i umieścił drugą, przypuszczalnie własną, na swoim ramieniu. Wsunął groźnie wyglądający pistolet za pas. Zauważywszy jej niespokojne spojrzenie, wyjaśnił: - To pistolet sygnalizacyjny. Znalazłem go w kokpicie. Nasłuchuj samolotów ratunkowych.

Zawiązał wycięcie swetra sznurowadłem, robiąc z niego prowizoryczny plecak. Przywiązał go Rusty wokół szyi za rękawy i przyjrzał się jej pobieżnie.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Ruszamy.

Rusty rzuciła ostatnie smutne, lękliwe spojrzenie na wrak samolotu i podążyła za Cooperem. Wpadła na pomysł, że wbijając wzrok w punkt między jego łopatkami, może wprowadzić się w trans i nie myśleć o ciałach, które zostawili za sobą. Musiała zepchnąć to do podświadomości.

Posuwała się z trudem, z każdym krokiem tracąc energię. Siła zdawała się wyciekać z niej z alarmującą szybkością. Nie wiedziała, jak daleko uszli, ale wkrótce po rozpoczęciu marszu stawianie jednej stopy przed drugą wydało jej się niemal niemożliwością. Nogi drżały jej ze zmęczenia. Nie odsuwała już gałęzi zagrządzających jej drogę. Obojętnie pozwalała im się smagać.

Obraz Coopera stawał się coraz bardziej zamglony, wreszcie zaczął rozplływać się w powietrzu. Wydawało jej się, że drzewa mają macki, którymi próbują łapać ją za ubranie, szarpiać za włosy, chwytają w sidła kostki u nóg. Wstrzymują ją na każdy możliwy sposób.

Potknęła się, popatrzyła pod nogi i ze zdumieniem zobaczyła, że ziemia unosi się szybko do góry na jej spotkanie. Jakie to niezwykle, pomyślała.

Instynktownie złapała najbliższą gałąź, by nie upaść i zawołała słabo:

- Coo... Cooper.

Osunęła się na ziemię, ale dotyk chłodnego poszycia, wilgotnego i rozmokłego, sprawił, jej niewysłowioną ulgę. Gnijące liście przyłgnęły do policzka jak kompres. Zamknęła oczy.

Cooper z przekleństwem zrzucił bagaż z pleców i zsunął strzelbę z ramienia. Brutalnie obrócił Rusty na plecy i siłą uniósł jej powieki kciukami. Spojrzała na niego zaskoczona, nie mając pojęcia, że jej twarz jest biała jak prześcieradło. Nawet wargi : miała szare jak chmury nad ich głowami.

- Przepraszam, że cię wstrzymuję - wyszeptała, zdziwiona, że jej głos brzmi tak słabo. Czowała, jak jej wargi się poruszają, ale nie była pewna, czy przed chwilą mówiła na głos. Uznała za konieczne wytłumaczyć się z opóźnienia marszu i w ogóle ze sprawiania kłopotu. - Muszę chwilę odpocząć.

- Tak, tak, w porządku, Rusty. Odpocznij. - Mocował się z haftką ukrytą głęboko w kołnierzu futra z lisów. - Zraniłaś się?

- Zraniłam? Nie. Dlaczego pytasz?

- Nieważne. - Odpiął jej futro i włożył ręce do środka. Wsunął je pod sweter i zaczął delikatnie przyciskać palce do jej brzucha. Czy to w porządku? - zastanawiała się jak przez mgłę. - Może gdzieś krwawisz i nawet o tym nie wiesz.

Jego słowa wyjaśniły wszystko.

- Wewnątrz? - Przerazona, usiłowała usiąść.

- Nie wiem. Nie... Spokojnie! - Nagłym ruchem ręki odrzucił poły długiego futra. Oddech świstał mu między zębami. Rusty uniosła się na łokciach, chcąc zobaczyć, co sprawiło, że zmarszczył się tak posepnie.

Prawa nogawka jej spodni była przesiąknięta świeżą krwią. Krew wsiąkła też w wełnianą skarpetę i płynęła po skórzanym wysokim bucie.

- Kiedy to sobie zrobiłaś? - Ostre jak brzytwa spojrzenie napotkało jej wzrok. - Co się stało?

Bez słowa pokręciła głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś ranna?

- Nie wiedziałam - odparła słabo.

Wyciągnął nóż z pochwy. Podciągnawszy do góry nasiąknięty krwią brzeg spodni, wsunął nóż w kant i szarpnął. Jednym gwałtownym ruchem równiutko przeciął nogawkę, od dołu aż do elastycznej nogawki majtek. Zaszokowana i przerażona zaczerpnęła powietrza.

Cooper, wciąż patrząc na jej nogę, zaklął z cicha.

## Rozdział 2

W głowie jej huczało. Miała mdłości. Płatki uszu pulsowały, a gardło paliło żywym ogniem. Każdy mieszek włosowy na głowie odczuwała jak ukłucie szpilki. Opuszki palców u rąk i nóg szczypały. Kiedyś zdarzyło jej się zemdleć przy leczeniu kanałowym zęba. Teraz oznaki były takie same.

Ale, do diabła, czy musiało ją to spotkać tutaj? Na jego oczach?

- Spokojnie, spokojnie. - Chwytał ją za ramiona i opuścił na ziemię. - Nie pamiętasz momentu zranienia? - Pokręciła w milczeniu głową. - W takim razie to musiało się stać, kiedy samolot uderzył o ziemię.

- Nic nie poczułam.

- Byłaś w szoku. Co czujesz teraz? Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie ból.

- Nie jest tak źle - odparła cicho.

Baczenie wpatrywał się w jej oczy, chcąc poznać prawdę.

- Naprawdę nie jest źle. Straciłam jednak sporo krwi, prawda?
- Tak. - Z ponurą miną grzebał w podręcznej apteczce. - Muszę usunąć krew, żeby zlokalizować ranę.

Sięgnął do zaimprovizowanego plecaka, który niosła Rusty, wyjął stamtąd miękki bawełniany podkoszulek i zaczął wycierać krew. Czuli dotyk jego rąk, ale poza tym była jak odrętwiała. Patrzyła w niebo poprzez gałęzie drzew nad ich głowami. Może zbyt wcześnie dziękowała Bogu za to, że zachował ją przy życiu. Może wykrwawi się na śmierć, leżąc tu, na ziemi. I ani Cooper, ani ona nie będą mogli nic na to poradzić. Kto wie, może nawet będzie zadowolony, że się jej pozbył.

Jego ciche przekleństwo wyrwało ją z ponurych rozmyślań. Uniosła się i popatrzyła na zranioną nogę. Tuż pod kolanem zaczynało się głębokie cięcie, które biegło wzdłuż голени aż do granicy skarpety. Rana była głęboka, widziała przecięte mięśnie. Zrobiło jej się niedobrze. Jęknęła.

- Leż spokojnie, do diabła!

Rusty posłusznie zastosowała się do tego polecenia.

- Jak to możliwe, że nic nie poczułam?
- Prawdopodobnie w momencie katastrofy rozdarło się jak skóra pomidora.
- Możesz coś z tym zrobić?
- Przemyję ranę wodą utlenioną. - Otworzył znaną w apteczce brązową buteleczkę z nieprzezroczystego plastiku i nasączył roztworem rękaw podkoszulka.
- Czy to będzie bolało?
- Pewnie tak.

Nie zwracając uwagi na jej pełne łez, przerażone oczy, przyłożył mokrą szmatkę do rany. Rusty przygryzła dolną wargę zębami, by powstrzymać krzyk, ale twarz wykrzywiła jej się z bólu. Szczerze mówiąc, myśl o wodzie utlenionej pieniącej się w ranie była niemal tak nieprzyjemna jak sam ból.

- Oddychaj przez usta, jeśli wydaje ci się, że będziesz wymiotować - powiedział beznamiętnie. - Prawie skończyłem.

Zacisnęła powieki. Uniosła je dopiero na odgłos rozdieranego materiału. Cooper darł drugi podkoszulek na pasy. Następnie owinął nimi starannie jej łydkę, ciasno otulając nogę poniżej kolana.

- To będzie musiało na razie wystarczyć - powiedział, bardziej do siebie niż do niej. Znów wziął nóż i polecił: - Unieś biodra. - Wykonując polecenie, unikała oczu Coopera. Odciał nogawkę jej spodni na wysokości uda. Jego ręce poruszały się pod jej udami i między nimi. Stwardniałe kostki ocierały się o jej gładką, ciepłą skórę, ale nie musiała odczuwać najmniejszego zakłopotania. Jeśli idzie o okazywane emocje, równie dobrze mógłby kroić steki.

- W tym stanie na pewno nie możesz chodzić.
- Mogę! - oświadczyła żarliwie, przerażona, że Cooper ruszy w dalszą drogę bez niej.

Stał nad nią, z szeroko rozstawionymi nogami, rozglądając się wokoło i marszcząc brwi. Zauważyła, że poniżej linii wąsów bezwiednie przygryza policzek od środka.

Czy zastanawiał się, jaki ma wybór? Rozwahał, czy ją zostawić, czy nie? A może myślał o tym, żeby zabić ją szybko i litościwie, zamiast czekać, aż umrze wskutek odniesionej rany? Wreszcie pochylił się nad nią, wziął ją pod pachy i unióśł do pozycji siedzącej.

- Zdejmij futro i włóż tę kurtkę narciarską.

Bez protestów zsunęła futro z ramion. Cooper, posługując się siekierką wziętą z samolotu, ściał trzy młode drzewka i pozbawił je gałęzi. Patrzyła w milczeniu, jak układa je na kształt litery H. Powiązał miejsca złączeń rzemykami wyciągniętymi z wysokich butów ofiar wypadku. Potem wziął jej futro i umocował rękawy na szczytach dwóch dłuższych drągów.

Drgnęła, kiedy wbił nóż w futro i jedwabną podszewkę, robiąc dziurę w dole cennego okrycia z lisów.

- O co chodzi? - Uniósł głowę i spojrzał na Rusty.

- O nic - zapewniła, uświadamiając sobie, że Cooper poddaje ją próbie. - Dostałam to futro w prezencie, po prostu.

Obserwował ją jeszcze przez chwilę, po czym zrobił dziurę po drugiej stronie. Następnie przewłókł drągi przez nacięcia. Ukończone dzieło przypominało prymitywny tobogan. Żaden szanujący się Indianin nie przyznałby się do niego, ale Rusty była pod wrażeniem pomysłowości i umiejętności Coopera. Poczula też ogromną ulgę. Najwidoczniej nie zamierzał jej tu zostawić ani pozbyć się w inny sposób.

Położył prymitywne urządzenie na ziemi, po czym odwrócił się ku Rusty, wziął ją pod kolana i plecy i uniósł. Ułożył ją na miękkim futrze, a potem przywalił kilkoma skórami.

- Nie widziałam tam żadnego zwierzęcia o takim futrze - zauważyła, gładząc skórę pokrytą krótką, miękką wełną.

- *Umingmak.*

- Słucham?

- Tak właśnie Inuici nazywają wołu piżmowego. To znaczy brodaty. Nie zabiłem go.

Po prostu kupiłem tę skórę. Jest bardzo ciepła. - Opatulił ją i przykrył jeszcze jednym futrem.

- Będziesz musiała się pilnować, żeby nie spaść i nie pogubić skór.

Otarł pot z czoła wierzchem dłoni. Zawadziwszy o guz na skroni, skrzywił się z bólu. Rusty musiałaby co najmniej tydzień leżeć w łóżku, gdyby otrzymała takie uderzenie. Na pewno nieźle daje mu się we znaki.

- Dziękuję, Cooper - powiedziała miękko.

Obrzucił ją spojrzeniem bez wyrazu, skinął głową, a następnie odwrócił się i zaczął zbierać ich dobytek. Rzucił jej na kolana obydwie plecaki wraz ze strzelbami.

- Trzymaj je, dobrze?

- Dokąd chcesz iść?

- Na południowy wschód - odparł zwięźle.

- Dlaczego?

- Prędzej czy później natrafimy na jakiś ślad cywilizacji.

- Rozumiem. Mogłabym dostać aspirynę?

Otworzył plastikową buteleczkę i wytrząsnął dwie pastylki na dłoń Rusty.

- Nie połknę ich bez wody. Parsknął ironicznie.

- Masz do wyboru połknąć je na sucho albo popić brandy.

- Poproszę o brandy.

Podał Rusty jedną z flaszek. Czując na sobie jego wzrok, odważnie przytknęła wylot szyjki do warg i pociągnęła spory łyk, by popić tabletki. Zakaszła i zakrztusiła się. Łzy napłynęły jej do oczu, ale z godnością i opanowaniem oddała mu flaszkę.

- Dziękuję.

Jego wąskie wargi wykrzywiły się w czymś na kształt uśmiechu.

- Może nie masz za grosz rozsądku, ale trzeba przyznać, że nie brak ci charakteru, moja pani.

Pomyślała, że to zapewne największy komplement, jakiego kiedykolwiek mogłaby się spodziewać po Cooperze Landrym. Mężczyzna wsunął pieńki młodych drzewek pod pachy i ruszył w drogę, ciągnąc tobogan za sobą. Po przejechaniu zaledwie kilku metrów Rusty zdała sobie sprawę, że na toboganie nie będzie jej dużo wygodniej, niż gdyby szła. Samo pilnowanie, żeby się nie zsunąć, wymagało pełnego skupienia. Jej pośladki będą pełne siniaków - pamiątek po kamieniach, które co i raz napotykały na nierównej drodze. Zabroniła sobie myślenia o jedwabnej podszewce futra rozdzieranej na strzępy przez korzenie i szyszki leśnego poszycia.

Robiło się coraz ciemniej i zimniej. W powietrzu coś wirowało - grudki, które, jak jej się wydawało, meteorolodzy nazywają kaszą, kulki lodu nie większe od ziarenek soli. Zraniona noga zaczęła jej dokuczać, ale Rusty wolałaby raczej odgryźć sobie język, niż się skarżyć. Słyszała ciężki oddech Coopera. Dla niego też nie był to spacer. Gdyby nie ona, przemierzyłyby z pewnością trzykrotnie dłuższą trasę.

Kiedy zapadła ciemność, dalsza droga po nieznanym terenie stała się ryzykowna. Cooper zatrzymał się na najbliższej polanie i opuścił dyszle toboganu na ziemię.

- Jak się czujesz?

Nie myślała o tym, że jest głodna, spragniona i poobijana,

- W porządku.

- Tak, jasne. Jak naprawdę się czujesz? - Ukląkł przy niej i ściągnął przykrycie z futer. Bandaż był nasiąknięty świeżą krwią. Cooper szybko narzucił futra z powrotem. - Proponuję, żebyśmy zatrzymali się tu na nocleg. Teraz, kiedy zaszło słońce, nie potrafię określić kierunku.

Kłamał, mówił tak tylko dlatego, żeby poczuła się lepiej. Rusty zdawała sobie sprawę, że gdyby nie ona, Cooper nie przerywałby marszu. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto boi się ciemności albo kogoś, kto niepokoi ulewa. Choć ciągnął ją już parę godzin, wyglądał, jakby miał dość sił, by iść jeszcze przynajmniej dwie.

Okrażył polanę i zaczął budować stos z igieł sosnowych. Następnie rozłożył na nim skóry i wrócił do Rusty.

- Cooper?

- Tak? - mruknął, z wysiłkiem unosząc ją z toboganu.

- Muszę do łazienki.

W ciemnościach nie widziała go wyraźnie, ale czuła na sobie jego zaskoczony wzrok. Zakłopotana do granic możliwości, spuściła głowę.

- Dobrze - odparł po chwili. - Czy noga utrzyma cię, gdy...

- Tak, myślę, że tak - powiedziała pospiesznie. Zaniósł ją na skraj polany i delikatnie opuścił na ziemię.

- Trzymaj się drzewa - poradził burkliwie. - Zawołaj mnie, jak skończysz.

Cała operacja okazała się znacznie trudniejsza, niż przypuszczała. Zanim znów zapięła to, co zostało z jej spodni, trzęsła się z osłabienia, a żeby dzwoniły jej z zimna.

- Już.

Cooper wynurzył się z ciemności i znów wziął ją na ręce. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że posłanie z igieł sosnowych i skór może być tak wygodne, ale kiedy położył ją na nim, westchnęła z ulgą.

Cooper otulił ją futrami.

- Rozpalę ogień. Nie będzie zbyt wielki. Nie ma tu dość suchego drewna, ale to i tak lepsze niż nic. Poza tym odpędzi niepożądanych gości.

Rusty zadrżała i naciągnęła futra na głowę zarówno na myśl o dzikich zwierzętach, jak i w obawie przed marznącą mżawką, która wciąż zasypywała ziemię. Ale narastający ból w nodze nie dawał jej się zdrzemnąć. Ogarniał ją coraz większy niepokój. Wreszcie wyrzwała spod przykrycia. Cooperowi udało się już rozpalić nikły ogień. Obwałował też płytkie wgłębienie w ziemi kamieniami, by zapobiec zajęciu się posłania.

W pewnej chwili spojrzał na nią, odsunął jeden z suwaków w kurtce, wyciągnął coś stamtąd i rzucił jej. Chwyliła pakiecik jedną ręką.

- Co to jest?

- Baton.

Na myśl o jedzeniu w żołądku głośno jej zaburczało. Rozdarła foliowe opakowanie, gotowa wepchnąć od razu cały baton do ust. W ostatniej chwili zawahała się.

- Nie... nie musisz się ze mną dzielić - powiedziała cicho. - Jest twój i możesz potrzebować go później.

Odwrócił głowę. Jego szare oczy przywołały na myśl zimny błysk metalu.

- Nie jest mój. Znalazłem go w kieszeni jednego z tamtych mężczyzn.

Wydawał się czerpać satysfakcję z faktu, iż dał jej do zrozumienia, że gdyby baton był jego, pomyślałby dwa razy, zanim by się z nią podzielił.

Bez względu na to, jakie były jego intencje, zepsuł jej całą przyjemność. Żuła baton i przełykała go mechanicznie. Smakował jak trociny częściowo dlatego, że dręczyło ją pragnienie. Cooper, zupełnie jakby czytał w jej myślach, powiedział:

- Jeśli jutro nie dotrzemy do wody, zaczną się kłopoty.

- Myślisz, że nam się uda?

- Nie wiem.

- Jak sądzisz, dlaczego samolot się rozbił?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Pewnie złożyło się na to kilka przyczyn.

- Czy masz ogólne pojęcie, gdzie jesteśmy?

- Nie. Może bym się zorientował, gdyby nie ta burza.

- Myślisz, że zesłaliśmy z kursu?

- Tak. Ale nie wiem, jak dalece.

Oparła policzek na rękę i wpatrzyła się w nikłe płomyki.

- Byłeś już kiedyś nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim?

- Raz.

- Kiedy?

- Przed paru laty.

- Często wybierasz się na polowania?

- Czasami.

Nie można powiedzieć, żeby był zbyt rozmowny. Rusty chciała skłonić go do rozmowy, żeby zapomnieć o bólu. .

- Myślisz, że nas znajdą?

- Może.

- Kiedy?

- Co ty sobie wyobrazasz, że jestem jakimś cholernym jasnowidzem?! - Jego podniesiony, pełen złości głos kontrastował z panującą wokół ciszą. Cooper gwałtownie wstał. - Przestań zadawać mi tyle pytań. Nie znam odpowiedzi.

- Chciałam tylko wiedzieć - tłumaczyła się płacząco.

- Też bym chciał - odburknął - ale nie wiem. Powiedziałbym, że szanse na to, że nas odnajdą, są wyjątkowo duże, jeśli samolot nie zboczył z kursu, i wyjątkowo małe, jeśli zboczył za bardzo, rozumiesz? Teraz przestań już o tym mówić.

Urażona Rusty zamilkła. Cooper przeszukiwał polanę w poszukiwaniu suchych drzew. Dorzucił parę patyków do ognia i zbliżył się do niej.

- Lepiej zajmę się twoją nogą.

Obcesowo odsunął przykrycie. Ogień rzucał słabe światło na zakrwawiony opatrunek. Cooper, umiejętnie posługując się nożem myśliwskim, przeciął zaciągnięte wcześniej supły i zaczął rozwijać zaplamioną tkaninę.

- Boli?

- Tak.

- Cóż, ma prawo - powiedział ponuro, wpatrując się w ranę. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego.

Przy świetle latarki trzymanej przez Rusty znów nasączył szmatkę wodą utlenioną i założył świeży opatrunek. Kiedy skończył, oczy piekły ją od łez, a zęby zacisnęły się kurczowo, ale ani razu nie krzyknęła.

- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze bandażować?
- W Wietnamie. - Tą lakoniczną odpowiedzią dał jej do zrozumienia, że temat jest wyczerpany. - Masz, weź jeszcze dwie aspiryny. - Podał jej buteleczkę, wytrząsnąwszy najpierw dwie dla siebie. Nie skarżył się, ale głowa na pewno bardzo mu dokuczała. -I wypij trochę brandy. Przynajmniej dwa łyki. Mam wrażenie, że do rana będziesz tego potrzebować.
- Dlaczego?
- Twoja noga. Jutro pewnie nastąpi przesilenie. Potem może zacznie się polepszać.
- A jeśli nie?

Nie powiedział nic. Nie musiał.

Rusty drżącymi rękami przytknęła flaszkę z brandy do warg i od czasu do czasu popijała z niej. Teraz kiedy suche drewno na podpałkę zajęło się, Cooper dorzucił do ognia więcej gałęzi. Ale płomienie nie dawały tyle ciepła, żeby zdejmować kurtkę, co ku jej zdumieniu zrobił Cooper. Ściągnął też buty i polecił jej zrobić to samo. Następnie zwinął kurtki i buty w tobołek i wcisnął go między futra.

- Dlaczego to robisz? - Stopy już zaczynały jej marznąć.
- Jeśli spocimy się, nie zdjawszy butów, a temperatura spadnie, odmrozimy sobie nogi. Posuń się.
- Co takiego? - Spojrzała na niego lękliwie. Wzdychając ze zniecierpliwieniem, wczuł się tuż obok, zmuszając ją, by się przesunęła i zrobiła mu miejsce pod okryciem z futer. Zaniepokojona Rusty zawołała:

- Co robisz?
- Idę spać. Jeśli tylko przestaniesz gadać.
- Tutaj?
- Nie udało mi się dostać pokoju z dwoma łózkami.
- Nie możesz...
- Niech się pani odpręży, panno... Jak to było?
- Carlson.
- Tak, panno Carlson. Połączone ciepło naszych ciał uchroni nas przed zamrożeniem. - Przytulił się do niej i naciągnął im futra na głowy, skutecznie zamykając dostęp zimnego powietrza. - Obróć się na bok, plecami do mnie.
- Idź do diabła!

- Słuchaj, nie mam zamiaru zamarznąć. Nie mam również ochoty kopać kolejnego grobu, tym razem dla ciebie, więc zrób, co ci mówię. I to już.

Musiał być w Wietnamie oficerem, pomyślała rozdrażniona, kładąc się na boku. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie, aż w końcu leżeli jak łyżeczki w pudełku. Ledwie mogła oddychać.

- Czy to naprawdę konieczne?
- Tak.
- Nigdzie nie pójde. Nie mam dokąd iść. Nie musisz mnie trzymać.
- Zaskakujesz mnie. Myślałem, że ci się to spodoba. - Przycisnął dłoń do jej brzucha.
- Naprawdę niezła z ciebie sztuka. Nie wiesz, że działasz na mężczyzn?
- Zostaw mnie w spokoju.
- Te długie włosy, ten niezwykły kolor.
- Zamknij się!
- Jesteś dumna ze swego krągłego małego tyłeczka i sterczących cycuszków, prawda? Pewnie większość mężczyzn nie potrafi ci się oprzeć. Weźmy na przykład drugiego pilota. Na twój widok ślinił się jak pies nad suką, niemal potykał się o własny język.
- Nie wiem, o czym mówisz. Pogłaskał ją po brzuchu.
- O, tak, doskonale wiesz. Musiałaś się świetnie bawić,



wprawiając wszystkich mężczyzn w samolocie w osłupienie, kiedy pojawiła się na pokładzie otulona tym swoim futrem.

- Dlaczego to robisz? - załkała.

Zaklął, a kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie nie wyczuwała już drwiny, tylko znużenie.

- Możesz spokojnie się odprężyć. Nie zamierzam cię wykorzystać. Nigdy nie przepadałem za rudymi. Poza tym twoje ciało jest jeszcze ciepłe od łóżka twego podstarzałego kochasia. Razem wzięwszy, twoja cnota jest przy mnie bezpieczna.

- Jesteś okrutny i wulgarny. - Pociągnęła nosem, tłumiąc łzy upokorzenia.

Roześmiał się.

- Teraz zachowujesz się, jakbyś była obrażona, że nie mam zamiaru cię tknąć. Zdecyduj się. Jeśli masz dzisiejszej nocy ochotę na seks, mogę wyświadczyć ci tę przysługę. Moje ciało nie jest tak wybredne jak rozum. W końcu tu jest niesamowicie ciemno. Wiesz, co się mówi o kotach w nocy, prawda? Osobiście jednak wolę bezpieczniejsze, wygodniejsze miejsca na małe pieszczoty. Ale śpij już, dobrze?

Rusty była oburzona tym bezceremonialnym traktowaniem. Próbowwała ignorować ciepło jego ciała, które przenikało przez jej ubranie, jego oddech, który czuła na szyi, i dotyk muskularnych ud przylegających do jej ud. Powoli, z pomocą niedawno wypitej brandy, odprężyła się. W końcu zasnęła.

Obudził ją własny jęk. Odczuwała bolesne rwanie w nodze.

- Co się stało?

- Nic.

- Powiedz mi, o co chodzi? Noga?

- Tak.

- Znow krwawi?

- Chyba nie. Nie czuję wilgoci. Po prostu boli.

- Wypij jeszcze trochę brandy. - Odsunął się od niej i sięgnął po flaszkę, którą przezornie schował pod futra.

- Już mi się kręci w głowie.

- Dobrze. To pomaga. - Wetknął jej w usta szyjkę flaszki i przechylił. Miała do wyboru wypić albo się udławić.

Mocny trunek wypalił ognistą ścieżkę w jej wnętrzu, ale przynajmniej na parę sekund oderwał jej myśli od bolącej rany.

- Dzięki.

- Rozsuń nogi.

- Słucham?

- Rozsuń nogi.

- Ile brandy pan wypił, panie Landry?

- Rób, co ci mówię.

- Dlaczego?

- Żebym mógł wsunąć swoje nogi między twoje.

Nie dając jej kolejnej szansy na protest, wsunął dłoń pomiędzy jej uda i uniósł chorą nogę. Wbił klinem kolana między jej kolana, po czym delikatnie opuścił jej chorą nogę na swoją.

- Tak dobrze. Kiedy będzie uniesiona, ból nieco zelżeje.

Była zbyt zdumiona, by natychmiast zasnąć, i zbyt niepokojąco świadoma jego bliskości. Jeszcze coś nie pozwalało jej zasnąć - nie dające jej spokoju poczucie winy.

- Cooper, czy znałeś kogoś z tych mężczyzn?

- Tych w samolocie? Nie.

- Dwaj mężczyźni w pierwszym rzędzie byli braćmi. Kiedy ważyliśmy bagaże, słyszałam, jak rozmawiają o planowanym rodzinnym spotkaniu z okazji Święta Dziękczynienia. Zamierzali pokazać slajdy, które zrobili w tym tygodniu.

- Nie myśl o tym.

- Nie potrafię.

- Potrafisz.

- Nie, nie potrafię. Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego żyję. Dlaczego właśnie ja?

To nie ma sensu.

- Nie musi - powiedział z goryczą. - Tak po prostu jest. Nadszedł ich czas i tyle.

Skończone, trzeba o tym zapomnieć.

- Nie mogę zapomnieć.

- Zmusz się.

- Czy ty właśnie tak zrobiłeś?

- Tak. Wzdrygnęła się.

- Jak możesz być tak niewrażliwy, kiedy chodzi o ludzkie życie?

- Praktyka.

To słowo podziałało na nią jak mocny policzek. Zostało użyte z rozmyślnym okrucieństwem, żeby przestała mówić, i tak się stało. Ale nie powstrzymało jej od myślenia. Zastanawiała się, ilu żołnierzy zginęło w Wietnamie na oczach Coopera. Dziesiątki? Dwudziestki? Setki? To była okrutna wojna. Mimo wszystko nie była w stanie wyobrazić sobie, jak można przywyknąć do widoku śmierci.

Miała w tym pewne doświadczenie, choć nie do takiego stopnia jak on. Nie było to coś, co mogła usunąć z pamięci aktem woli. Na myśl o swych bliskich wciąż odczuwała ból.

- Moja matka zmarła na udar - powiedziała cicho. - Śmierć była dla niej niemal wybawieniem. Byłaby całkowicie sparaliżowana. Miałam tydzień, żeby się na to przygotować. Mój brat zmarł nagle. - Coopera to nic nie obchodziło, ale Rusty chciała o tym mówić.

- Brat?

- Zginął w wypadku samochodowym przed dwoma laty.

- Nie masz innej rodziny?

- Tylko ojca. - Westchnęła cicho. - To właśnie z nim byłam w domku myśliwskim. To z nim się żegnałam. Nie z kochankiem. Z ojcem.

Czekała na przeprosiny, ale na próżno. Gdyby jego ciało nie było tak napięte, pomyślałaby, że zasnął. Wreszcie przerwał ciszę pytaniem.

- Jak zareaguje twój ojciec, kiedy się dowie o wypadku?

- O Boże! - Odruchowo chwyciła Coopera za rękę, wciąż spoczywającą na jej brzuchu. - Nie pomyślałam o tym.

Nietrudno jej było sobie wyobrazić rozpacz ojca na wieść o tym, co się wydarzyło. Stracił żonę. Potem syna. Teraz przyszła kolej na córkę. Będzie zrozpaczony. Rusty nie mogła znieść myśli o tym, jak będzie cierpiał, o piekle niepewności, przez które przejdzie, zastanawiając się, co się z nią stało. Cała nadzieja w tym, że wkrótce zostaną uratowani.

- Wyglądał na energicznego gościa - zauważył Cooper. - Nie da wychnienia władzom, póki nas nie znajdą.

- Masz rację. Ojciec nie da za wygraną, póki się nie dowie, co się ze mną stało.

Rusty była tego pewna. Jej ojciec był ważną osobistością. Potrafił działać szybko i miał zarówno talent organizatorski, jak i środki do załatwiania trudnych spraw. Jego reputacja i pieniądze mogły pokonać biurokrację. Świadomość, że ojciec przewróci każdy kamień, dopóki jej nie odnajdą, dała jej nadzieję, której mogła się uchwycić.

Była również zaskoczona odkryciem, że Cooper nie jest taki zamknięty w sobie i obojętny, za jakiego chciał uchodzić. Nie zadawał się z innymi pasażerami, ale, jak się okazało, nic nie uszło jego uwagi. Najwidoczniej jej towarzysz był bystrym obserwatorem natury ludzkiej. Natura właśnie teraz dawała o sobie znać. Zaniepokojona Rusty wyczuła męskość przyciśniętą do jej pośladków. W końcu wyrzuciła z siebie:

- Jesteś żonaty?

- Nie.

- Nigdy nie byłeś żonaty?

- Nie.

- Masz kogoś?

- Posłuchaj, nie jestem abstynentem w tych sprawach. Wiem, dlaczego nagle zrobiłaś się taka ciekawa. Wierz mi, ja też to czuję, ale nie mogę nic na to poradzić. Właściwie mogę, ale jak już mówiliśmy wcześniej, w tych okolicznościach nie jest to zbyt rozsądne rozwiązanie. Obawiam się też, że alternatywa, która przychodzi mi do głowy, zawstydziłaby nas oboje.

Na policzki Rusty wypłynął gorący rumieniec.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

- Czego?

- Mówił w ten sposób.

- W jaki?

- No, wiesz, nieprzyzwoicie.

- Właśnie opuściłaś pensjonat myśliwski. Czy nie usłyszałaś paru wulgarnych dowcipów? Nie podsłuchiłaś paru sprośnych komentarzy? Myślałem, że jesteś przyzwyczajona do takiego języka.

- No to źle myślałeś. A do twojej wiadomości, to wybrałam się na polowanie ze względu na ojca. Niespecjalnie dobrze się bawiłam.

- Zmusił cię, żebyś z nim pojechała?

- Oczywiście, że nie!

- Przekupił cię? Może tym futrem?

- Nie. Ta wyprawa to mój pomysł. Zaproponowałam, żebyśmy wybrali się razem.

- I przypadkowo wybrałaś Terytoria Północno-Zachodnie? Dlaczego nie Hawaje? Albo St. Moritz? Przychodzi mi do głowy tysiące innych miejsc na ziemi, gdzie znacznie lepiej byś pasowała.

Jej westchnienie potwierdziło słowa Coopera. Na polowaniu na grubego zwierza czuła się zupełnie nie na miejscu.

- Ojciec i brat zawsze jeździli na polowania razem. Cztery tygodnie w roku. To rodzinna tradycja. - Dręczona wyrzutami sumienia, zamknęła oczy. - Ojciec nie polował od śmierci Jeffa. Pomyślałam, że ta podróż dobrze mu zrobi. Nalegałam na to. Ponieważ się wahał, powiedziałam, że pojedę z nim.

Oczekiwała pomruku współczucia i zrozumienia - może nawet wyszeptanej pochwały za tak niesamolubny i szlachetny gest. Usłyszała tylko gderliwe:

- Bądź cicho, dobrze? Próbuję zasnąć.

*Przestań, Rusty!*

*We śnie usłyszała głos brata. Walczyli, tak jak potrafią to tylko bracia i siostry, którzy albo bardzo się nienawidzą, albo bardzo kochają. Jeśli chodzi o Jeffa i o nią, prawdziwe było to drugie. Był zaledwie rok od niej starszy. Odkąd Rusty po raz pierwszy stanęła na nogi, byli najserdeczniejszymi kumplami i towarzyszami zabaw. Ku uciesze ojca i zdenerwowaniu matki często walczyli wręcz, jak para łobuziaków, i zawsze kończyło się to śmiechem.*

*Ale teraz w głosie Jeffa nie było wesołości. Chwyił jej nadgarstki i przycisnął do podłogi po obu stronach głowy.*

*Uspokój się. Jeśli nie przestaniesz się miotać, zrobisz sobie krzywdę.*

Przebudziła się i otworzyła oczy. Nad sobą ujrzała nie dobrze znaną, kochaną twarz Jeffa, ale twarz tego mężczyzny. Samotnika. Dobrze, że przeżył katastrofę, ale nie można powiedzieć, żeby go lubiła. Jak się nazywał? O tak, Cooper. Cooper...? Cooper Jakiś tam. Albo Jakiś tam Cooper.

- Leż spokojnie - polecił jej.

Przestała się szamotać. Poczowała zimne powietrze na ciele i zdała sobie sprawę, że zrzuciła wszystkie skóry, którymi Cooper przykrył ich na noc. Klęczał okrakiem nad jej piersiami i pochylał się nad nią. Ścisnął mocnymi palcami jej nadgarstki i przytrzymał je nad jej głową.

- Zejdź ze mnie.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową. Jak może się czuć kobieta, która, nagle obudzona w środku nocy, widzi mężczyznę mającego wzrost i sylwetkę Coopera Landry'ego - właśnie, przypomniała sobie jego nazwisko - którego uda wznosiły się nad nią jak dwie kolumny...

- Proszę! - Ciężko chwyciła powietrze. - Wszystko w porządku.

Oderwał się od niej. Zachłusnęła się lodowato zimnym powietrzem, które poraziło jej płuca. Ale za to przyjemnie chłodziło rozpaloną twarz. Było jej dobrze tylko przez sekundę. Po chwili drżała z zimna i zaczęła szczerkać zębami. Brwi Coopera ściągnęły się ze zmartwienia. A może z gniewu. Nie potrafiła tego określić.

- Jesteś cała rozpalona - powiedział bez ogródek. - Wstałem, by dołożyć do ognia. Mającylaś i zaczęłaś wołać kogoś o imieniu Jeff.

- Mojego brata. - Nie mogła powstrzymać dreszczy. Otuliła się jednym z futer.

Przez całą noc nie padało ani nie mżyło. Widziała płomienie i żarzące się bryłki pod patykami, które Cooper dorzucił do ognia. Płomienie były tak gorące, że przepalały jej gałki oczne aż do bólu.

Nie, niemożliwe. To musi być gorączka.

Cooper uniósł przykrycie z jej nogi, zostawiając tylko futro przykrywające górną połowę ciała. Jeszcze raz starannie odwinął zaimprovizowany bandaż i wpatrzył się w otwartą ranę. Ru-sty nie spuszczała z niego oczu.

Kiedy wreszcie na nią spojrział, miał zaszepioną minę.

- Nie będę cię oszukiwał. To nie wygląda dobrze. Wdało się zakażenie. W naszej apteczce jest opakowanie antybiotyków. Oszczędzałem je na wypadek, gdyby doszło do czegoś takiego, ale nie jestem pewien, czy wystarczą.

Przełknęła z trudnością ślinę. Nawet jej rozgorączkowany umysł mógł pojąć to, co Cooper do niej mówił. Uniósłszy się na łokciach, popatrzyła na swoją nogę. Zbierało jej się na wymioty. Po obu stronach głębokiego rozcięcia skóra była napuchnięta i pomarszczona. Opadłszy z powrotem na posłanie, oddychała płytko, pospiesznie. Zwilżyła spieczoną wargi. Nadaremnie, bo gorączka wysuszała jej usta coraz bardziej.

- Mogłabym dostać gangreny i umrzeć, prawda? Zmusił się do półśmiechu.

- Nie tak od razu. Musimy zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

- Na przykład uciąć nogę.

- O Boże, ależ z ciebie pesymistka. Miałem na myśli usunięcie ropy i zaszycie rany.

Twarz Rusty przybrała barwę popiołu.

- To brzmi wystarczająco ponuro.

- Nie tak źle jak wypalenie. Co też może okazać się konieczne. - Jej twarz zrobiła się kredowobiała. - Ale na razie założymy parę szwów. Nie ciesz się tak - dodał, marszcząc czoło w zafrasowaniu - to będzie bolało jak diabli.

Spojrzała mu prosto w oczy. Dziwne, ale choć początek ich znajomości nie należał do łatwych, ufała mu.

- Rób, cokolwiek uznasz za stosowne.

Szorstko skinął głową i zabrał się do pracy. Przede wszystkim wyciągnął parę jej długich jedwabnych legginsów z plecaka zrobionego ze swetra.

- Dobrze, że nosisz jedwabną bieliznę.

Uśmiechnęła się słabo na te słowa. Tymczasem Cooper zaczął strzępić oblamowanie w talii.

- Użyjemy tych nici na szwy. - Skinął w kierunku flaszki.

- Lepiej zacznij pić brandy. Popij nią jedną z tych tabletek penicyliny. Nie masz uczulenia na penicylinę, prawda? To dobrze

- skomentował, kiedy pokręciła głową. - Pij powoli. Nie przestawaj, póki się nie upijesz. Ale nie wypij wszystkiego. Będę musiał wysterylizować nici i zdezynfekować cięcie. Nie była wystarczająco znieczulona, kiedy pochylił się nad jej nogą. Myśliwski nóż, który zdążył już wyjałowić w ogniu, trzymał w gotowości nad zakażoną raną.

- Gotowa? - Skinęła głową. - Staraj się nie ruszać. - Ponownie skinęła głową. - I nie broń się przed utratą przytomności. Obojgu nam pójdzie lepiej, jeśli zemdlejesz.

Pierwsze małe nacięcie czerwonej, pomarszczonej skóry sprawiło, że krzyknęła i gwałtownie cofnęła nogę.

- Nie, Rusty! Musisz leżeć spokojnie.

To był bardzo bolesny zabieg i wydawał się nie mieć końca.

Cooper skrupulatnie przecinał miejsca, które tego wymagały. Kiedy polał całą ranę brandy, Rusty wrzasnęła. Po tym wszystkim szycie nie wydawało się takie straszne. Posłużył się igłą z podróznego zestawu. Moczył poszczególne nici w brandy, a następnie przeciągał je przez jej skórę i wiązał, mocno ściągając brzegi rany.

Rusty wpatrywała się w miejsce powyżej nasady jego nosa, gdzie zrastały się brązowe brwi. Mimo zimna na czole perliły mu się krople potu. Odrywał oczy od swego zajęcia tylko po to, żeby od czasu do czasu popatrzeć na jej twarz. Był wrażliwy na jej ból. Nawet jej współczuł. Miał zaskakująco delikatne ręce jak na tak potężnego mężczyznę, i to takiego, który ma w piersi kamień zamiast serca.

W końcu miejsce między jego brwiami zaczęło odpływać i znikać jej z oczu. Choć leżała bez ruchu, w głowie jej wirowało z bólu, przerażenia i od brandy. Wbrew radzie Coopera usiłowała zachować przytomność umysłu w obawie, że jeśli zaśnie, może się już nigdy nie obudzić. W końcu poddała się i zamknęła oczy.

W ostatnim przeblysku świadomości pomyślała, że to prawdziwy pech, iż ojciec nigdy się nie dowie, jak dzielna była w chwili śmierci.

- Gotowe - powiedział Cooper, przysiadając na piętach i ocierając spocone czoło. - Nie wygląda zbyt ładnie, ale myślę, że spełni zadanie.

Popatrzył na Rusty z zadowolonym, pełnym optymizmu uśmiechem. Nie widziała tego uśmiechu. Była nieprzytomna.

### **Rozdział 3**

Po odzyskaniu przytomności uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że wciąż żyje. Z początku sądziła, że zapadł mrok, ale kiedy uniosła nieco głowę i mała skóra z norki zsunęła jej się z twarzy, przekonała się, że do zachodu jest jeszcze daleko, choć nie dało się precyzyjnie określić godziny. Niebo było zasnuwane chmurami.

Z lękiem czekała, aż ból nogi wtargnie w jej świadomość, ale jakimś cudem nic nie czuła. Wciąż oszołomiona brandy, usiadła na postaniu. Ściągnięcie futra z nogi wymagało całej siły woli. Przez jedną przerażającą chwilę myślała, że może dlatego nie odczuwa bólu, bo ostatecznie Cooper amputował jej nogę.

Ale kiedy zepchnęła na bok największą skórę karibu, zobaczyła, że noga jest na swoim miejscu, zabandażowana pasami białej bawełny. Żadnych śladów świeżej krwi. Stanowczo

nie była gotowa do wzięcia udziału w biegu maratońskim, niemniej jednak czuła się znacznie lepiej.

Siedzenie wyczerpało ją, więc opadła na posłanie, podciągając futra pod brodę. Jej skóra była gorąca i sucha, ale Rusty było zimno. Wciąż miała gorączkę. Może powinna wziąć więcej aspiryny. Ale gdzie ona jest? Cooper będzie wiedział. On...

Gdzie jest Cooper?

Oszołomienie znikło w mgnieniu oka. Rusty błyskawicznie usiadła i przebiegła oszalałym wzrokiem polaną. Ani śladu Coopera. Odszedł. Nie było też jego strzelby. Druga strzelba leżała na ziemi w zasięgu jej ręki. Ogień już prawie wygasł, choć wciąż wydzieliał słabe ciepło.

Jej opiekun opuścił ją.

Usiłowała zwalczyć narastającą panikę, przekonując samą siebie, że wyciąga zbyt pochopne wnioski. On by tego nie zrobił. Nie zająłby się nią tak troskliwie tylko po to, żeby porzucić ją w tej głuszy, samą i bezradną.

Czyżby?

To niemożliwe, chyba że był pozbawionym uczuć draniem.

Czy już wcześniej nie doszła do wniosku, że Cooper Landry to drań?

Nie. Był twardy. Szorstki w obejściu. Z pewnością cyniczny. Ale nie całkiem pozbawiony uczuć. Gdyby tak było, zostawiłby ją już wczoraj.

A więc gdzie jest?

Położył na posłaniu strzelbę. Dlaczego? Może właśnie w tym wyrażały się jego ludzkie odruchy. Zajął się jej raną, najlepiej jak potrafił. Zostawił jej środki obrony. Może teraz nadeszła pora, żeby każdy zatroszczył się o siebie? Przeżyją najsilniejsi.

Cóż, ona umrze. Jeśli nie z gorączki, to z pragnienia. Nie miała wody. Nie miała jedzenia. Nie miała właściwie żadnego schronienia. Wkrótce zapas drewna, które Cooper porąbał i zgromadził w pobliżu ogniska, wyczerpie się. A ona umrze z zimna, jeśli temperatura spadnie choć odrobinę.

Do diabła!

Nagle ogarnęła ją wściekłość. Jak śmiało odejść! Już ona mu pokaże. Ojcu też. Rusty Carlson nie należała do słabych istot, które można ot, tak zostawić na pastwę losu.

Odrzuciła okrywające ją futra i naciągnęła kurtkę. Na razie zrezygnowała z wkładania lewego buta, ponieważ Cooper wcisnął jej buty głęboko w stos futer, zbyt daleko, by mogła ich dosięgnąć. Poza tym, jeśli jedna stopa była odsłonięta, druga mogła być odsłonięta równie dobrze. W dodatku nałożenie kurtki podkopało jej siły.

Jedzenie i woda.

Nieodzowne warunki przetrwania. Właśnie te dwie rzeczy przede wszystkim musiała znaleźć. Ale gdzie? To, co ją otaczało, było w najlepszym razie deprymujące. W najgorszym, przerażające. Jak okiem sięgnąć, widziała tylko dziewiczy las. Za pobliskimi drzewami - tak wysokimi, że nie dostrzegła nawet ich wierzchołków - ciągnęły się nieprzeliczone rzesze im podobnych.

Zanim wyruszy na poszukiwanie wody, musi stanąć na nogi. Wydawało się to niemożliwe, ale zacisnęła zęby, zdecydowana tego dokonać.

Kiedy znajdą jej ciało, nie będzie leżeć skulona pod stosem futer!

Wyciągnęła rękę najdalej, jak zdołała, zacisnęła dłoń na gałęzi przeznaczonej na opał i przyciągnęła ją do siebie. Używając jej jako podpórki, ukłękła na kolanie zdrowej nogi, cały czas trzymając drugą wyciągniętą przed sobą. Na chwilę przerwała, by złapać oddech, który tworzył chmurki białej pary przed jej twarzą.

Ponownie próbowała wstać, ale jej się nie udało. Była słaba jak nowo narodzony kociak. W dodatku kręciło jej się w głowie. Przeklęty Cooper Landry! Nic dziwnego, że zachęcał ją do

wypicia takiej ilości brandy. Chciał, żeby straciła przytomność i nie zorientowała się, kiedy on będzie się wymykał jak na takiego nędznego skunksa przystało.

Uczyniwszy ostatni herkulesowy wysiłek, przeniosła ciężar ciała na lewą stopę i stanęła na niej. Ziemia zakołysała się niebezpiecznie. Rusty zamknęła oczy, zacisnęła dłoń na podtrzymującej ją gałęzi i trzymała ją, jakby od tego zależało jej życie. W końcu uznała, że może już otworzyć oczy. Wydała z siebie cichy okrzyk zaskoczenia. Po drugiej stronie polany stał Cooper.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! - ryknął.

Rzucając na ziemię to, co trzymał w ręku, strzelbę również, skoczył ku niej. Chwycił ją pod pachy, ułożył na pościeli i opatulił futrami jej drżące ciało.

- Co, u licha, próbowałaś zrobić?

- Po... poszukać wody - wyjąkała z trudem.

Dobiegło do niej stłumione przekleństwo, tak barwne, że niemal namacalne. Położył dłoń na jej czole, by sprawdzić temperaturę.

- Jesteś niebieska z zimna. Nie waż się próbować znów takich wygłupów jak ten, zrozumiałaś? Znalezienie wody to moja sprawa. Ty masz leżeć. Jasne?

Wyrzucał z siebie przekleństwa jak automat do gry - bilon. Odwrócił się twarzą do ogniska i zaczął je podsycać, ze złością ciskając patyki na żar. Kiedy ogień znów zapłonął, Cooper przemierzył polanę i podniósł martwego królika, którego przedtem upuścił na ziemię. Miał też termos, który wynieśli z wraku samolotu. Odkręcił go, nalał wody do zakrętki i przyklęknął na jedno kolano obok Rusty.

- Pij. Na pewno masz zupełnie wysuszone, zbolałe gardło. Ale nie pij zbyt dużo naraz i nie spiesz się.

Przytrzymała rękami jego dłonie i uniosła kubek do spieczonych warg. Woda była tak zimna, że zaboląły ją zęby, ale nie zwracała na to uwagi. Wypiła trzy spore łyki, zanim Cooper zabrał jej kubek.

- Powoli, powiedziałem. Mamy mnóstwo wody.

- Znalazłeś źródło? - Zlizała krople wody z warg. Obserwując bacznie ten ruch, powiedział:

- Tak. Strumień, mniej więcej trzysta metrów stąd. - Wskazał kierunek głową. - To pewnie dopływ Mackenzie.

Popatrzyła na puszystą kulkę, leżącą tuż przy jej bucie.

- Zastrześliś tego królika?

- Zabiłem go kamieniem. Nie chcę marnować amunicji, chyba że będę musiał. Oprawię go i upiekę. Możemy... Do diabła. O co chodzi?

Rusty, ku swemu przerażeniu, rozpląkała się. Szloch wstrząsał całym jej ciałem. Zakryła twarz rękami i choć była całkiem odwodniona, łzy przeciekały jej między palcami.

- Słuchaj, nie miałem wyboru. Albo on, albo my - powiedział zaniepokojony Cooper. - Musimy coś jeść. Nie możesz być taka...

- Nie chodzi o królika - szlochała.

- A więc o co? Noga cię boli?

- Myślałam, że mnie zo... zostawiłeś. Z po... powodu mojej nogi. Może rzeczywiście powinieneś to zrobić. Opóźniam twój marsz. Gdyby nie ja i moja noga, pewnie do tej pory dotarłbyś do jakiegoś bezpiecznego miejsca. - Dostała czkawki, ale mówiła dalej: - Moja noga tak naprawdę nie robi wielkiej różnicy, bo i tak jestem beznadziejna w takich sytuacjach jak ta. Nienawidzę wielkich przestrzeni. Wcale nie uważam, że są wspaniałe. Nie cierpię ich. Nawet letnie obozy nigdy mnie nie pociągały. Zimno mi i boję się. Czuję się winna, że narzekam, skoro żyję, a wszyscy inni zginęli.

Zalała się łzami, ramiona jej drżały. Cooper westchnął głęboko, wyrzucił z siebie parę barwnych przekleństw i zbliżył się do niej na kolanach. Zacisnął duże dłonie na jej

ramionach. Rusty, początkowo cała spięta, próbowała się wyrwać. Ale on nie dał za wygraną. Przyciągnął ją do siebie. Obietnica pociechy była zbyt nęcąca. Niezdolna do dalszego oporu, Rusty osunęła się na szeroką pierś Coopera, zaciskając dłonie na jego grubej myśliwskiej kurtce.

Czysty, świeży zapach sosny osiadł na jego ubraniu i włosach - a towarzyszył mu przyjemny, zmurszały aromat wilgotnych liści i mgły. Osłabionej Rusty, która wciąż nie była w stanie jasno myśleć, Cooper wydał się nadnaturalnie wielki, tak fantastyczny jak bohater z dziecięcej baśni. Mocny. Zdolny zabić smoka.

Kiedy podtrzymał jej głowę, Rusty wtuliła twarz w pikowany materiał jego kurtki i rozkoszowała się poczuciem bezpieczeństwa po raz pierwszy od momentu katastrofy - a właściwie od wyjazdu z domku myśliwskiego i rozstania z rozczarowanym ojcem.

W końcu jej wzburzenie minęło. Łzy obeschły. Nie było żadnego powodu, żeby Cooper ją tulił, więc odsunęła się od niego. Nagle zakłopotana, nie podnosiła głowy. Odniosła wrażenie, że mężczyzna niechętnie wypuszcza ją z objęć, ale w końcu zrobił to.

- Już w porządku? - spytał burkliwie.

- Tak, w porządku, dziękuję. - Wytarła wilgotny nos wierzchem dłoni, jakby robiła tak zawsze.

- Wezmę się do oprawiania tego królika. Połóż się.

- Mam już dość leżenia.

- Więc odwróć głowę. Chcę, żebyś coś zjadła, a obawiam się, że nic z tego nie będzie, jeśli będziesz się przyglądać, jak go patroszę.

Zaniósł królika na skraj polany, położył na płaskiej skale i zabrał się do sprawiania. Rusty posłusznie odwróciła wzrok.

- Właśnie o to się pokłóciliśmy - powiedziała cicho. Cooper spojrział na nią przez ramię.

- Ty i kto?

- Mój ojciec. Zastrzelił barana. - Roześmiała się bez wesołości. - To było piękne zwierzę. Było mi go żal, ale udawałam, że nie posiadam się z zachwytem. Ojciec wynajął jednego z przewodników, aby ten sprawił go na miejscu. Postanowił osobiście wszystkiego dopilnować w obawie, że przewodnik uszkodzi skórę. - Mrugając, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy, ciągnęła: - Nie mogłam na to patrzeć. Zrobiło mi się niedobrze. Ojciec... - przerwała i wzięła głęboki oddech - ...myślę, że go rozczarowałam.

Cooper wycierał ręce chusteczką, zwilżoną wodą z termosu.

- Dlatego, że nie mogłaś znieść sprawiania zdobyczy?

- Nie tylko dlatego. To przeważyło. Okazałam się fatalnym strzelcem, nie potrafiłam zastrzelić zwierzęcia nawet, jak podeszło i wsadziło nos w lufę mojej strzelby. Nic mi tam nie odpowiadało. - Umilkła i po chwili dodała cicho, jakby do siebie: - Nie potrafię polować jak mój brat Jeff.

- Czy ojciec oczekiwał tego od ciebie? - Cooper nadział królika na zielony kij i zawiesił go nad żarem.

- Chyba miał nadzieję, że tak będzie.

- Jest więc głupcem. Nie jesteś stworzona do tego, żeby być myśliwym.

Jego wzrok powędrował do jej biustu. I zatrzymał się tam. Płomień ogarnął jej piersi, wypełniając je jak matczyne mleko, wskutek czego stały się ciężkie i wrażliwe. Brodawki stwardniały.

Reakcja własnego ciała całkowicie ją zaskoczyła. Rusty instynktownie chciała zakryć piersi dłońmi, ale Cooper wciąż na nią patrzył, a więc nie mogła. Nawet nie drgnęła. Obawiała się, że gdyby to zrobiła, pękłoby coś niesłychanie kruche - coś, co nie dałoby się niczym zastąpić ani naprawić. Każdy nierozważny ruch mógł prowadzić do katastrofy. W efekcie mogłoby się stać coś strasznego. Po raz pierwszy uczynił jakąś aluzję do jej płci poza wulgar-



nymi słowami, które wyrzucał z siebie ubiegłego wieczora. Tamto zrobił tylko po to, żeby ją zirytować. Teraz to sobie uświadomiła. Ale to było coś całkiem innego. Tym razem był zarówno ofiarą, jak i sprawcą.

Gwałtownie odwróciła wzrok do ogniska i chwila minęła. Oboje przez dłuższy czas nie odzywali się do siebie. Rusty zamknęła oczy i udawała, że drzemie, ale obserwowała, jak Cooper kręci się przy czymś, co zaczynało stopniowo sprawiać wrażenie prawdziwego obozowiska. Naostrzył siekierkę na kamieniu. Sprawdził piekącego się królika, obracając go kilkakrotnie.

Poruszał się zdumiewająco zwinnie jak na tak dużego mężczyznę. Była przekonana, że wiele kobiet uznałoby go za przystojnego, szczególnie teraz, kiedy brodę i szczęki pokrywał dwudziestoczterogodzinny zarost. Szerokie podkręcone wąsy były seksowne... jeśli ktoś lubi włosy na twarzy. Kończyły się dokładnie na linii dolnej wargi, całkowicie zasłaniając górną, aż chciało się sprawdzić, jaka jest.

Patrzyła na jego usta, kiedy pochylił się i coś do niej powiedział.

- Przepraszam, nie słyszałam.

- Masz szkliste oczy. - Popatrzył na nią dziwnie i przycisnął dłoń do jej czoła. - Nie będziesz znów majaczyć, prawda?

Zirytowana na niego i na siebie za swoje młodzieńcze fantazje, odepchnęła gwałtownie jego rękę.

- Nie. Czuję się całkiem dobrze. Co powiedziałaś?

- Pytałem, czy jesteś gotowa coś zjeść.

- Oczywiście. Pomógł jej usiąść.

- Przez minutę czy dwie przestygał. Powinien być akurat.

- Zsunął królika z kija, oderwał udo i podał je Rusty. Wzięła je z wahaniem, wpatrując się w nie podejrzliwie.

- Zjesz, nawet jeśli będę musiał wepchnąć ci go do gardła.

- Oderwał kawałek mięsa mocnymi, białymi zębami. - Nie jest taki zły. Naprawdę.

Uskubała trochę mięsa i włożyła do ust, starając się szybko przeżuć je i połknąć.

- Nie tak szybko - ostrzegł. - Zrobi ci się niedobrze. Skinęła głową i wzięła kolejny kawałek. Z odrobiną soli nie byłby wcale zły.

- W Los Angeles jest kilka luksusowych restauracji, które mają w karcie potrawy z królika - powiedziała tonem pogawędki. Bezwiednie sięgnęła po serwetkę, przypomniała sobie, że jej nie ma, wzruszyła ramionami i oblizała palce.

- To właśnie tam mieszkasz? W Los Angeles?

- Dokładnie w Beverly Hills.

Popatrzył uważnie na jej twarz w blasku ognia.

- Jesteś gwiazdą filmową czy jak?

Rusty odniosła wrażenie, że nie zdołałaby mu zaimponować, nawet gdyby oznajmiła, że trzykrotnie zdobyła Oscara. Cooper Landry nie wyglądał na kogoś, kto przywiązuje wagę do sławy.

- Nie, nie jestem gwiazdą filmową. Mój ojciec zarządza firmą zajmującą się handlem nieruchomościami. Mamy oddziały w całej południowej Kalifornii. Pracuję u niego.

- Jesteś w tym dobra?

- Niezła.

Przeżuł kawałek mięsa i rzucił ogryzioną kość do ogniska.

- Skoro jesteś córką szefa, jak mogłoby być inaczej?

- Ciężko pracuję, panie Landry. - Poczucia się urażona insynuacją, że swoje sukcesy zawodowe zawdzięcza ojcu. - W ubiegłym roku sprzedałam najwięcej nieruchomości w całej firmie.

- To się chwali.

- A ty? Czymś się zajmujesz? - spytała sarkastycznie, zirytowana, że najwidoczniej nie zrobiło to na nim wrażenia.

W milczeniu podał jej kolejny kawałek mięsa, który rozerwała tak machinalnie, jakby przez całe życie jadła świeżo upolowane króliki pieczone nad ogniskiem.

- Prowadzę ranczo.

- Bydło?

- Trochę. Głównie konie.

- Gdzie?

- W Rogers Gap.

- Gdzie to jest?

- W Sierra Nevada.

- Nie znam tych okolic.

- Nie dziwi mnie to.

- Możesz się z tego utrzymać?

- Nie narzekam.

- Czy z Rogers Gap jest daleko do Bishop? Można tam jeździć na nartach?

- Mamy parę tras. Wytrawni narciarze bardzo je sobie chwalą. Osobiście jestem zdania, że to jedno z najlepszych w Stanach.

- A więc dlaczego nigdy nie słyszałam o tym miejscu?

- Trzymamy je w sekrecie i chcemy, żeby tak pozostało. Nie reklamujemy się.

- Dlaczego? - Słowa Coopera wzbudziły w niej zainteresowanie. Nigdy nie pomijała okazji zlokalizowania nowej interesującej nieruchomości, w którą jej klienci mogliby zainwestować. - Gdyby zajął się tym odpowiedni agent, z Rogers Gap można byłoby zrobić naprawdę coś. Jeśli są tam tak dobre tereny narciarskie, jak mówisz, mogłoby powstać drugie Aspen.

- Boże broń - mruknął pod nosem i dodał: - Właśnie o to chodzi. Nie chcemy, żeby za dużo osób o nim wiedziało. Nie chcemy, żeby nasze góry zeszpecono wieżowcami ani żeby spokojni ludzie padli pastwą stada pewnych siebie, popisujących się, grubiańskich narciarzy z Beverly Hills, których bardziej interesuje demonstrowanie ciuchów prosto z Rodeo Drive niż ochrona przyrody.

- Czy wszyscy mieszkańcy wyznają taką filozofię?

- Na szczęście tak, w przeciwnym razie nie mieszkaliby tam. Piękne widoki i cisza całkowicie nam wystarczają.

Wrzuciła dokładnie ogryzione kości do ogniska.

- Mówisz jak przeżytek z lat sześćdziesiątych.

- Jestem nim. Zmrużyła oczy.

- Należałeś do dzieci-kwiatów nawołujących do powszechnej harmonii? Brałeś udział w marszach pokojowych i uczestniczyłeś w protestach przeciwko wojnie? - spytała Rusty z przekąsem.

- Nie - odparł ostro. - Nie mogłem się doczekać wstąpienia do wojska. Chciałem iść na wojnę. Byłem zbyt głupi, by zdawać sobie sprawę, że będę musiał zabijać innych albo zginąć sam. Nie przypuszczałem, że mnie schwytają i zamkną w obozie. Tak się jednak stało. Po siedmiu miesiącach w tej cuchnącej norze uciekłem i wróciłem do domu jako bohater-powiedział z goryczą, po czym dodał: - Kumple w obozie jenieckim pozabijaliby się wzajemnie za taki posiłek, jaki właśnie zjadłaś. - Szare oczy rzuciły groźne błyski. - Dlatego nie robi na mnie wrażenia pani szyk i czar rodem z Beverly Hills, panno Carlson.

Raptownie wstał.

- Idę po wodę. Nigdzie nie odchodź.

Nie odchodź, przedrzeźniała go w myśli. No dobrze, dał jej do zrozumienia, gdzie jest jej miejsce, ale Rusty nie zamierzała nosić worka pokutnego i posypywać głowy popiołem do końca swoich dni. Mnóstwo mężczyzn walczyło w Wietnamie, po czym wracało do domu i prowadziło szczęśliwe, pożyteczne życie. To wina Coopera, że nie potrafił się dostosować. Żywił się własną goryczą. Czerpał z niej energię. Pielęgnował ją. Podsyczał swój spór ze społeczeństwem, ponieważ uważał, że jest mu coś winne.

Może istotnie tak było. Ona jednak nie miała z tym nic wspólnego. Nie była odpowiedzialna za zły los, który przypadł mu w udziale. To, że żywił pretensje do całego świata, nie czyniło go bardziej wartościowym od niej.

Kiedy wrócił, trwali we wrogim milczeniu. Wypiła swoją porcję wody z termosu. W milczeniu pomógł jej, gdy pokuśtykała między drzewa na parę chwil prywatności. Położywszy ją na grubym posłaniu, które stało się centrum ich świata, odezwał się:

- Muszę obejrzeć twoją nogę. Potrzymaj mi latarkę. Obserwowała, jak odwija bandaż, odkrywając poszarpany, nierówny rząd szwów. Patrzyła nań przerażona, ale Cooper wyglądał na zadowolonego ze swojego dzieła. Podtrzymując dłońmi jej łydkę, uniósł nogę, by przyjrzeć się jej uważniej.

- Ani śladu nowej infekcji. Obrzęk wyraźnie się zmniejszył.

- Blizna - szepnęła ochryple. Uniósł głowę i spojrzał na Rusty.

- Nie mogłem wiele na to poradzić. - Jego dolna warga zwięzła się do kreski, ledwie widocznej pod wąsami. - Ciesz się, że nie musiałem wypalać rany.

- Cieszę się. Uśmiechnął się szyderczo.

- Jestem pewien, że kosztowny chirurg plastyczny w Bever-ly Hills zlikwiduje ci tę bliznę.

- Musisz być taki złośliwy?

- Musisz być taka głupiutka? - Wycelował palec w kierunku wraku samolotu. - Jestem pewien, że każdy z tych facetów, których tam zostawiliśmy, dałby wiele za taką bliznę na goleni.

Miał rację, naturalnie, ale to nie oznaczało, że jego krytyczne uwagi mniej zaboląły. Zapadła w ponure milczenie. Polał jej nogę wodą utlenioną i ponownie ją zabandażował, potem dał jej jedną tabletkę penicyliny i dwie aspiryny. Popiła je wodą. Miała już stanowczo dość brandy.

Stan nietrzeźwości, jak niedawno odkryła, pobudzał ją emocjonalnie i seksualnie. Nie chciała myśleć o Cooperze Landrym inaczej niż jak o ohydny mordercy. Był zapalczym, gburowaty potworem, pielęgnującym urazę do świata. Gdyby jej życie nie zależało od niego, nie chciałyby mieć z nim nic wspólnego.

Już ulokowała się pod stosem futer, kiedy wśliznął się tuż obok i objął ją tak jak poprzedniej nocy.

- Jak długo jeszcze będziemy tu tkwić? - spytała za złością.

- Nie jestem jasnowidzem.

- Nie proszę cię o to, żebyś przewidział, kiedy nas znajda. Chodzi mi o to posłanie.

Nie możesz sklecić jakiegoś schronienia? Czegoś, w czym moglibyśmy się poruszać?

- Czyżby tutejsze warunki pani nie odpowiadały? Westchnęła poirytowana.

- Nieważne.

- W pobliżu strumienia jest kilka głązów - powiedział po chwili milczenia. - Jeden bok największego z nich został wyłobiony. Myślę, że przy odrobinie pomysłowości i wysiłku uda mi się tam sklecić coś w rodzaju przybudówki. To nie będzie nic wielkiego, ale lepsze niż ten obóz. I bliżej wody.

- Pomogę ci -zaofiarowała się skwapliwie.

Nie chodziło o to, że nie doceniała tego schronienia. Ostatniej nocy uratowało jej życie. Ale spanie tak blisko Coopera wprawiało ją w zakłopotanie. Jak tylko zdjął z siebie kurtkę,

podobnie jak to uczynił poprzedniej nocy, Rusty poczuła dotyk jego muskularnego torsu na swoich plecach. Mogła się założyć, że Cooper jest równie świadomy jej ciała.

Nie potrafiła myśleć o niczym innym, kiedy wsunął dłoń w wygodne miejsce między jej piersiami a talią. Nawet wcisnął kolana między jej kolana, znów unosząc jej chorą nogę. Chciała spytać go, czy to konieczne, ale ponieważ tak było jej o wiele wygodniej, nie skomentowała tego ani słowem.

- Rusty?

- Tak? - Jego ciepły oddech napłynął jej do ucha i wywołał gęsią skórę na ramionach. Wtuliła się w niego jeszcze bardziej.

- Obudź się. Musimy wstać.

- Wstawać? - jęknęła. - Dlaczego? Naciągnij przykrycie. Zimno mi.

- Właśnie. Jesteśmy mokrzy. Dostałaś gorączki i spociłaś się. Mnie też się dostało.

Jeśli nie wstaniemy i nie wysuszymy się, grozi nam zamarznięcie.

Oprzytomniała i przekręciła się na plecy. Mówił poważnie. Już odrzucał futra na bok.

- Co to znaczy, wysuszymy się?

- Rozbierzemy się i wytrzymemy. - Zaczął rozpinać swoją flanelową koszulę.

- Oszalałeś? Jest piekielnie zimno! - Krnąbrnie naciągnęła futro na siebie. Cooper zerwał je z niej jednym szarpnięciem.

- Rozbieraj się. I to już!

Zrzucił koszulę i cisnął ją na pobliski krzak. Jednym płynnym ruchem skrzyżował ramiona w pasie i ściągnął podkoszulek z golfem przez głowę. Przy tym ruchu włosy zabawnie uniosły mu się do góry, ale Rusty było nie do śmiechu. Śmiech -a właściwie jakikolwiek dźwięk - ugrzązał w jej zduszonym gardle. Przelotne spojrzenie na najwspanialszą męską pierś, jaką kiedykolwiek widziała, sprawiło, że oniemiała.

Pięknie rzeźbione mięśnie przeżyły się pod napiętą skórą. Otoczki ciemnych, stwardniałych od zimna brodawek zmarszczyły się. Wszystko było prowokacyjnie przesłonięte warstwą kędzierzawych włosów, które zwijały się i skręcały, schodziły w dół i zwięzały uwodzicielsko. Nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. Brzuch miał płaski i naciągnięty jak skóra na bębnie. Nie widziała wyraźnie jego pępka. Był schowany głęboko w seksownej kępcie włosów.

- Zaczynaj, Rusty, bo zrobię to za ciebie.

Jego groźba wyrwała ją z transu. Automatycznie ściągnęła z siebie sweter. Pod nim miała bawełniany golf, taki sam jak Cooper. Bezmyślnie manipulowała przy brzegu, obserwując, jak mężczyzna wstaje i ściąga dzinsy. Długie kalesony nie wyglądały szczególnie nęcąco.

Ale obnażony Cooper Landry wprost przeciwnie.

Po paru sekundach stał całkiem nagi na tle słabego żaru ogniska. Był pięknie zbudowany i hojnie wyposażony przez naturę - tak cudownie uformowany, że nie mogła oderwać od niego wzroku.

Powiesił zdjęte ubranie na krzaku, naciągnął na dłonie parę skarpetek i przejechał nimi po ciele, nie pomijając żadnego skrawka, po czym zdjął skarpetki z rąk.

Przykłęknąwszy, zanurzył rękę w jednym z plecaków w poszukiwaniu bielizny. Naciągnął parę slipów, wszystko bez najmniejszego zażenowania.

Kiedy odwrócił się do niej i zorientował się, że ani drgnęła, zmarszczył gniewnie czoło.

- No, dalej, Rusty! Spiesz się. Jest cholernie zimno. Sięgną po jej sweter, jedyną rzecz, jaką do tej pory zdjęła.

Kiedy podała mu go, powiesił go do wyschnięcia. Wyciągając rękę po następne rzeczy, strzelał szybko i rytmicznie palcami, ponaglając ją.

- Szybciej, szybciej!

Rzuciwszy mu niespokojne spojrzenie, zdjęła podkoszulek przez głowę i podała mu. Zimne powietrze zaparło jej dech. Natychmiast przemarzła i zaczęła drżeć tak gwałtownie, że nie była w stanie odpiąć guzika spodni.

- Sam to zrobię, do diabła. Nie mam zamiaru tu sterczeć tak całą noc. - Cooper opadł na kolana i niecierpliwie odepchnął jej ręce, odpiął guzik i odsunął suwak. Z obojętną miną zsunął jej spodnie i rzucił je na ślepo w kierunku najbliższego krzaka.

Ale powstrzymało go coś, czego najwidoczniej nie oczekiwał. Para wyjątkowo kobiecych, wyjątkowo skąpych majteczek bikini. Już przedtem widział obramowaną koronką nogawkę, ale nic więcej. Wpatrywał się w nie przez czas, który zdawał się wiecznością, aż w końcu burknął:

- Zdejmij je.

Rusty pokręciła głową.

- Nie.

Jego twarz przybrała groźny wyraz.

- Ściągaj je! - Rusty stanowczo potrząsnęła głową. Zanim zdołała się przeciw temu uzbroić, położył otwartą dłoń wprost na trójkątnym skrawku jedwabiu i koronki. - Są całkiem mokre. Ściągaj je.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu Rusty się poddała.

- Teraz wytrzyj się.

Podał jej bawełnianą skarpetkę, taką, jakiej użył sam. Przejechała nią po dolnej części ciała i nogach. Ze spuszczoną głową sięgnęła po omacku po rzeczy, które Cooper jej podał. Nie wybrał długich kalesonów, bo ocierałyby się o jej nogę. Naciągnęła parę majtek podobnych do tych, które właśnie zdjęła i które teraz zwisały z niższych gałęzi drzewa, trzepocząc jak flaga zwycięstwa.

- Teraz góra.

Jej stanik był równie frymuśny jak majtki. Tamtego ranka, kiedy opuszczała domek myśliwski, nałożyła rzeczy stosownie na powrót do cywilizacji. Po kilku dniach noszenia termicznej bielizny miała jej serdecznie dość. Pochyliwszy się do przodu, borykała się z zapięciem na plecach, ale palce miała tak sztywne z zimna, że nie mogła sobie poradzić. Mamrocząc przekleństwa, sięgnął za jej plecy. Niemal urwał zapięcie. Stanik opadł. Zsunęła ramiączka, odrzuciła go i spojrzała na niego wyzywająco.

Pod wąsami jego wargi były zaciśnięte w prostą kreskę. Zastygł na ułamek sekundy, a potem zaczął brutalnie pocierać bawełnianą skarpetką po jej szyi, klatce piersiowej, piersiach i brzuchu. Po czym, znów sięgnąwszy za nią, starł pot z jej pleców. Byli tak blisko, że jej oddech poruszał mu włosy na piersi. Wargi znalazły się niebezpiecznie blisko jednego z jego nabrzmiątych sutków. Jej sutki, twarde i sterczące z zimna, otarły się o jego skórę.

Szybko się cofnął i ze złością naciągnął jej przez głowę termiczny podkoszulek. Kiedy wpychała ręce w rękawy, ściągnął z postania wilgotne futro, na którym leżeli i wymienił je na inne.

- Nie jest tak miękkie jak tamto, ale za to suche.

- W porządku - powiedziała Rusty ochryple.

W końcu znów leżeli jak w kokonie. Nie opierała się, kiedy przyciągnął ją do siebie. Nie mogła opanować drżenia i dzwoniły jej zęby. Wkrótce zrobiło im się aż za gorąco. Ciała nie mogły sobie poradzić z powodu tego, co widziały oczy. Po głowach błąkały się erotyczne myśli.

Wystarczająco niepokojące było leżenie w jego uścisku w ubraniu. Dzielenie z nim postania w samej bieliźnie rozpałało zmysły Rusty do czerwoności. Gorączka ją opuściła, ale ciało płonęło.

Dotyk jego nagich, porośniętych szorstkimi włosami ud przy jej udach był tak przyjemny. Ponieważ nie miała na sobie stanika, czuła jego rękę spoczywającą tuż pod jej piersiami, niemal ich dotykającą.

Nie był odporny na tę wymuszoną intymność. Pospieszna wymiana futer na pościeli i ubrań kosztowała go sporo wysiłku, ale nie tylko dlatego ciężko oddychał. Jego pierś wznosiła się i opadała tuż przy jej plecach rytmicznie, ale szybciej niż zwykle.

A poza tym był jeszcze inny dowód jego podniecenia.

Skłoniło ją to do szeptu.

- Myślę, że nie muszę... opierać nogi na twojej. Z jego piersi wydobył się niski jęk.

- Nawet o tym nie mów. I, na litość boską, nie ruszaj się.

- Przepraszam.

- Za co? Nie masz wpływu na to, że jesteś piękna, tak samo jak ja nie mam wpływu na to, że jestem mężczyzną. Zdaje się, że musimy po prostu się z tym pogodzić.

Uszanowała jego prośbę i nie drgnął jej żaden mięsień. Nawet nie otwierała oczu, ale zasnęła z lekkim uśmiechem na wargach. Mimowolnie zapewne, ale powiedział jej, że uważa ją za piękną.

#### **Rozdział 4**

Wymuszona okolicznościami intymność nie zbliżyła ich do siebie. Przeciwnie, wkradło się pomiędzy nich skrepowanie i zażenowanie. Rozmowa się nie kleiła. Unikali swego wzroku. Ubrali się odwróceniem do siebie plecami. Ruchy obojga były nerwowe i niepewne, niczym ruchy obłożnie chorych, którzy dopiero co odzyskali władzę w członkach.

Małomówny i zamknięty w sobie Cooper wystrugał parę kul z dwóch grubych gałęzi. Z punktu widzenia estetyki pozostawiały wiele do życzenia, ale Rusty była mu i tak nieskończenie wdzięczna. Dzięki nim mogła się poruszać. Już nie będzie przykuta do pościeli.

Skwitował jej podziękowania mruknięciem i poszedł po wodę.

Kiedy wrócił, już oswoiła się z kulami i kuśtykała po polanie.

- Jak tam noga?

- W porządku. Obmyłam ją wodą utlenioną i wzięłam jeszcze jedną tabletkę aspiryny.

Myślę, że będzie dobrze. - Zdołała nawet ubrać się w jedyną parę całych spodni i włożyła buty. Ból zelżał na tyle, że dodatkowy nacisk materiału nie drażnił rany.

Wypili wodę z termosu. Musiało im to wystarczyć za śniadanie.

- Zabiorę się dziś do budowania szałasów - odezwał się Cooper.

Kiedy obudzili się rankiem, ich kokon z futer przyprószony był śniegiem, pierwszym zwiastunem nadchodzącej zimy. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że w tych okolicach zimy bywają surowe. Musieli koniecznie zapewnić sobie jakieś, nawet najbardziej prowizoryczne schronienie przed śniegiem, wiatrem i zimnem, dopóki nie nadejdzie pomoc. Gdyby nie zostali odnalezieni, tymczasowe schronienie niewiele by im dało, ale o tym żadne z nich nie chciało myśleć.

- W jaki sposób mogłabym ci pomóc?

- Możesz pociąć tę zamszową kurtkę na pasy. - Ruchem głowy wskazał kurtkę, która należała do jednej z ofiar, i podał Rusty drugi nóż. - Będę potrzebował mnóstwa rzemieni do powiązania pali ze sobą. Ja tymczasem pójdę zobaczyć, czy mamy coś na obiad. - Widząc jej pytający wzrok, wyjaśnił: - Wczoraj zastawiłem sidła.

Rozejrzała się niespokojnie po okolicy.

- Nie odejdziesz daleko, prawda?

- Niezbyt daleko. - Zarzucił strzelbę na ramię i sprawdził, czy ma w kieszeni pudełko z nabojami. - Wrócę, zanim trzeba będzie dorzucić do ognia. Na wszelki wypadek trzymaj

jednak pod ręką ten nóż i strzelbę. Wprawdzie nie zauważyłem śladów niedźwiedzi, ale nigdy nic nie wiadomo.

Nie mówiąc nic więcej, odwrócił się i znikł w gęstwinie drzew. Rusty stała, opierając się o kule. Serce podeszło jej do gardła. Niedźwiedzie?

Po chwili ochłonęła z paraliżującego strachu.

- To głupie - mruknęła do siebie. - Nic mi się nie stanie. Pożałowała, że nie ma małego radia - pozwoliłoby zagłuszyć tę przytłaczającą ciszę przerywaną tylko od czasu do czasu trzaskaniem gałązek i szelestem liści. Niewidzialni mieszkańcy lasu zabiegali o codzienne pożywienie. Rusty wypatrywała tych tajemniczych stworzeń, ale pozostawały w ukryciu i były tym bardziej intrygujące. Nie mogła zapomnieć o wzmiance Coopera o niedźwiedziach.

- Na pewno zrobił to rozmyślnie, tylko po to, żeby mnie przestraszyć - powiedziała na głos, rozdzierając ze złością nieustępliwy zamsz nożem zostawionym jej przez Coopera. Był mniejszy od tego, który sam nosił w pochwie przymocowanej do pasa.

W żołądku jej zaburczało. Pomyślała o świeżych, gorących, posmarowanych masłem rogalikach na śniadanie, podpieczonych bułeczkach i twarożku, ciepłych lukrowanych pączkach, naleśnikach, bekonie, szynce i jajkach. W rezultacie poczuła się jeszcze bardziej głodna. Jedyne, co mogła zrobić, to napełnić pusty brzuch wodą.

Wkrótce jednak picie takich ilości wody spowodowało kolejny problem. Zwlekała z tym, dopóki mogła, ale w końcu nie miała innego wyjścia. Przerwała pracę. Ostrożnie, bez odrobiny wdzięku czy lekkości, wstała i oparła przedramiona na kulach. Szła w kierunku przeciwnym do tego, który obrał Cooper, aż znalazła miejsce, w którym mogła spłacić dług naturze.

Zmagając się z kulami i z ubraniem i równocześnie sprawdzając, czy na ziemi nie ma żadnych pełzających stworzeń, dziwiła się samej sobie. Oto Rusty Carlson, księżniczka z Beverly Hills, szuka miejsca w lesie, żeby się załatwić!

Jej przyjaciele nigdy by nie przypuszczali, że zeszła tak nisko bez popadnięcia w obłęd, w szaleństwo. Ojciec nigdy by w to nie uwierzył. Jeśli przeżyje i opowie mu o tym, będzie z niej dumny.

Właśnie zapinała spodnie, kiedy w pobliżu usłyszała jakiś ruch. Odwróciła głowę w tamtym kierunku i nasłuchiwała. Cisza.

- Pewnie to tylko wiatr. - Jej głos brzmiał nienaturalnie donośnie i pogodnie. - Albo ptak. Albo może Cooper już wraca. Jeśli skrada się do mnie i uważa to za żart, nigdy mu nie wybaczę.

Zignorowała kolejny szelest, głośniejszy i bliższy niż poprzedni i, najszybciej jak mogła, ruszyła w stronę obozowiska. Potknąwszy się na nierównym gruncie, zacisnęła usta, zdecydowana nie piszczeć ani nie krzyżeć.

Cała odwaga ją opuściła, kiedy pomiędzy pni dwóch sosen wynurzyła się jakaś postać, która zagroziła jej drogę. Rusty uniosła głowę, ujrzała oczy jak paciorki, porośniętą włosami chytrą twarz i wydała z siebie krzyk mrozący krew w żyłach.

Cooper chciał wrócić najszybciej, jak to możliwe, postanowił jednak przedtem sprawić dwa złowione króliki. Wmawiał sobie, że kiedy poprzedniego dnia patroszył królika na oczach Rusty, nie poddawał jej próbie, ale w głębi duszy wiedział, że właśnie to zrobił. Chciał, żeby odwróciła się z obrzydzeniem, miała mdłości, wpadła w histerię, słowem, żeby okazała kobiecą słabość. Tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. Cooper przyjemnie się rozczarował. Rusty wyszła z próby o wiele lepiej, niż się spodziewał.

Rozmyślając o tym wszystkim, odrzucił wnętrzności na bok i zaczął oskrobywać skóry. Mogą się jeszcze przydać. Futro królicze było ciepłe i można by je wykorzystać, żeby Rusty...

Znowu ona. Czy w tych szczególnych okolicznościach nie potrafił już zainteresować się czymś innym? Czy naprawdę każda jego myśl musiała zatoczyć koło i wrócić do tej kobiety? W

jakim momencie oni dwoje, nieznajomi, których połączyła wspólna walka o przetrwanie, stali się parą tak nierozłączną jak Adam i Ewa?

Przypomniawszy sobie pierwszą myśl po odzyskaniu przytomności. Kiedy jej piękna twarz, otoczona burzą rdzawych loków, pochylała się nad nim, przyszła mu do głowy najwstrętniejsza sprosność, jaką marynarka wojenna kiedykolwiek ukuła, i omal nie powiedział tego na głos.

Ucieszył się, że żyje - ale nie do końca. Pomyślał, że lepiej byłoby umrzeć, niż być skazanym na towarzystwo urodziwej damy otulonej kosztownym futrem, w chmurze zmysłowych perfum, przyzwyczajonej do wszelkich życiowych wygod. Z dala od cywilizacji, w warunkach ekstremalnych, miała takie same szanse na przeżycie jak cukierek ślazowy nad ogniskiem.

Dla ratowania własnego życia był gotów na wszystko, tego nauczył się na wojnie. Katastrofa samolotu sprawiła, że automatycznie powrócił do praw dżungli, ponownie wszedł w rolę kogoś, kto za wszelką cenę chce pozostać przy życiu.

Zasada numer jeden: Albo zabijasz sam, albo zginiesz. Najważniejsze jest pozostanie przy życiu bez względu na to, jakim kosztem. Taktyki przeżycia, których uczono w wojskowych służbach specjalnych, nie brały pod uwagę sumienia. Robiłeś wszystko, co pozwalało przeżyć jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę, minutę. Wyznawał to credo i stosował w praktyce częściej, niż chciał pamiętać - a zbyt często, by zapomnieć.

Postawa tej kobiety go zaskoczyła. Rana na nodze sprawiła jej wiele bólu, ale ona się nie skarżyła. Nie narzekała, że jest głodna i spragniona. Nie jęczała, że jest jej zimno i się boi, choć Bóg jeden wie, że musiało tak być. Wbrew oczekiwaniu okazała się twarda i na razie się nie załamała. I raczej się nie załame, chyba że ich sytuacja ulegnie znacznemu pogorszeniu.

Oczywiście za jej sprawą doszły mu nowe problemy. Jak dotąd niewielu ludzi zyskało jego podziw. Nie chciał podziwiać Rusty Carlson, ale uświadomił sobie, że właśnie to robi.

Zaczynał również godzić się z faktem, że jest niemal uwięziony w środku lasu z podniecającą kobietą i że być może będą sami i zależni od siebie przez długi czas.

Demony, kierujące jego losem, przeszły tym razem same siebie. Zabawiały się jego kosztem wiele razy w przeszłości, ale na to, co stało się teraz, nie miał słów. Zupełnie jakby jego życie było okrutnym żartem, a ten wypadek stanowił jego puentę.

Z zasady gardził takimi kobietami jak Rusty Carlson. Nie widział pożytku z tych bogatych, głupich, urodzonych w czepku, powierzchownych ozdób towarzystwa. Nie wiedziały albo nie chciały wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz ich pozłacanych klatek. Czyżby los zadrwił sobie z niego, stawiając na jego drodze właśnie taką kobietę, która zdobyła jego mrukliwy szacunek, nie poddając się w okolicznościach najgorszych z możliwych?

Ale nawet to nie wystarczało złośliwym bogom. Mogłaby sobie być głupią lalką z towarzystwa, nie lepszą od guźca, jeśli chodzi o wygląd. Mogłaby mieć głos, od którego pęka szkło.

Zamiast tego los zetknął go z kobietą, która wyglądała jak marzenie. Z pewnością była dziełem szatana. Ucieleśnieniem pokusy. Z włosami o barwie cynamonu, którymi mężczyzna mógł się otulić, z piękną twarzą i zgrabną, smukłą figurą. Jej głos roztopiłby masło. Właśnie to przychodziło mu do głowy za każdym razem, kiedy się odezwała.

Co za okrutny żart losu. Nie wolno mu jej tknąć. Nigdy i pod żadnym pozorem. Kobiety takie jak ona szły za modą, były zmienne i kapryśne, nie liczyły się z uczuciami innych. Nie tylko w sprawach stroju; we wszystkim. Kiedy poznał Melody, w modzie było kochać się w weteranie z Wietnamu. Robiła tak, dopóki było jej z tym wygodnie.

Poskrob jedwabistą powłokę Rusty Carlson, a znajdziesz drugą Melody, podpowiadał mu głos wewnętrzny. Jego towarzyszka niedoli schlebiała mu i podporządkowała się tylko dlatego, że była na niego skazana i od niego zależało, czy wyjdzie cało z tej opresji. W głębi duszy była prawdopodobnie tak samo zepsuta i przebiegła jak tamta.



Przerzucił skórki królicze przez ramię, zawinał mięso w szmatkę i skierował się z powrotem do obozowiska. Nie da się w to wciągnąć, nie ma mowy. Nie mógł dopuścić do odczuwania cieplejszych uczuć wobec niej. Wczorajszego wieczoru pozwolił jej się wypłakać, bo uznał, że ona potrzebuje porządnego, oczyszczającego płaczu. Ale koniec z tym. Przytulał ją do siebie w nocy, ponieważ chroniło ich to przed zamrożeniem. Od teraz będzie trzymał się od niej z daleka. Jak tylko zbuduje schronienie, będą spali osobno. Nie będzie musiał przytulać się do niej, aby nie tracić cennego ciepła, nie będzie musiał hamować się całą siłą woli, gdy czuł jej smukłe ciało tuż przy swoim. Przestań o tym myśleć, nakazał sobie. Zapomnij o tym, jak gładki był jej brzuch pod twoją dłonią. Zapomnij o kształcie jej piersi i o kolorze włosów między udami.

Klnąc pod nosem, przedzierał się przez las, zdecydowany za wszelką cenę trzymać się swoich postanowień. Jak tylko wybuduje schronienie, taka bliskość nie będzie konieczna, a wtedy będzie mu łatwiej...

Rozdzierający krzyk zatrzymał go w miejscu.

Gdyby natrafił na niewidzialną ścianę, nie zatrzymałby się gwałtowniej. Kiedy kolejny krzyk Rusty wdarł się w panującą wokół ciszę, instynktownie wszedł w rolę wojownika w dżungli tak łatwo, jak dobrze nasmarowane biegi wchodzą w karby. Bezszelestnie prześlizgiwał się między drzewami w kierunku krzyku, z wyciągniętym nożem i groźnym grymasem na twarzy.

- Kim... kim jesteś? - Rusty zacisnęła rękę na szyi. Puls uderzał jej jak szalony.

Na brodatej twarzy nieznajomego pojawił się szeroki uśmiech. Mężczyzna odwrócił głowę i powiedział:

- Hej, tato, ona chce wiedzieć, kim jestem.

Drugi mężczyzna, starsza wersja pierwszego, wyszedł z chichotem pomiędzy drzew. Obydwaj gapili się na Rusty. Obydwaj mieli małe, ciemne, głęboko osadzone oczy.

- Moglibyśmy zapytać cię o to samo - odezwał się starszy z nich. - Kim jesteś, dziewczyno?

- Ja... uratowałam się z katastrofy samolotu. - Patrzyli na nią ze zdumieniem. - Nie wiecie o tym wypadku?

- Nie można powiedzieć, żebyśmy wiedzieli.

- Tam. - Wskazała drżącym palcem kierunek. - Przed dwoma dniami. Zginęło sześciu mężczyzn. Jestem ranna w nogę. - Wskazała kule.

- Uratowały się jeszcze jakieś kobiety?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Cooper rzucił się na starszego mężczyznę i przyłożył błyszczące ostrze noża do jego zarośniętej szyi. Uchwycił ramię nieznajomego, wykręcił do tyłu i wsunął mu rękę między łopatki. Nóż myśliwski mężczyzny upadł z brzękiem tuż przy jego nodze.

- Odsuń się od niej albo go zabiję - powiedział Cooper do jego oszołomionego towarzysza.

Młody człowiek patrzył na Coopera, jakby ten był wcieleniem szatana, który wyskoczył na ziemię wprost z piekielnych czeluści.

- Powiedziałem, żebyś się od niej odsunął. - Głos Coopera wydawał się tak morderczy jak jego nóż. Był pozbawiony modulacji, emocji. Młody mężczyzna zrobił dwa duże kroki w bok. - Teraz rzuć strzelbę - rozkazał Cooper.

Ponieważ napastnik okazał się jednak istotą ludzką, oblicze młodszego mężczyzny zmarszczyło się buntowniczo.

- Tato, czy muszę...

- Zrób, jak powiedział, Reuben.

Młodszy mężczyzna z ociąganiem rzucił strzelbę na ziemię. Teraz Cooper odsunął nogą obie strzelby poza zasięg nieznanym i powoli zwolnił ucisk noża na gardle starszego z nich. W końcu puścił go i stanął u boku Rusty, twarzą do obydwóch.

- Rusty? Wszystko w porządku?

- Tak.

- Zranili cię?

- Tylko przestraszyli. Na pewno nie mieli takiego zamiaru. Cooper nie odrywał podejrzliwego wzroku od mężczyzn.

- Coście za jedni? - spytał ostrym, władcym tonem. Starszy z mężczyzn odpowiedział mu natychmiast.

- Quinn Gawryłow. A to mój syn, Reuben. Mieszkamy tu. Po drugiej stronie głębokiego parowu. - Mężczyzna wskazał podbródkiem kierunek.

Cooper odkrył ten parów poprzedniego dnia. Strumień, z którego brał wodę, płynął jego dnem. Nie przechodził na drugą stronę, ponieważ nie chciał zostawiać Rusty samej na tak długo. Teraz dziękował Bogu, że tego nie zrobił. Ci mężczyźni mogli być całkowicie nieszkodliwi, ale mogło też być inaczej. Jego nieufność przysłużyła się mu przy niejednej okazji. Dopóki nie udowodnią, że jest inaczej, będzie traktował tych dwóch jak wrogów. Jak dotąd, nie zrobili niczego złego, ale nie podobało mu się to, jak młodszy gapił się na Rusty. Zupełnie jakby była niebiańskim zjawiskiem.

- Dlaczego przeszliście parów? - spytał.

- Ostatniej nocy poczuliśmy zapach dymu, więc postanowiliśmy sprawdzić, co to może być. Na ogół w naszych lasach nie spotyka się ludzi.

- Nasz samolot się rozbił.

- To właśnie powiedziała młoda dama.

A więc awansowała z dziewczyny na młodą damę. Rusty w duchu podziękowała za to Cooperowi. Ją też niepokoiło spojrzenie młodego mężczyzny, więc przysunęła się do Coopera, kryjąc się za jego ramieniem.

- Jak daleko jest stąd do najbliższego miasta? - spytała.

- Sto sześćdziesiąt kilometrów. - Jej nadzieje gwałtownie zgasły. Mężczyzna najwidoczniej to spostrzegł. - Rzeka jest znacznie bliżej.

- Mackenzie?

- Tak. Jeśli dotrzecie do niej, zanim zamrznie, będziecie mogli złapać statek płynący do Yellowknife.

- Jak daleko stąd do rzeki? - spytał Cooper.

Quinn poskrobał się w głowę pod wełnianą czapkę robioną na drutach.

- Jakies piętnaście, dwadzieścia kilometrów, prawda, Reuben? Młodszy mężczyzna gwałtownie skinął głową, nie odrywając pożądlivego wzroku od Rusty. Cooper spojrział na niego kątem oka. W jego wzroku czaiła się niechęć i groźba.

- Moglibyście zaprowadzić nas do rzeki?

- Tak - odparł starszy Gawryłow. - Jutro. Dziś damy wam jeść. Odpoczniecie. - Popatrzył na świeże mięso, które Cooper upuścił na ziemię. - Przyjmiecie zaproszenie do naszej chaty?

Rusty zerknęła z nadzieją na Coopera. Jego twarz nie wyrażała niczego. Uważnie obserwował mężczyzn. Po długiej chwili odezwał się:

- Dzięki. Rusty przyda się posiłek i odpoczynek przed drogą. Idźcie przodem. - Strzelbą wskazał kierunek do obozowiska.

Mężczyźni przykucnęli, by wziąć strzelby. Rusty poczuła, jak mięśnie Coopera napinają się w gotowości. Ale zarówno ojciec, jak i syn zarzucili strzelby na ramiona i udali się we wskazanym kierunku. Cooper spojrział na nią i mruknął kącikiem ust:

- Trzymaj się blisko mnie. Gdzie jest nóż, który ci dałem?
- Zostawiłam go, kiedy poszłam...
- Miej go cały czas przy sobie.
- O co ci chodzi?
- O nic.

- Niezbyt się cieszysz ze spotkania z nimi. Ja jestem zachwycona. Mogą nas stąd wyprowadzić.

Jego jedynym komentarzem było wypowiedziane przez zaciśnięte wargi:

- Taak.

Zaimprovizowane obozowisko zrobiło na Gawryłowach wrażenie. Pomogli pozbierać skóry i rzeczy, które Cooper i Rusty uratowali z katastrofy. W głuszy wszystko może się przydać. Reuben zasypał ognisko kamieniami, żeby na pewno wygasło.

Cała grupa z Quinnem na przedzie, za którym szedł jego syn, skierowała się do chaty. Cooper zamykał pochód. Tym sposobem miał oko zarówno na Gawryłowów, jak i na Rusty, która radziła sobie o kulach coraz lepiej.

Mężczyźni wydawali się w porządku. Może i mieli dobre intencje, ale Coopera życie dość boleśnie nauczyło, by nikomu nie ufać. Widział zbyt wielu żołnierzy rozrywanych na kawałki ręcznymi granatami podawanymi im przez uśmiechnięte dzieci.

Przy strumieniu zatrzymali się na odpoczynek. Rusty wydawało się, że wkrótce płuca odmówią jej posłuszeństwa. Serce biło dwa razy szybciej, a kule ocierały pachy, choć Cooper próbował temu zapobiec, owijając górną część zapasowymi podkoszulkami.

- Jak się czujesz? - spytał, podając jej termos.
- Dobrze. - Zmusiła się do uśmiechu.
- Boli cię noga?
- Nie, ale mam wrażenie, że waży tonę.
- Chata musi być niedaleko stąd. Do końca dnia będziesz mogła odpoczywać.

Gawryłowowie czekali cierpliwie w pobliżu, aż Rusty złapie oddech i będzie gotowa ruszyć w dalszą drogę.

- Przejdziemy wodę w najłatwiejszym miejscu - powiedział starszy z nich.

Szli parowem przez kilkaset metrów. W innych okolicznościach Rusty byłaby oczarowana widokiem. Strumień okazał się krystalicznie czysty. Szemrał po kamieniach wypolerowanych toczącą się po nich wodą. Wznoszące się nad nim drzewa tworzyły różnobarwny baldachim. Igły były tak intensywnie zielone, że robiły wrażenie niebieskich. Barwy liści przechodziły od intensywnie czerwonych do tętniących żółcią. Przed nadciągającą zimą wiele opadło już na ziemię. Teraz tworzyły szeleszczący pod stopami dywan.

Kiedy Gawryłowowie zatrzymali się, wyczerpana Rusty położyła kule na ziemi i z ulgą usiadła na skale przy strumieniu, który w tym miejscu był wyjątkowo płytki. Brzeg parowu wznoszący się po drugiej stronie wydawał się wysoki i nie do zdobycia niczym Himalaje.

- Tutaj - powiedział Quinn. - Ja poprowadzę. Reuben może nieść kobietę. Ty możesz wziąć wasze rzeczy.

- Reuben może wziąć rzeczy. Ja będę niósł kobietę- skorygował Cooper tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami i polecił synowi wziąć tobołki. Reuben zrobił, jak mu kazano, ale nie obyło się bez rzucenia Cooperowi niechętnego spojrzenia. Nieporuszony Cooper zrewanżował się tym samym. Nie dbał, czy młodszemu Gawryłowowi to się podoba, czy nie. Nie zamierzał pozwolić, żeby te brudne łapy dotykały Rusty.

Kiedy ojciec i syn oddalili się na tyle, że nie mogli ich słyszeć, pochylił się nad nią i powiedział cicho:

- Nie wahaj się użyć noża. - Popatrzyła na niego z trwogą.

- Tylko w przypadku, kiedy nasi samarytanie zwrócą się przeciwko nam. - Położył jej na kolanach kule i wziął ją na rękę.

Gawryłowowie byli już w połowie drogi do wyjścia z parowu. Poszedł za nimi, spoglądając to na Rusty, to na zdradliwie strome zbocze. Gdyby spadł, Rusty spadłaby razem z nim. Nie dała niczego po sobie poznać, ale wiedział, że noga musi ją porządnie boleć.

- Naprawdę myślisz, że jutro wszystko się skończy, Cooper?

- Wygląda na to, że mamy całkiem niezłe szanse pod warunkiem, że uda nam się dotrzeć do rzeki i natrafimy na jakiś statek.

- Oddychał z trudnością. Pot wystąpił mu na czoło.

- Powinieneś się ogolić. - Ta rzucona mimochodem uwaga uświadomiła obojgu, jak dokładnie Rusty przyglądała się jego twarzy. Popatrzył uważnie na dziewczynę. Zakłopotana odwróciła wzrok i szepnęła: - Przepraszam, że jestem taka ciężka.

- To ubranie waży, a nie ty.

Ta uwaga przypomniała obojgu, że widzieli się bez ubrania. Rusty uznała, że jeśli rozmowa ma ich krępować, to lepiej milczeć.

Poza tym wspięli się już na górę. Quinn zuł prymkę tytoniu. Reuben zdjął wełnianą czapkę i wachlował się nią. Tłuste, ciemne włosy przylegały mu do głowy.

Cooper złożył swój ciężar na ziemi.

- Może zaczekamy, aż odpoczniecie - zaproponował Quinn. Cooper popatrzył na Rusty. Twarz miała bladą ze zmęczenia.

Noga z pewnością jej dokuczała. Wilgotny wiatr wzmógł się, wskutek czego zrobiło się znacznie chłodniej. Bez wątplenia potrzebowała odpoczynku, ale z drugiej strony, im szybciej znajdzie się pod dachem i położy, tym lepiej dla niej.

- Nie ma potrzeby czekać. Ruszajmy - powiedział zwięźle. Pomógł Rusty wstać i podał jej kule. Zauważył, że krzywi się z bólu, ale postanowił nie okazywać jej współczucia i dał przewodnikom znak, że są gotowi do dalszego marszu.

Pozostały odcinek drogi do chaty biegł po płaskim terenie. Jednakże kiedy do niej dotarli, Rusty była całkiem wyczerpana. Padła na zapadnięty ganek jak szmaciana lalka.

- Wnieśmy kobietę do środka - powiedział Quinn, pchnąwszy drzwi.

Chwiejące się drzwi były przymocowane do framugi skórzanymi zawiasami. Wnętrze chaty wyglądało wręcz odpychająco. Rusty lękliwie zerknęła do środka. W tym momencie doszła do wniosku, że są gorsze rzeczy niż sypianie pod gołym niebem.

Cooper z kamienną twarzą wziął ją na rękę i wniósł do ponurego wnętrza. Małe, zarośnięte brudem okienka niemal nie przepuszczały światła dziennego. Nikły, kopący ogień słabo oświetlał izbę, ale to, co ujrzeli Rusty i Cooper, stanowczo lepiej by się prezentowało ukryte w mroku.

Chata była ohydna. Cuchnęła wilgotną wełną, zjełczalym tłuszczem i niemytymi ciałami. Jediną jej zaletą było to, że chroniła przed zimnem. Cooper zaniósł Rusty w pobliże kamiennego paleniska i posadził na twardym krześle z prostym oparciem. Odwrócił do góry dnem aluminiowe wiadro i oparł na nim jej chorą nogę. Pogrzebał w palenisku żelaznym pogrzebaczem. Słabe płomyki ożyły, kiedy dorzucił do ognia trochę patyków z drewnianej skrzynki stojącej przy palenisku.

Gawryłowowie weszli ciężko do środka. Reuben zamknął drzwi, pogłębiając panujący wewnątrz mrok. Mimo ciepła, które dawał teraz ogień, Rusty zadrżała i szczerzej otuliła się kurtką.

- Pewnie jesteście głodni. - Quinn podszedł do opalanej drewnem kuchenki w rogu izby. Uniósł pokrywkę garnka stojącego na ogniu i zajrzał do środka. - Gulasz wygląda na gotowy. Macie ochotę?

Rusty już miała odmówić, ale Cooper odpowiedział za nich oboje.

- Tak, prosimy. Macie kawę?
- Jasne. Reuben, przygotuj kawę.

Młody Gawryłow, odkąd wszedł do środka i rzucił bagaż przy drzwiach, nie odrywał wzroku od Rusty.

Cooper powiódł wzrokiem za jego gamoniowatym spojrzeniem. Był wściekły, że włosy Rusty lśnią w blasku ognia. W bladej, wymizerowanej twarzy jej oczy były olbrzymie, wrażliwe. Na młodym mężczyźnie, który najwidoczniej mieszkał w tej głuszy tylko w towarzystwie ojca, wrażenie wywarłaby każda kobieta, niekoniecznie ładna. Taka piękność jak Rusty z pewnością ucieleśniała jego najskrytsze fantazje.

Reuben zanurzył rękę w metalowym pojemniku z kawą i wsypał garść do aluminiowego garnka. Napełnił garnek wodą z pompy nad zlewem i postawił go na kuchence. Po paru minutach goście dostali miski napełnione gulaszem. Rusty uznała, że lepiej nie wiedzieć, co w nim jest, więc powstrzymała się od pytania. Żuła i przełykała szybko. Przynajmniej był gorący i sycący. Kawa była tak mocna, że wykrzywiała twarz, ale Rusty wypijała cały kubek.

Podczas jedzenia obydwój z Cooperem czuli się jak aktorzy na scenie. Spojrzenie starszego mężczyzny było mniej nachalne niż syna, ale być może bardziej spostrzegawcze. Głęboko osadzonym oczom nie uchodził uwagi ich najmniejszy ruch.

W końcu przerwał ciszę pytaniem.

- Jesteście małżeństwem?
- Tak - skłamał gładko Cooper. - Od pięciu lat.

Rusty przełknęła trzymany w ustach kęs, mając nadzieję, że Gawryłowowie nie zauważą, z jakim trudem jej to przyszło. Była rada, że Cooper przejął inicjatywę i odpowiedział. Ona nie potrafiłaby wydusić słowa.

- Macie dzieci?

Tym razem Coopera zamurowało, więc Rusty musiała go wyręczyć.

- Nie. - Miała nadzieję, że odpowiedź zadowoliła jej „męża”. Zamierzała zapytać go później, dlaczego skłamał, ale na razie postanowiła trzymać się jego wersji. Wprawdzie był do przesady nieufny, ale raczej sprzymierzyłaby się z nim niż z Gawryłowami.

Cooper skończył jeść, odsunął na bok miskę i kubek i rozejrzał się po chacie.

- Nie macie nadajnika, prawda?
- Nie.
- Czy słyszeliście ostatnio jakieś samoloty?

- Ja nie słyszałem. Reuben? - Gawryłow trącił zagapionego syna w kolano. Młodszy mężczyzna z niechęcią oderwał wzrok od Rusty.

- Samoloty? - powtórzył bezmyślnie.
- Rozbiliśmy się przed dwoma dniami - wyjaśnił Cooper. - Do tej pory musiano się zorientować, że coś się wydarzyło. Myślałem, że może wysłano już ekipę w poszukiwaniu rozbitków.

- Nie słyszałem żadnych samolotów - burknął Reuben i znowu zaczął gapić się na Rusty.

- Jak możecie wytrzymać z dala od świata? - spytała. Taka dobrowolna izolacja przyprawiała ją o przerażenie. Nie

mogła sobie wyobrazić, jak można było z własnej woli wybrać życie bez wygód, jakie oferuje miasto. Nawet życie na wsi byłoby do zniesienia, jeśli od czasu do czasu można by wyskoczyć do miasta. Ale zerwać z rozmysłem wszystkie więzi z cywilizacją. ..

- Dwa razy do roku, w kwietniu i październiku, idziemy nad rzekę i łapiemy statek płynący do Yellowknife. Zostajemy tam kilka dni, sprzedajemy skóry, robimy zakupy i wracamy. Właśnie tyle potrzebujemy od tak zwanego świata.

- Ale dlaczego? - dopytywała się Rusty.

- Mam dość miasta i ludzi. Swego czasu mieszkałem w Edmonton, pracowałem przy załadunku frachtowców. Pewnego dnia szef oskarżył mnie o kradzież.

- Miał powód?

Rusty była zaskoczona śmiałością Coopera, ale starszy mężczyzna nie sprawiał wrażenia urażonego tym bezpośrednim pytaniem. Tylko zarechotał i wypluł włóknisty kawałek tytoniu wprost do ogniska.

- Łatwiej było zniknąć, niż iść do sądu i udowodniać swoją niewinność - powiedział wymijająco. - Matka Reubena już wówczas nie żyła. Po prostu wyjechaliśmy. Wzięliśmy tylko pieniądze i to, co mieliśmy na sobie.

- Kiedy to było?

- Dziesięć lat temu. Przez jakiś czas kręciliśmy się to tu, to tam. Z czasem trafiliśmy tutaj. Spodobało nam się, więc zostaliśmy. - Wzruszył ramionami. - Nigdy nie mieliśmy ochoty wrócić.

Rusty skończyła jeść, ale Gawryłowom najwyraźniej odpowiadało wpatrywanie się w niespodziewanych gości.

- Jeśli pozwolicie - powiedział Cooper, przerywając niezręczną ciszę - chciałbym obejrzeć nogę mojej żony.

Te dwa słowa „mojej żony” łatwo pojawiły się na jego ustach, ale w uszach Rusty trąciły fałszem. Zastanawiała się, czy Gawryłowowie uwierzyli, że oni są małżeństwem.

Quinn zaniósł naczynia do zlewu, gdzie zalał je wodą.

- Reuben, zajmij się swoją robotą.

Młody mężczyzna najwyraźniej nie miał na to ochoty, ale kiedy ojciec posłał mu groźne, rozkazujące spojrzenie, z ociąganiem poszedł w kierunku drzwi, nakładając po drodze kurtkę i czapkę. Quinn wyszedł na ganek i zaczął ustawiać drewno na opał tuż przy ścianie chaty.

Rusty pochyliła się ku Cooperowi, kiedy ten ukląkł przed nią.

- Co myślisz?

- O czym?

- O nich - odparła cierpko. Cooper złapał brzeg jej spodni w palce i przeciął je nożem aż do wysokości kolana. Syknęła ze złości. - Dlaczego to zrobiłeś? To moja ostatnia para spodni. Jeśli będziesz ciął na strzępy wszystko po kolei, wkrótce nie będę miała co na siebie włożyć.

Przeszył ją twardym spojrzeniem.

- Wolałabyś je zdjąć i zademonstrować Reubenowi te mikroskopijne figi, które masz na sobie? W każdej chwili może wrócić.

Otworzyła usta, ale nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc zamknęła je bez słowa. Tymczasem Cooper odwinął bandaż i obejrzał ranę. Wyglądało na to, że wędrowka jej nie zaszkodziła. Ale ból powrócił. Oszukiwanie Coopera zdałoby się na nic. Widział, jak się krzywiła podczas opatrunku.

- Boli cię?

- Tak, trochę - przyznała.

- Oszczędzaj ją do końca dnia. Możesz siedzieć albo położyć się na posłaniu, które zaraz przygotuję.

- Posłaniu? A co z łózkami? - Zerknęła w kąt izby, gdzie przy sąsiadujących ścianach stały dwa łóżka. - Myślisz, że nie zaproponują mi jednego?

Roześmiał się.

- Jestem pewien, że Reuben byłby zachwycony, mogąc je z tobą dzielić. Ale radziłbym ci trzymać się z daleka, chyba że chcesz, by cię oblażył wszy.

Mimo bólu Rusty gwałtownie wyszarpnęła nogę. Cooper po prostu nie potrafił być miły. Trzymali się razem, ponieważ nie mieli innego wyjścia, ale nie byli przyjaciółmi. Co to, to nie.

## Rozdział 5

Wczesnym wieczorem zjedli kolejny posiłek z Gawryłowami. Rozmowa o trudach wędrówki do Mackenzie przeciągnęła się długo po jedzeniu.

- Nie prowadzi tam żadna ścieżka. To dziki teren, więc dojdzie zajmie cały dzień - uprzedził ich Quinn Gawryłow.

- Wyruszymy, jak tylko się rozwidni. - Cooper nie spuszczał Rusty z oka. Obserwował ją bacznie przez całe popołudnie. Teraz, kiedy usiadła na krześle z oparciem, przycupnął na podłodze obok niej i w geście posiadacza przerzucił rękę przez jej udo. - Nie mamy wielu rzeczy. Nie zamierzam brać wszystkiego. Tylko to, co okaże się niezbędne.

- Co z kobietą? - spytał Quinn.

Rusty poczuła przez materiał spodni, jak ramię Coopera tężeje.

- Jak to co?

- Ze względu na nią będziemy musieli iść wolniej.

- Zostanę tu z nią, tato - zaofiarował się rycersko Reuben.

- Nie. - Ostry głos Coopera przeciął powietrze. - Rusty pójdzie z nami. Nieważne, jak długo będziemy musieli iść.

- Dla nas to też nie ma znaczenia - Quinn podkreślił swoje słowa wzruszeniem ramion - ale myślałem, że zależy wam na jak najszybszym skontaktowaniu się z rodziną i przyjaciółmi. Na pewno martwią się o was.

- Cooper - wtrąciła Rusty - nie mam nic przeciwko zostaniu tu samej. Jeśli beze mnie możecie przebyć dłuższą trasę, to chyba rozsądne, prawda? Jak tylko dotrzesz do telefonu, mógłbyś zadzwonić do ojca. Wyśle kogoś i do jutrzejszego wieczora byłoby po wszystkim.

Na jej twarzy malowało się strapienie. Gdyby nie było innego wyjścia, poszłaby z nimi i znosiła trudy wędrówki. Ale nawet gdyby nie była ranna, nie byłoby jej łatwo pokonać dwadzieścia parę kilometrów dziewiczego lasu. Siłą rzeczy spowodowałyby opóźnienie, co z kolei mogłoby ich zmusić do rozbicia obozu na noc.

Cooperowi nie podobał się pomysł zostawienia Rusty samej. Mimo że była dzielna i odważna, nie byłaby w stanie skutecznie się obronić. W tej głuszy, zupełnie sama, była bezradna jak niemowlę. Przekonywał sam siebie, że nie przemawiają przez niego sentymenty. Po prostu, skoro przeżyła w tak trudnych warunkach mimo niewiarygodnych przeszkód, nie zniósłaby, gdyby coś stało jej się teraz, kiedy ratunek był bliski. Zacisnął opiekuńczo dłoń na jej kolanie.

- Poczekajmy i zobaczymy, jak będziesz się czuła rano. Kolejne godziny wlokły się niemiłosiernie. Rusty nie mogła

pojąć, jak to możliwe, że Gawryłowowie nie popadli w obłąd. W chacie nie było nic do robienia, nic do czytania, nic do posłuchania czy obejrzenia - z wyjątkiem siebie nawzajem. A kiedy i to im się znudziło, wszyscy wpatrywali się w trzeszczącą lampę naftową, która dawała więcej cuchnącego, smolistego dymu niż światła.

Można było oczekiwać, że pustelnicy zasypią ich pytaniami o cywilizowany świat, ale Gawryłowowie wykazywali kompletny brak zainteresowania cokolwiek poza swymi „włóściami”.

Rusty, która miała wrażenie, że lepi się od brudu, nieśmiało poprosiła o miskę wody. Reuben, niosąc ją, potykał się o własne nogi i zanim udało mu się ją postawić, rozlał trochę wody na kolana Rusty.

Zawinęła rękawy swetra do łokci i umyła twarz i ręce mydłem, które Cooper pozwolił jej wziąć z samolotu. Miała ochotę dłużej cieszyć się cudownym uczuciem świeżości, jakie dawało opryskiwanie twarzy, ale czuła na sobie trzy pary oczu. Kiedy Cooper rzucił jeden z jej własnych podkoszulków, przyjęła go z żalem i wytarła twarz.

Wziąwszy szczotkę, zaczęła przeciągać ją przez włosy, nie tylko brudniejsze niż kiedykolwiek w życiu, ale również matowe i splątane. Zaledwie zaczęła je rozczesywać, kiedy Cooper wyrwał jej szczotkę z rąk i powiedział apodyktycznie:

- Wystarczy.

Gwałtownie odwróciła się ku niemu, gotowa zaprotestować, ale powstrzymał ją widok jego kamiennej twarzy. Przez cały dzień zachowywał się dziwnie - dziwniej niż zwykle. Chciała zapytać, co, u licha, mu się stało, dlaczego jest taki drażliwy, ale roztropnie uznała, że to nie najlepszy czas na kłótnię.

Musiła jednak dać mu do zrozumienia, że jest wściekła. Zabrała mu szczotkę i schowała ją do swojej cennej kosmetyczki z przyborami toaletowymi. Tylko one przypominały jej, że gdzieś na świecie istnieje jeszcze ciepła woda, mleczko kosmetyczne, perfumy, kąpiel w pianie i emulsja do rąk.

W końcu wszyscy udali się na spoczynek. Spała z Cooperem tak jak podczas dwóch poprzednich nocy. Leżała twarzą do ogniska, z uniesioną wysoko zranioną nogą. Cooper przygotował posłanie ze skór, które przynieśli ze sobą. Taktownie odmówił Quinnowi, kiedy ten zaoferował im łóżko.

Cooper nie przytulił się do niej tak jak poprzednio. Leżał na boku, spięty i czujny.

- Przestań się tak rzucać - szepnęła po półgodzinie. - Co cię dręczy?

- Przymknij się i śpij.

- A dlaczego ty nie śpisz?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Wyjaśnię ci to, kiedy się stąd wydostaniemy.

- Wyjaśnij mi teraz.

- Nie powinienem. Domyśl się sama.

- Czy to ma coś wspólnego z powodem, dla którego im powiedziałaś, że jesteśmy małżeństwem?

- Wszystko. Zastanawiała się przez chwilę.

- Przyznaję, że są trochę niesamowici, wiesz, chodzi mi o sposób, w jaki się w nas wpatrują. Ale jestem pewna, że to tylko ciekawość. Poza tym teraz śpią kamiennym snem. - Dwugłos głośnego pochrapywania powinien go upewnić, że Gawryłowowie są w tej chwili zupełnie nieszkodliwi.

- To dobrze - burknął. - Ty powinnaś zrobić to samo. Dobranoc.

Zirytowana odwróciła się na bok. W końcu zapadła w głęboki sen. Był niemiłosiernie krótki. Wydawało jej się, że upłynęły zaledwie minuty, odkąd zamknęła oczy, a już Cooper potrząsał nią, żeby się przebudziła. Jęknęła w proteście, ale przypomniawszy sobie, że dzisiejszego dnia jej mordęga może dobiec końca, usiadła na posłaniu.

Choć chata była wciąż pogrążona w ciemnościach, Rusty widziała poruszające się po izbie mgliste zarysy postaci Coopera i obu Gawryłowów. Quinn stał przy kuchni, parząc kawę i mieszając gulasz. On pewnie nigdy się nie wyczerpuje, tylko wciąż coś do niego dodają, pomyślała. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że się nie zatruje.

Cooper ukląkł obok niej.

- Jak się czujesz?

- Zimno mi - odparła, rozcierając dłońmi ramiona. Chociaż nie spała w jego uścisku, ciepło bijące od jego ciała ogrzewało ją skuteczniej niż puchowa kołdra.

- Pytałem o twoje zdrowie. Co z nogą?

- Sztynna, ale boli mniej niż wczoraj.

- Jesteś pewna?

- Najpewniejsza.

- Wstań i spróbuj się na niej poruszać. Sprawdźmy to.



Pomógł jej stanąć na nogi. (idy tylko włożyła kurtkę i wsparła się na kulach, zaprowadził ją do toalety. Chata Gawryłowów nie miała kanalizacji.

Kiedy wyszła z szopy, zachmurzone niebo zdążyło już przybrać bladoszarą barwę. Światło dzienne tylko podkreśliło mizerny wygląd Rusty. Dla Coopera było oczywiste, że wysiłek wyjścia z domu i pójście do toalety całkiem ją wyczerpały. Ciężki oddech tworzył obłoczki pary wokół jej głowy.

Cooper zaklął pod nosem.

- O co chodzi? - spytała z obawą.

- Nie pokonasz tej trasy, Rusty. Nawet przez parę dni. - Trzymając ręce na biodrach, wyrzucił z siebie w obłoku pary: - Co ja, u diabła, mam z tobą zrobić?

Nie złagodził tego pytania nawet odrobiną delikatności czy współczucia. Ton jego głosu dawał do zrozumienia, że wolałby nie musieć się o nią martwić.

- Cóż, przykro mi, że sprawiam tyle kłopotów, panie Landry. Dlaczego nie umieścisz mnie w pułapce na niedźwiedzia w charakterze przynęty? Wówczas mógłbyś biec truchtem przez całą drogę do tej przekłętą rzeki.

Dał krok do przodu i przyciągnął jej twarz do swojej.

- Słuchaj, mała, jesteś najwidoczniej zbyt naiwna, żeby to dostrzec, ale w grę wchodzi o wiele więcej niż samo dotarcie do rzeki.

- Jeśli o mnie chodzi, nie - burknęła. - Dla mnie mógłbyś tam polecieć na skrzydłach. Chcę się stąd wydostać, znaleźć daleko od ciebie, z powrotem w domu, gdzie jest moje miejsce.

- W porządku. - Okręcił się wokół własnej osi i skierował do chaty. - Znajdę się tam o wiele szybciej, jeśli nie będziesz wlokła się ze mną. Zostaniesz tutaj.

- W porządku! - zawołała za nim ze łzami w oczach. Potem, zaciskając zęby tak uparcie jak on, pokuśtykała po wzniesieniu w stronę chaty. Kiedy doszła do drzwi, które Cooper w pośpiechu zostawił uchylone, mężczyźni kłócili się zawzięcie. Obróciwszy się bokiem, wgramoliła się do środka, pomagając sobie łokciem.

- Niech pan będzie rozsądny, Gawryłow - mówił Cooper. - Reuben jest o dwadzieścia lat młodszy od pana. Zależy mi na tym, żeby iść szybko. On może pójść ze mną. Pan zostanie z moją... moją żoną.

- Ale, tato...

- On ma rację, Reuben. Możesz iść o wiele szybciej niż ja. Jeśli będziecie mieli szczęście, dojdziecie do rzeki wczesnym popołudniem.

Ten plan zupełnie się Reubenowi nie podobał. Młody mężczyzna obrzucił Rusty ostatnim łakomym spojrzeniem, po czym wyszedł z ociąganiem, mamrocząc coś pod nosem. Cooper również nie wyglądał na szczęśliwego. Odciągnął Rusty na bok i wręczył jej pistolet sygnalizacyjny, zwięźle instruując ją, jak się nim posługiwać.

- Jak myślisz, poradzisz sobie z tym?

- Nie jestem idiotką.

Przez chwilę wyglądała na to, że ma ochotę się spierać, ale najwyraźniej zmienił zdanie.

- Jeśli usłyszysz samolot, wyjdź z chaty tak szybko, jak zdołasz i wystrzel w powietrze.

- Dlaczego nie bierzesz go ze sobą?

Cooper miał pistolet w zasięgu ręki, odkąd opuścili wrak samolotu.

- Ponieważ dach chaty łatwiej dostrzec niż dwóch mężczyzn idących pieszo. To też trzymaj przy sobie. - Zanim zorientowała się, o czym on mówi, odciągnął pasek jej spodni w tali i wsunął do środka myśliwski nóż do ściągania skór. Poczowała zimny dotyk gładkiej skórzanej pochwy na nagim brzuchu. Zaparło jej dech. Uśmiechnął się na widok jej zaskoczenia.

- To będzie ci cały czas przypominać, gdzie go masz.

- Dlaczego powinnam o tym pamiętać? Przez długą chwilę wpatrywał się w jej oczy.
- Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiesz.

Aż do tego momentu nie uświadamiała sobie, jak bardzo boi się rozstania z Cooperem. Starła się udawać odwagę, ale na samą myśl o przemierzeniu wielu kilometrów leśnej głuszy o kulach, ogarniało ją przerażenie. W pewnym sensie była zadowolona, że zdecydował się iść bez niej. Ale teraz, kiedy naprawdę ją opuszczał, miała ochotę błagać, by tego nie robił.

Naturalnie nie zrobiła tego. I tak miał o niej nie najlepszą opinię. Uważał, że jest rozpieszczoną, zepsutą, miejską lalunią. Oczywiście miał rację, ponieważ w tej chwili umierała ze strachu na samą myśl o godzinach, które miną, zanim on po nią wróci.

Cooper oderwał od niej wiele mówiące spojrzenie i z niecierpliwym przekleństwem skierował się do drzwi.

- Cooper!
- O co chodzi? - Odwrócił się gwałtownie.
- Uwa... uważaj na siebie.

W ułamku sekundy przyciągnął ją do piersi i przyłgnął wargami do jej ust w żarliwym pocałunku. Zaskoczona, osunęła się w jego ramiona. Zaciśnął ręce wokół jej talii i przytulił ją do siebie tak mocno, że jej stopy oderwały się od ziemi. Próbowwała odzyskać równowagę, zaciskając dłonie na jego kurtce.

Jego wargi rozgniatyły jej usta. Pocałunek był namiętny i gwałtowny. Pożądanie, które narastało przez te wszystkie wspólnie spędzone godziny we dnie i w nocy, pokonało żelazną siłę woli. Opanowanie, z którego Cooper był znany, zakpiło sobie z niego. Ale wciąż był władczy i dominujący. To nie był słodki, romantyczny pocałunek. To był pocałunek na wskroś zmysłowy. Egoistyczny.

Oszołomiona Rusty objęła ramieniem szyję Coopera i odgięła głowę do tyłu, by miał łatwiejszy dostęp do ust, z czego skwapliwie skorzystał. Zarośnięte szczęki podrapały jej skórę, ale nie dbała o to. Jego wąsy były zaskakująco jedwabiste. Łaskotały i kusiły.

Stanowczo zbyt wcześnie przerwał pocałunek, gwałtownie oderwał głowę, zostawiając ją z rozchylonymi, wilgotnymi ustami.

- Wrócę najszybciej, jak to możliwe. Do widzenia, złotko. Złotko? Złotko?

Wypuścił ją z objęć i odwrócił się ku drzwiom. Wtedy zauważyła Quinna Gawryłowa, który siedział przy stole, bezmyślnie żując swoją wieczną prymkę i obserwując ich z nieruchomym, cichym skupieniem kuguara.

Serce zaciążyło Rusty w piersi jak ołów. Cooper pocałował ją ze względu na tego człowieka - nie dla swojej przyjemności. I z pewnością nie z myślą o niej.

Obrzuciła jego szerokie plecy zawiedzionym spojrzeniem. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Niech idzie do diabła, pomyślała. Jak on śmiał...

W końcu, uświadamiając sobie, że Quinn nie odrywa od niej wzroku, spojrzała na niego z ckliwym uśmiechem dobrej małej żony.

- Myśli pan, że nic mu nie będzie?
- Reuben wie, co robi. Zaopiekuje się panem Landry. - Wskazał gestem poślanie wciąż rozciągnięte przed paleniskiem. - Jest jeszcze wcześniej. Nie masz ochoty się przespać?
- Nie, ja... - odchrząknęła głośno. - Jestem zbyt zdenerwowana, by spać. Myślę, że trochę tu posiedzę.
- Kawy? - Podeszedł do kuchenki.
- Tak, poproszę.

Nie miała ochoty na kawę, ale pomyślała, że to pomoże jej zabić czas. Oparła kule i pistolet o palenisko, żeby mieć je pod ręką i usiadła na krześle. Pochwa noża uwierała ją w brzuch. Dlaczego nóż nie wbił się w nią, kiedy Cooper przyciągnął ją do siebie...

Serce zabiło jej mocniej na myśl o tamtej chwili. Nie tylko twardość noża czuła przy brzuchu. Prawdopodobnie czerpał wiele uciechy z poniżania jej w ten sposób.

Zbuntowana, wyzywająco wyciągnęła nóż zza paska i położyła go obok krzesła. Wzięła kubek parującej kawy od Quinna i ulokowała się wygodniej, by przeczekać dzień, najprawdopodobniej najdłuższy w jej życiu.

Cooper wyliczył, że przeszli najwyżej półtora kilometra, kiedy jego towarzysz przerwał milczenie.

- Jak to się stało, że nie macie dzieci? - spytał młody Gawryłow.

Niezawodny instynkt Coopera znowu dał znać o sobie. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone. Charakterystyczne szczypanie w karku, które zawsze ostrzegało go, że coś nie jest całkiem w porządku, nie znikło. Odkąd usłyszał krzyk Rusty i znalazł ją w lesie w Gawryłowami, zachowywał w stosunku do obydwu mężczyzn daleko idącą ostrożność. Może był wobec nich wyjątkowo niesprawiedliwy. Prawdopodobnie byli w porządku. Ale prawdopodobieństwa nie są warte funta kłaków. Dopóki nie przekaże Rusty całej i zdrowej w ręce władz, nie zamierza udzielać żadnemu z odludków kredytu zaufania. Jeśli udowodnią, że można na nich polegać, zasłużą na jego dozwonną wdzięczność. Do tego czasu...

- I jak? - dążył Reuben. - Jak to się stało, że...

- Słyszałem.

Cooper szedł w pewnej odległości za Reubenem. Nie dopuszczał, by mężczyzna wysunął się za bardzo do przodu, ale też nie następował mu na pięty.

- Rusty intensywnie pracuje. Obydwoje mamy mnóstwo zajęć. Pomyślimy o dzieciach za jakiś czas.

Miał nadzieję, że to położy kres rozmowie. Dzieci i rodziny należały do tematów, których Cooper zawsze unikał. A poza tym nie chciał rozmawiać, nie chciał tracić ani krzty energii, chciał dotrzeć do rzeki tak szybko, jak to możliwe.

- Gdybym ja był jej mężem od pięciu lat, mielibyśmy już piątkę - zapewnił Reuben.

- Ale nie jesteś.

- Może nie robisz tego, jak trzeba.

- Czego?

Młody Gawryłow mrugnął do niego chytrze przez ramię.

- No wiesz, pieprzenia.

To słowo wypęzło na Coopera jak obrzydliwy insekt. Nie obraziło go samo w sobie. Na co dzień używał o wiele dosadniejszych. Obraziło go w powiązaniu z Rusty. Nie przyszło mu do głowy, że poprzedniej nocy wyraził się podobnie. Miał nadzieję, że zanim dzień dobiegnie końca, nie będzie musiał stłuc Reubenowi twarzy na befsztyk; ale jeśli ten zrobi więcej takich aluzji do Rusty, może do tego dojść.

- Gdyby była moją kobietą...

- Ale nie jest. - Głos Coopera zaświszczał jak bat.

- Wkrótce będzie.

Mówiąc te słowa, Reuben z uśmiechem szaleńca odwrócił się błyskawicznie i wycelował strzelbę w pierś Coopera, który podświadomie cały ranek przygotowywał się na taki atak. Uniósł strzelbę ułamek sekundy po młodym Gawryłowie, ale było już za późno, to on oddał pierwszy strzał.

- Co to było? - Rusty podskoczyła na krzesło, uświadomiwszy sobie, że się zdrzemnęła.

Quinn siedział tam, gdzie widziała go przed zaśnięciem, przy stole.

- Hm?

- Zdawało mi się, że coś słyszałam.

- Ja nic nie słyszałem.

- Mogłabym przysiąc...

- Kłody w palenisku się obsunęły. To wszystko.

- Och... - Zirytowana na swoje przewrażliwienie, znów usiadła wygodniej. - Chyba przysnęłam. Jak dawno temu wyszli?

- Niedawno.

Wstał, zbliżył się do niej i ukląkł przy palenisku, by dodać drewna do ognia. Ciepło przeniknęło skórę Rusty i oczy znów jej się zamknęły. Choć chata była ponura i brudna, przynajmniej zapewniała dach nad głową i schronienie przed zimnym zachodnim wiatrem. Była za to wdzięczna gospodarzom. Po paru dniach spędzonych...

Otworzyła gwałtownie oczy, czując, że ktoś jej dotyka. Quinn, wciąż klęcząc przed nią, objął dłonią jej łydkę.

- Pomyślałem, że może znów chciałabyś unieść nogę - powiedział.

Jego głos był tak łagodny jak głos świętego, jednak oczy wpatrujące się w nią z głębi oczodołów przypominały wzrok samego Lucypera. Ogarnęło ją przerażenie, ale rozsądek ostrzegął, by go nie okazywała.

- Nie, dziękuję. Właściwie - dodała nieprzekonująco - myślę, że trochę pochodzę, żeby ją poćwiczyć.

Sięgnęła po kule, ale chwycił je pierwszy.

- Pomogę ci.

Zanim zdołała zaprotestować, ujął jej ramię i poderwał ją z krzesła. Zaskoczył ją tym ruchem i siłą szarpnięcia spowodowała, że jej ciało zderzyło się z jego ciałem. Natychmiast się cofnęła, ale zorientowała się, że nie może cofnąć się daleko, ponieważ drugą ręką objął ją w pasie i przyciągał do siebie.

- Nie!

- Próbuję ci tylko pomóc - powiedział łagodnie, najwyraźniej zadowolony z jej narastającej paniki.

- A więc proszę, niech mnie pan puści, panie Gawryłow. Poradzę sobie.

- Sama nie dasz rady. Zajmę miejsce twego męża. Powiedział mi, żebym się tobą opiekował, prawda? - Przejechał dłonią po jej biodrze i Rusty zrobiło się zimno ze strachu.

- Nie dotykaj mnie w ten sposób. - Usiłowała się wywinąć, ale jego ręce były wszędzie. - Zabierz ręce!

- A co ci się nie podoba w moich rękach? - Nagle przybrał bezczelną minę. - Nie są dla ciebie wystarczająco czyste?

- Nie... tak... chciałam powiedzieć, że Cooper będzie...

- Cooper niczego nie zrobi - powiedział z ponurym uśmiechem. - Od teraz będę cię dotykał, kiedy tylko będę miał ochotę.

Przycisnął ją do siebie. Tym razem jego zamiary były aż nadto oczywiste. Rusty zebrała wszystkie siły, żeby się wyrwać z tego uścisku. Wpiła dłonie w jego barki i wygięła plecy, próbując się odepchnąć i zarazem uniknąć pocałunku.

Kule wyśliznęły jej się spod pach i upadły na podłogę. Stała na chorej nodze. Kiedy ból przeszył poszarpaną bliznę, krzyknęła.

- No, dalej, pokrzyżuj sobie. Nie mam nic przeciwko temu. - Czuła na twarzy jego cuchnący, gorący oddech. Odwróciła głowę, ale chwycił jej szczękę szponiastymi palcami i przyciągnął jej twarz. Tuż przed tym, zanim dotknął wargami jej ust, usłyszeli ciężkie kroki na ganku.

- Ratunku, pomocy! - krzyknęła z całych sił Rusty.

- Reuben? - zawołał stary mężczyzna. - Chodź tu. Odwrócił głowę w kierunku drzwi, ale to nie Reuben wpadł

przez nie do środka. Spocona twarz Coopera tworzyła ponurą maskę nienawiści i furii. W jego włosach pełno było gałązek i liści. Na policzkach i rękach widniały krwawiące zadrapania. Koszula była poplamiona krwią. Rusty wydał się najpiękniejszy na świecie.

- Puść ją, ty brudna bestio! - warknął, szeroko rozstawiając nogi.

Rusty osunęła się na podłogę, kiedy Gawryłow ją puścił i błyskawicznie się odwrócił, sięgając przy tym za plecy. Zanim w pełni uświadomiła sobie, co się stało, usłyszała mocne, głuche stuknięcie. Potem zobaczyła rękojeść noża Coopera pośrodku torsu Quinna. Ostrze było całkiem ukryte między żebrami.

Na twarzy Gawryłowa widniało zaskoczenie. Sięgnął po omacku po rękojeść noża. Jego poszukujące palce zamknęły się na niej, kiedy osunął się na kolana. Potem upadł na podłogę twarzą do ziemi i tak zastygł.

Rusty zwinęła się w kłębek. Przykryła dłońmi usta i szeroko otwartymi, błędnymi oczami wpatrywała się w nieruchomą postać. Była przerażona.

Cooper przebiegł przez izbę, przewracając krzesło i przykucnął przed Rusty.

- Wszystko w porządku? - Położył rękę na jej ramieniu. Cofnęła się przestraszona. - Nie musisz mi dziękować - dodał zjadliwie.

Rusty powoli opuściła ręce i wypuściła powietrze z płuc. Spojrzała na Coopera. Jej wargi były niemal białe. Poruszyła nimi bezgłośnie.

- Zabiłeś go.

- Zanim on zabił mnie, ty mała kretynko. Popatrz! - Wskazał plecy zmarłego. Za paskiem jego spodni tkwił mały pistolet. - Jeszcze tego nie rozumiesz?! - ryknął. - Zamierzali mnie zabić, a ciebie zatrzymać. Sprytnie to sobie wykombinowali. Chcieli się tobą dzielić.

Zatrzęsa się z obrzydzenia.

- Nie!

- Ależ tak - potwierdził Cooper, kiwając głową. Zirytowany jej zachowaniem, wstał i obrócił ciało na wznak. Rusty zacisnęła powieki i odwróciła głowę. Słyszała, jak ciągnął je po podłodze i za drzwi. Buty Quinna uderzały o schodki ganku.

Nie była pewna, jak długo tkwiła na podłodze. Kiedy Cooper wrócił, stanął nad nią.

- Nie skrzywdził cię? Przygnębiona pokręciła głową.

- Odpowiadaj, do diabła! Skrzywdził cię? Uniosła głowę i przeszła go wzrokiem,

- Nie!

- Zamierzał cię zgwałcić. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? A może gwiazdy w twoich oczach wciąż nie pozwalają ci dojrzeć światła?

Dopiero teraz zaczynało do niej docierać to, co się wydarzyło.

- Co tutaj robisz? Dlaczego wróciłeś? Gdzie jest Reuben? Co mu powiesz, jak wróci?

- Nic. Reuben nie wróci.

Przygryzła zębami drżącą dolną wargę i zamknęła oczy. Po policzkach spływały jej łzy.

- Też go zabiłeś, prawda? To jego krew masz na ubraniu.

- Tak, do diabła - syknął, pochylając się nad nią. - To była samoobrona. Zaprowadził mnie w las na tyle daleko, żeby nas rozdzielić, a potem wycelował we mnie strzelbę, zamierzając zabić mnie i uczynić ciebie swoją „kobietą”.

Wpatrując się w niego, pokręciła głową z niedowierzaniem, co zdawało się go rozwścieczać.

- Przestań wreszcie udawać zaskoczoną. Sama się do tego przyczyniłaś i dobrze wiesz o tym.

- Ja? Jak to? Co ja takiego zrobiłam?

- Czesłaś włosy, na litość boską!

- Czesalam...

- Będąc taka, jaka jesteś. Wyglądając tak, jak wyglądasz.

- Przestań na mnie wrzeszczeć! - zaszlochała. - Nic nie zrobiłam.

- Poza tym, że przez ciebie zabiłem dwóch mężczyzn! - krzyknął. - Pomyśl o tym, kiedy będę ich zakopywał.

Wyszedł na dwór. Ogień na palenisku zgasł i w chacie zrobiło się zimno. Rusty było to najzupełniej obojętne.

Kiedy wrócił, wciąż siedziała skulona na podłodze i płakała. Była wyczerpana, obolała na duszy i ciele. Nie było miejsca, które nie bolałoby od spania na ziemi czy chodzenia o kulach. Ostatnie przeżycia sprawiły, że całkiem puściły jej nerwy. Dłużej już nie była w stanie panować nad sobą i trzymać na wodzy emocji. Rozkleiła się.

Widziała, jak umierają ludzie.

Sześciu w katastrofie samolotu. Dwaj z rąk mężczyzny, który teraz usiadł ciężko na podłodze obok niej. Brutalnie uniósł jej głowę, wsuwając szorstkie palce pod jej podbródek.

- Wstawaj! - polecił. - Wytrzymaj twarz. Nie możesz tak siedzieć do wieczora, płacząc jak dziecko.

- Idź do diabła! - wyrzuciła z siebie, wyszarpując podbródek z jego palców.

Był tak wściekły, że wargi niemal mu się nie poruszały.

- Słuchaj, jeśli pasowało ci towarzystwo Reubena i jego ojca, powinnaś mi była o tym powiedzieć. Przepraszam, że ci wszystko zepsułem.

- Ty draniu!

- Byłbym zadowolony, mogąc zostawić cię w tym rajku i iść szukać rzeki na własną rękę. Ale trzeba ci wiedzieć, że Reuben planował dużo dzieci. Oczywiście mogłabyś nigdy się nie dowiedzieć, czy dzieci, które nosisz, są jego, czy jego ojca.

- Zamknij się! - Uniosła rękę, chcąc go uderzyć.

Złapał ją w powietrzu. Wpatrywali się w siebie przez kilka pełnych napięcia sekund. Wreszcie Cooper rozluźnił palce zaciśnięte na jej nadgarstku. Wstał i z całej siły odkopnął krzesło, aż przeleciało przez całe pomieszczenie.

- Albo ja, albo oni - powiedział głosem drgającym z emocji. - Reuben wystrzelił pierwszy. Miałem szczęście i w ostatnim momencie uderzyłem w jego strzelbę. Nie miałem wyboru.

- Nie musiałeś ich zabijać.

- Nie?

Żadna alternatywa nie przychodziła jej do głowy, ale była pewna, że gdyby myślała o tym odpowiednio długo, coś by wymyśliła. Na razie spuściła oczy, poddając się.

- Dlaczego nie poszedłeś dalej? Jego oczy zwęziły się w szparki.

- Nie sądz, że się nad tym nie zastanawiałem.

- Och - wyrzuciła z siebie - nie mogę się doczekać, kiedy się od ciebie uwolnię.

- Czuję to samo, wierz mi. Ale na razie musimy tolerować się nawzajem. Pierwszy punkt programu to doprowadzenie tego miejsca do porządku. Nie mam zamiaru spędzić kolejnej nocy w cuchnącej norze.

Niepomiernie zdumiona, powoli rozejrzała się po ponurym wnętrzu chaty.

- Chcesz to doprowadzić do porządku? Dobrze słyszałam?

- Tak. Lepiej bierzmy się do pracy. Czas ucieka. Postawił krzesło, które przed chwilą odkopnął, i podszedł do

obskurnego barłogu, na którym ubiegłej nocy spał Reuben. Ru-sty zaczęła się histerycznie śmiać.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Całkowicie poważnie.

- Spędzimy tu noc?

- I wszystkie następne, póki nas nie odnajdą.

Wstała, oparła się na kuli i patrzyła, jak Cooper ściąga pościel z obydwu łóżek i na piętrzącą się górę bielizny pośrodku podłogi.

- A co z rzeką?

- To mogło być kłamstwem.

- Mackenzie istnieje naprawdę, Cooper.

- Ale gdzie jest?

- Mógłbyś iść w kierunku, który wskazali, aż byś ją znalazł.

- Mógłbym też zabłądzić albo zostać ranny, albo znaleźć się w kłopotach. Gdybyś wyruszyła ze mną, moglibyśmy nie znaleźć rzeki do pierwszych solidnych śniegów i w takim przypadku prawdopodobnie umarlibyśmy z zimna. Gdybyś została tutaj, a mnie coś by się stało, umarłabyś z głodu przed końcem zimy. Poza tym nie jestem nawet pewien, czy kierunek, w którym poprowadził mnie Reuben, jest właściwy. Natomiast, jeśli tu posprzątam, możemy przeżyć. Wprawdzie to nie rezydencja w Beverly Hills, ale mamy dach nad głową i stałą dostawę świeżej wody.

Nie spodobał jej się jego sarkazm i dała mu to do zrozumienia. Zachowanie Coopera sugerowało, że uważa ją za idiotkę, której wszystko trzeba wyjaśniać, i zarazem było wyzwaniem, na które nie zamierzała reagować. Tego ranka okazała słabość, ale to już się nie powtórzy. Zawijając rękawy, spytała:

- Co mam robić?

Wskazał ruchem głowy za siebie.

- Zaczynaj od kuchni.

Nie mówiąc nic więcej, zebrał brudną pościel i wyniósł na dwór.

Rusty zawzięcie zaatakowała osmaloną żelazną kuchenkę, szorując ją energicznie od góry do dołu. To była ciężka praca, zwłaszcza że Rusty musiała podpierać się jedną kulą. Po kuchni zajęła się kolejno zlewem, potem oknem, a wreszcie wymyła dokładnie każdy mebel.

Kiedy Cooper wygotował pościel w kotle na dworze i rozwiesił do wyschnięcia - albo zamrożenia, gdyby temperatura jeszcze bardziej spadła - wszedł do chaty i zmył kamienie paleniska. Za stosem drewna znalazł całą kolonię martwych insektów. Najwyraźniej palenisko nigdy nie było czyszczone. Otworzył drzwi i okno, by wywietrzyć pomieszczenie, podparł ganek i umieścił drewno na opał na południowej stronie chaty, by uchronić je przed opadami.

Rusty nie mogła zamieść podłogi, więc zrobił to sam. Ale kiedy skończył, wyszorowała ją na kłęczkach. Jej wypielegnowane paznokcie połamały się jeden po drugim. Nie tak dawno temu złamany paznokieć mógłby doprowadzić ją do wściekłości, ale teraz wrzuciła tylko ramionami i kontynuowała szorowanie, ciesząc się z efektów swojej ciężkiej pracy.

Cooper przyniósł na kolację dwa pozbawione głów i wypatroszone ptaki. Rusty przejrzała spiżarnię Gawryłowów i ku swemu zadowoleniu znalazła w niej sporo puszek. Najwidoczniej odbyli już październikową wyprawę do Yellowknife i zgromadzili zapasy na zimę. Nie była najlepszą kucharką, ale ugotowanie ptaków z dwiema puszkami warzyw i odrobiną soli nie wymagało nadzwyczajnych umiejętności. Aromat duszącego się gulaszu napełnił jej usta śliną. Robiło się ciemno, kiedy Cooper wniósł pościel.

- Odwszona? - spytała, odwracając się od kuchenki.

- Tak myślę. Porządnie ją wygotowałem. Nie jestem pewien, czy całkiem wyschła, ale gdybym zostawił ją dłużej na dworze, zamarzłaby. Jeśli po kolacji jeszcze będzie wilgotna, rozwiesimy ją przy palenisku.

Umył ręce nad zlewem, który lśnił w porównaniu do tego, jak wyglądał jeszcze niedawno.

Usiedli przy stole, który Rusty wyszorowała piaskiem. Cooper uśmiechnął się, kiedy rozłożył coś, co niedawno było skarpeta, a teraz służyło jako serwetka. Położył ją sobie na kolanach, ale nie skomentował pomysłowości Rusty. Jeśli nawet zauważył stoik z jesiennymi liśćmi pośrodku stołu, nie powiedział nic, co by na to wskazywało. Zjadł dwie porcje gulaszu, ale również nie powiedział o nim ani słowa.

Rusty była zdruzgotana. Co by mu szkodziło powiedzieć coś miłego - jedno słowo zachęty. Nawet pies czy kot od czasu do czasu lubi być pogłaskany.

Zdeprymowana zaniósł blaszane naczynia do zlewu. Kiedy polewała je wodą, zbliżył się do niej.

- Ciężko dziś pracowałaś.

Jego głos, łagodny i cichy, rozbrzmiewał nad jej głową. Cooper stał blisko za nią. Zadrżała, przytłoczona bijącą od niego siłą.

- Ty też.

- Chyba należy nam się jakaś przyjemność, jak uważasz? Wolno odwróciła się twarzą ku niemu i spytała:

- Co miałeś na myśli, Cooper?

- Kąpiel.

## Rozdział 6

- Kąpiel? - powtórzyła jak echo, oszołomiona i rozmarzona zarazem.

- Najprawdziwsza. Wanna. Gorąca woda, mydło. - Podeszedł do drzwi, otworzył je i po chwili wrócił, wciągając do środka wielką wannę. - Znalazłem ją za chatą i wyszorowałem. Nie odczuwała takiej wdzięczności nawet wówczas, gdy od-pakowała prezent od ojca i zobaczyła owinięte w bibułkę długie futro z rudych lisów. Splotła dłonie pod brodą.

- Och, Cooper, dziękuję ci!

- Nie przesadzaj - mruknął. - Staniemy się równie odrażający jak Gawryłowowie, jeśli nie będziemy się kąpać. Oczywiście nie codziennie.

Rusty nie pozwoliła zepsuć sobie nastroju. Skoro Cooper nie dopuszczał innych do siebie nawet na tyle, by przyjmować ich podziękowania, to jego problem. Postąpił wobec niej bardzo ładnie. Podziękowała mu. Co jeszcze miała zrobić? Powinien wiedzieć, jak wiele to dla niej znaczy, nawet jeśli postanowił zachowywać się teraz jak gbur.

Napełniła kilka garnków i czajniki wodą z pompy. Cooper przeniósł je na kuchenkę i podsycił ogień, żeby woda szybciej się zagotowała. Następnie przeciągnął wannę przez izbę i umieścił ją na wprost paleniska. Metal był lodowato zimny, ale przy ogniu powinien ogrzać się w kilka minut.

Rusty obserwowała te przygotowania początkowo z nadzieją, wreszcie z rosnącym niepokojem.

- Co zrobię z... no wiesz...

Cooper w milczeniu, z obojętną miną, rozłożył jedno z szorstkich, płóciennych prześcieradeł, które tego dnia wygotował i wysuszył. Strop chaty tworzyły surowe belki. Pewnie Gawryłowowie wieszali na nich mięso, bo w ciemnym drewnie tkwiło kilka metalowych haków.

Cooper stanął na krześle i nadział róg prześcieradła na jeden z ostrych haków. Przystawiając krzesło kilkakrotnie, powiesił prześcieradło przy wannie jak kurtynę.

- Dziękuję - powiedziała Rusty. Była mu wdzięczna za ten gest, ale nie mogła nie zauważyć, że prześcieradło jest wytarte. Wanna wyraźnie rysowała się na tle płonącego za nią ognia. Postać w wannie również tu będzie widoczna

Cooper musiał spostrzec to w tym samym momencie, bo oderwał wzrok od prześcieradła i nerwowo przejechał dłońmi po spodniach w górę i w dół.

- Myślę, że woda jest już prawie gotowa.

Rusty zgromadziła swoje cenne kosmetyki i przybory toaletowe - kostkę pachnącego mydła, małą plastikową butelkę szamponu, maszynkę do golenia - na krześle stojącym obok wanny. Wcześniej tego dnia poskładała i ułożyła na półkach ich niewielki zapas odzieży. Teraz wzięła ze swego stosiku parę długich kalesonów i koszulkę na ramiączkach, i przewiesiła je przez oparcie krzesła.

Kiedy wszystko było gotowe, stanęła z zakłopotaniem z boku, podczas gdy Cooper ostrożnie podnosił ciężkie naczynia z wrzącą wodą i wlewał ich zawartość do wanny. Unosiła się z niej para, ale jeśli idzie o Rusty, woda nie mogłaby być za gorąca. Marzyła o pozbyciu się brudu i zmęczenia. Poza tym w domu codziennie brała gorącą kąpiel.

- Czym mam się wytrzeć? - spytała.



Cooper rzucił jej szorstki, splóviały ręcznik, wzięty ze stosu przyniesionego z dworu.

- Na gwoździach na zewnątrz chaty znalazłem kilka ręczników. Wygotowałem je razem z pościelą. Nie było płynu zmiękczającego, ale lepsze takie niż żadne.

Ręcznik w dotyku bardziej przypominał papier ścierny niż frotte, ale Rusty wzięła go bez komentarza.

- To powinno wystarczyć - powiedział szorstko Cooper, wlewając zawartość ostatniego czajnika do wanny. - Wejdz ostrożnie do środka. Tylko się nie poparz.

- Będę uważać.

Stali po przeciwnych stronach wanny, twarzą w twarz. Pod wpływem wilgoci włosy Rusty skręciły się w pierścionki, a jej zaróżowiona cera sprawiała wrażenie pokrytej rosą. Cooper raptownie odwrócił się plecami i niecierpliwie szarpnął zasłonę, która po jego przejściu opadła z powrotem na miejsce. Rusty słyszała ciężkie kroki na nierównej podłodze. Wyszedł na dwór i zatrzasnął drzwi.

Westchnęła z rezygnacją. Był zgorzkniały i tyle. Teraz, kiedy miała okazję rozkoszować się pierwszą od czterech dni kąpielą, nie zamierzała tracić czasu, rozważając wady jego charakteru. Nie da sobie zepsuć przyjemności, w żadnym przypadku!

Ponieważ wciąż jeszcze unikała obciążania chorej nogi, z trudnością zdołała się rozebrać. Kiedy tego dokonała, okazało się, że wejście do wanny jest jeszcze większym problemem. Wreszcie oparła się na rękach i powoli zanurzyła w wodzie, wciągając na końcu bolącą nogę. Kąpiel okazała się bardziej upojna, niż Rusty ośmielała się przypuszczać. Cooper miał słuszną ostrzegając ją; woda była rzeczywiście gorąca, ale przecież o to chodziło. Na posładkach czuła szorstki dotyk skorodowanego dna wanny i przez chwilę musiała się z nim oswajać, jednak luksus kąpieli w gorącej wodzie sprawił, że szybko zapomniała o tej drobnej niewygodzie.

Zanurzyła się aż po szyję i oparła głowę o krawędź wanny. Zamknęła oczy. Była tak odprężona, że nawet nie drgnęła, słysząc, że Cooper wraca. Zmarszczyła tylko lekko brwi, kiedy owionął ją podmuch zimnego powietrza, nim Cooper zamknął drzwi.

W końcu wysunęła ociekającą wodą rękę i wzięła z krzesła kostkę mydła. Kusilo ją, żeby namydlić się obficie, bez żadnych ograniczeń. Rozmyśliła się jednak. Być może ten kawałek mydła będzie musiał wystarczyć na długo. Lepiej go nie marnować.

Oparłszy stopy o krawędź wanny, ogoliła nogi, ostrożnie manipulując żyłką przy szwie. Wzdrygnęła się na myśl o szkaradnej bliźnie, ale po chwili zawstydzila się swej próżności. Miała szczęście, że udało jej się przeżyć! A kiedy wróci do Beverly Hills, chirurg plastyczny poprawi zrobione w najlepszej intencji, aczkolwiek niezbyt piękne dzieło Coopera.

Nagle usłyszała dziwny hałas.

- Co robisz?

- Przygotowuję łóżka - odparł, dysząc z wysiłku. - Te konstrukcje są zrobione z litego dębu i ważą tonę.

- Nie mogę się doczekać chwili, kiedy położę się na jednym z nich!

- Nie myśl tylko, że są o wiele wygodniejsze niż posłanie na ziemi. Nie mają materaców. Tylko płótno, jak w kojach. W materacach na pewno byłyby wszy, a więc chyba lepiej, że jest tak, jak jest.

Odłożyła maszynkę, zmoczyła głowę, wzięła z krzesła butelkę szamponu i wycisnęła odrobinę płynu na dłonie. Szampon będzie musiała wydzielać nawet oszczędniej niż mydło. Wmasowała go w gęste włosy, szorując bezlitośnie od skóry aż po same końce. Zanurzyła głowę, by je splukać, po czym wycisnęła tyle wody, ile zdołała.

Znów oparła głowę o brzeg wanny i rozpostarła włosy do przeschnięcia jak wachlarz. Kapała z nich woda, ale nie powinna, rozkładając je, zaszkodzić podłodze bardziej niż to, co kapało na nią dotychczas.

Ponownie zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem, kwiatowym zapachem mydła i szamponu i cudownym uczuciem czystości.

W końcu woda zaczęła stygnąć i Rusty uświadomiła sobie, że czas kończyć kąpiel. I tak było mało prawdopodobne, żeby Cooper udał się przed nią do łóżka. Swoją drogą, musiał być wykończony po tym wszystkim, co zdarzyło się od świtu. Po katastrofie ich zegarki przestały chodzić. Czas odmierzały wschody i zachody słońca. Dni były krótkie, ale dzisiejszy wydawał się bardzo długi - był wyczerpujący zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

Oparła dłonie na krawędziach wanny i próbowała się podnieść. Ku jej przerażeniu ręce opadły jak gotowane kluski. Zbyt długo przebywała w gorącej wodzie. Próbowala jeszcze kilka razy, ale bez powodzenia. Ręce po prostu nie były w stanie jej utrzymać. Obmyślała inne sposoby wydostania się z wanny, ale żaden nie wchodził w grę ze względu na chorą nogę, której nie mogła obciążać.

Zaczynała marznąć. Wreszcie, zdając sobie sprawę, że tego, co nieuniknione, nie można odkładać w nieskończoność, nieśmiało zawołała Coopera.

- O co chodzi?

Jego pełne irytacji burknięcie nie było zbyt zachęcające, ale nie miała wyboru.

- Nie mogę wyjść z wanny.

- Co takiego?

Rusty zacisnęła powieki i powtórzyła:

- Nie mogę wyjść z wanny.

- Wyjdź tak samo, jak weszłaś.

- Jestem zbyt osłabiona po gorącej kąpeli.

Jej uszu dobiegły siarczyste przekleństwa. Usłyszawszy zbliżające się kroki, skrzyżowała ramiona na piersiach. Kiedy Cooper odsunął zasłonę, zimne powietrze owiało jej mokre, nagie plecy. Zakłopotana, wbiła wzrok w palenisko.

Przez długą chwilę po prostu stał w milczeniu. Wreszcie powiedział:

- Wsunę ci ręce pod pachy. Stań na lewej nodze. Kiedy będę cię podnosił, unieś ją z wanny i postaw na podłodze. Dobrze?

- Dobrze.

Rusty rozłożyła ręce. Choć wiedziała, co ma nastąpić, dotyk jego palców na śliskiej, mokrej skórze wstrząsnął nią. Nie dlatego, żeby był tak nieprzyjemny. Wręcz przeciwnie. Pewne, mocne ręce wśliznęły się pod jej pachy, obejmując ją i podtrzymując. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- O co chodzi?

- Pa... pachy mnie boją - powiedziała bez tchu. - Od kul. Przesunął dłonie po jej mokrej skórze i ujął ją pod żebrami.

- Spróbujemy w ten sposób. Gotowa?

Rusty, zgodnie z jego instrukcjami, przeniosła ciężar ciała na lewą nogę, pozwalając drugiej zwisać bezwładnie, podczas gdy Cooper unosił ją z wody.

- W porządku? - Skinęła głową. - Gotowa? - Odpowiedziała w ten sam milczący sposób, przełożyła lewą nogę przez krawędź wanny i postawiła na podłodze.

- Och!

- Co znowu?

Miał już ją puścić, kiedy krzyknęła i lekko pochyliła się do przodu. Błyskawicznie przesunął rękę wyżej, chwytając ją tuż pod piersiami.

- Podłoga jest zimna.

- Do diabła, nie strasz mnie w ten sposób!

- Przepraszam, to mnie zaskoczyło.

Namaciała krzesło, oparła się o nie i pospiesznie przycisnęła ręcznik do piersi. Oczywiście plecy i cała reszta pozostawały nagie. Rusty wierzyła jednak, że Cooper mimo wszystko jest dżentelmenem i nie wykorzysta sytuacji.

- Już dobrze?
- Tak.

Przesunął dłonie z jej brzucha na boki, ale nie wypuszczał jej z uścisku.

- Jesteś pewna?
- Tak - odparła zmieszana. - Wszystko w porządku. Oderwał dłonie. Rusty odetchnęła z ulgą - jak się okazało, przedwcześnie.

- Co to, u diabła, jest? - Zaparło jej dech, kiedy Cooper położył dłoń na jej biodrze. Kciukiem przeciągnął powoli po pośladku, ścierając wodę. Potem tak samo obejrzał drugi pośladek. - Co ci się, u licha, stało? Mówiłaś, zdaje się, że nie Zrobił ci krzywdy.

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Oszołomiona i bez tchu, spojrzała na niego. Miał ściągnięte brwi, a wąsy zwisały mu gniewnie w dół.

- Cała jesteś w siniakach.

Rusty spojrzała przez ramię w dół pleców. Najpierw skonstatowała, że opalona dłoń Coopera na tle jej jasnej skóry wygląda niezwykle zmysłowo. Dopiero gdy zrobił kolejny, ostrożny ruch kciukiem, zobaczyła siniaki.

- Ach, to. To od jazdy na toboganie.

Gwałtownie uniósł głowę i utkwiał wzrok w oczach Rusty. Wciąż nie odrywał dłoni od jej skóry. Jego głos był tak łagodny jak dotyk.

- Powinnaś mi była powiedzieć.
- Czy zmieniłoby to cokolwiek?

Pasmo jej włosów zaczepiło się o zarost na jego podbródku. Połączyło ich jak promień światła, choć, prawdę mówiąc, wcale tego nie potrzebowali. Ich spojrzenia były jak dotyk. Oderwali wzrok od siebie dopiero wówczas, kiedy kłoda w palenisku głośno trzasnęła. Oboje drgnęli z poczuciem winy.

Cooper znów przybrał typową dla siebie, nonszalancką minę i burknął:

- Nie. To nie zmieniłoby niczego.

Odszedł. Rusty zadrżała. Z zimna, powiedziała sobie w duchu. Stała tu nago na tyle długo, by zmarznąć. Owinęła się ręcznikiem i wytarła pospiesznie. Szorstka tkanina ocierała jej skórę. Drażniła wrażliwe ciało. Zwłaszcza brodawki piersi. Kiedy skończyła się wycierać, były wyjątkowo różowe i sterczące. I gorące.

- To przez ten ręcznik - mruknęła, naciągając jedwabne kalessy.
- Co znowu? - Zza zasłony dobiegło pełne irytacji pytanie.
- Słucham?
- Przed chwilą coś mówiłaś.
- Powiedziałam, że ten ręcznik wspaniale by się nadał do szorowania.
- To najlepsze, co znalazłem.
- Nie zamierzałam cię krytykować.
- A to coś nowego!

Wymamrotała jeszcze coś pod adresem Coopera, starając się, żeby tym razem jej nie usłyszał, ponieważ był to wyjątkowo niepochlebny epitet, podsumowujący jego pochodzenie i charakter.

Zirytowana, niezgrabnie włożyła koszulkę na ramiączkach. Ciemne brodawki odznaczały się pod przylegającym jedwabiem, którego dotyk zamiast działać kojąco, jeszcze bardziej je drażnił.

Schowowała swoje przybory toaletowe do kosmetyczki, którą odłożyła z powrotem na krzesło. Zginawszy się w pół, przerzuciła włosy do przodu i tarła je mocno ręcznikiem, szcztokując na

przemian. Po pięciu minutach odrzuciła głowę do tyłu i wilgotne włosy opadły jej na ramiona rdzawymi falami. Nie były wprawdzie ułożone, ale czyste, co stanowiło miłą odmianę.

Chowając szczotkę do kosmetyczki, zobaczyła, w jakim stanie są jej paznokcie. Były postrzępione, połamane z pozadzieranymi skórkami. Jęknęła na głos.

Cooper w ułamku sekundy odsunął zasłonę.

- Co się stało? Coś z nogą? Czy...

Przerwał w pół słowa, kiedy zorientował się, że to nie ból był powodem jęku Rusty. Nawet gdyby ta konstatacja nie odebrała mu głosu, sprawiłby to z pewnością widok jej sylwetki rysującej się na tle złotego ognia, z burzą falistych włosów o barwie cynamonu otaczających jej głowę niczym aureola. Koszulka, którą miała na sobie, więcej odsłaniała, niż zakrywała. Rysujące się pod nią brodawki przyciągały jego wzrok niczym magnes. Wciąż jeszcze czuł ciężar piersi, które przed paroma minutami wspierały się na jego przedramionach.

Krew zawrzała w nim jak roztopiona lava, gorąca, gęsta i nieokiełznana i wywołała typową, choć w tej sytuacji niepożądaną reakcję. Tak silną, że aż bolesną.

A ponieważ nie mógł zaspokoić pożądania, uwolnił się od seksualnego napięcia w inny sposób. Wybuchnął wściekłością. Twarz mu groźnie pociemniała. Gęste brwi, w świetle ognia raczej złociste niż brązowe, zmarszczyły się groźnie. Skoro nie mógł posmakować jej językiem - do czego się tak palił - użył go, by chłostać ją słowami.

- Jęczałaś nad swymi głupimi paznokciami?! - wrzasnął.

- Są połamane! - wykrzyknęła Rusty.

- Mogło cię spotkać coś o wiele gorszego, ty mała kretynko.

- Przestań tak do mnie mówić, Cooper. Nie jestem kretynką.

- Nie potrafiłaś nawet się domyślić, że te dwa dzikusy chciały cię zgwałcić!

Wydeła wargi, co go jeszcze bardziej rozwścieczyło, bo tak bardzo pragnął je całować. Pożądanie, którego nie mógł zaspokoić, skłoniło go do powiedzenia paskudnych, obraźliwych słów.

- Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, żeby ich omamić, prawda? Siedziałaś przy ogniu, bo wiesz, jak w jego blasku wyglądają twoje oczy i cera. Szczotkowałaś włosy, aż rzucały iskry. Wiesz, jak to działa na mężczyzn, prawda? Wiesz, że doprowadza ich do szału z pożądania? - Po czym, uświadomiwszy sobie, że ta przemowa dokładnie zdradza stan, w jakim się znajduje, zadrwił: - Dziwi mnie, że nie wystąpiłaś w tym stroju wczorajszego wieczora i nie paradowałaś w nim przed Reubenem, biednym frajerem.

Oczy zapiekły ją od łez. Oceniał ją o wiele gorzej, niż przypuszczała. Nie tylko uważał ją za bezużyteczną, myślał, że nie jest lepsza od dziwki.

- Niczego nie robiłam celowo. Wiesz o tym dobrze, choć mówisz takie obrzydliwości.

- Skrzyżowała ramiona na piersi jakby w odruchowym geście samoobrony.

Nagle opadł przed nią na kolana i gwałtownym ruchem oderwał jej ręce od ciała. Równie gwałtownie wyciągnął z pochwy wiszącej u pasa nóż. Rusty pisnęła ze strachu, kiedy ścisnął mocno jej lewą rękę i uniósł ku niej lśniące ostrze. Szybko i sprawnie obciął paznokcie na linii palców. Kiedy puścił jej dłoń, spojrzała na nią z rozżaleniem.

- To okropnie wygląda.

- Cóż, tylko ja będę je widział, a mnie jest naprawdę wszystko jedno. Daj drugą rękę.

Spełniła polecenie. Nie miała wyboru. Cooper powoli przycinał paznokcie jej prawej dłoni, zupełnie jakby wymagały więcej troski i uwagi niż paznokcie lewej. Jego twarz znajdowała się na poziomie jej piersi. Mimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które powiedział zaledwie przed chwilą, zapragnęła przeganiać palcami jego długie, niesforne włosy.

Patrząc na jego wargi, zaciśnięte mocno w gniewie, przypomniała sobie, jak miękkie stawały się podczas pocałunku, jakie były ciepłe i wilgotne, i jak cudownie łaskotały ją jego wąsy. Skoro ich dotyk na jej górnej wardze sprawiał jej taką przyjemność, jak by go odczuwała w

innych miejscach? Na szyi? Na uchu? Wokół brodawki - podczas gdy jego wargi ssałyby sutek z żarliwością głodnego niemowlaka?

Skończył już obcinać paznokcie i schował nóż do pochwy. Ale nie puścił jej ręki. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem położył ją na udzie Rusty i przykrył swoją dłonią. Rusty miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

Z pochyloną głową wpatrywał się w miejsce, gdzie jego dłoń przykrywała jej dłoń. Rusty, patrzącej z góry, wydawało się, że ma zamknięte oczy. Zauważyła że jego rzęsy, podobnie jak wąsy i brwi, są miejscami złotawe. Latem w jego włosach z pewnością pojawiały się naturalne pasemka, rozjaśnione słońcem.

- Rusty.

W jego głosie wyczuwała lekkie drżenie, oznakę tłumionych emocji. Nawet nie drgnęła, ale serce biło jej tak szybko i gwałtownie, że poruszało jedwab, który nie najlepiej skrywał ciało. Oderwał dłoń od jej dłoni i położył ręce po obu stronach krzesła, więżąc jej biodra. Wciąż wpatrywał się w jej dłoń, leżącą na udzie. Odniosła wrażenie, że Cooper zamierza ze znużeniem oprzeć policzek o jej dłoń, albo schylić się i czule ją pocałować, a może delikatnie muskać palce, których paznokcie właśnie obciął.

Gdyby chciał zrobić jedną z tych rzeczy, Rusty by go nie powstrzymywała. Jej ciało przyzywało go. Była gotowa na wszystko, cokolwiek mogło się wydarzyć.

A jednak nic się nie wydarzyło. Cooper pospiesznie wstał i powiedział.

- Lepiej idź już spać.

Rusty była ogłuszona całkowitą zmianą w jego zachowaniu. Nastrój prysł, intymność się rozwiała. Chciała zaprotestować, ale zrezygnowała. Co miała powiedzieć? „Pocałuj mnie znów, Cooper” czy „Dotknij mnie”? Tylko potwierdziłaby tym niepochlebną opinię, jaką miał o niej.

Zdruzgotana, zebrała swoje rzeczy, wliczając w to brudne ubranie, które przedtem rzuciła obok wanny, i przeszła za zasłonę. Obydwa łóżka były przygotowane do spania. W nogach każdego leżała skóra. W domu jej łóżko było zaśnane luksusową bielizną pościelową i stosem puszystych poduszek, ale nigdy nie wydawało się bardziej kuszące niż to.

Odłożyła rzeczy i usiadła na łóżku. W tym czasie Cooper wyniósł na zewnątrz kilka wiader brudnej wody. Kiedy uznał, że poziom wody jest wystarczająco niski, pociągnął wannę do drzwi, a następnie na ganek, gdzie przechylił ją, wylewając resztę wody. Następnie wniósł wannę z powrotem do izby, ustawił za zasłoną i zaczął znów napełniać garnki i czajniki.

- Ty też zamierzasz wziąć kąpiel?

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

- Od dawna już nie rąbałem drewna na opał i teraz bolą mnie plecy. Poza tym mam wrażenie, że zaczynam cuchnąć.

- Nie zauważyłam.

Spojrzał na nią ostro, ale kiedy zorientował się, że mówi szczerze, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Zauważysz teraz, kiedy sama jesteś czysta.

Wreszcie woda w czajnikach zaczęła wrzeć. Wziął dwa z nich z kuchenki i skierował się w stronę wanny.

- Chcesz, żebym cię wymasowała? - spytała niewinnie Rusty. Potknął się, wylał trochę gorącej wody na nogi i zaklął.

- Co takiego?

- Pytałam, czy wymasować ci plecy? - Patrzył na nią, jakby dostał cios między oczy.

- Co... - Przesunął po niej wzrokiem. Koszulka nie zaślaniała jej szyi i ramion, które okrywała jedynie masa rudobrzązowych loków. - Nie - odmówił ostro. - Mówiłem ci, że masz iść spać. Jutro czeka nas dużo pracy. - Gwałtownie powrócił do przerwanej czynności.

Nie tylko nie potrafił być uprzejmy, ale nie pozwalał nikomu być miłym wobec siebie. Niechże go zatem wezmą diabli!

Rusty gniewnie wcisnęła stopy między chłodne prześcieradła i położyła się, ale nie zamykała oczu. Obserwowała, jak Cooper siada na brzegu swego łóżka i rozwiązuje buty, czekając, aż zagrzeje się reszta wody. Dorzucił skarpety do stosu brudnych ubrań Rusty i zaczął rozpinąć koszulę. Miał dziś na sobie tylko jedną, bo przez cały dzień ciężko pracował. Wyciągnął poły koszuli ze spodni i ściągnął ją.

- Co ci się stało? - Rusty gwałtownie usiadła na łóżku.

Nie musiał pytać, o co jej chodzi. Jeśli ramię wyglądało równie źle, jak mocno bolało, siniak musiał być widoczny nawet w słabym świetle.

- Moje ramię zderzyło się z lufą strzelby Reubena. Musiałem ją jakoś odepchnąć, żeby unieść własną do strzału.

Rusty skrzywiła się. Siniak wielkości pięści na zewnętrznym krańcu obojczyka był duży i wyglądał na wyjątkowo dokuczliwy.

- Boli cię?
- Jak diabli.
- Wziąłeś aspirynę?
- Nie. Musimy ją oszczędzać.
- Ale jeśli cię boli...
- Czy bierzesz na siniaki na pupie?

Rusty zaniemówiła. Ale nie na długo. Po chwili powiedziała z uporem:

- Uważani, że dwie aspiryny mogłyby ci pomóc.
- Chcę je oszczędzać. Możesz znów dostać gorączki.
- Aha, rozumiem. Nie masz aspiryny na ból ramienia, bo ja zmarnowałam ją, by zbić gorączkę.

- Nie powiedziałem, że ją zmarnowałaś. Powiedziałem... - Potem wyrzucił z siebie słowo, które opisywało coś, czego żadne z nich nie było w nastroju robić, słowo, którego raczej nie używa się w towarzystwie. Potem dodał: - Idź już spać, dobrze?

W samych dżinsach podszedł do kuchenki, najwidoczniej uznał, że woda jest wystarczająco gorąca, choć jeszcze się nie gotowała, i wylał wszystko do wanny. Rusty położyła się, ale obserwowała jego sylwetkę poruszającą się za zaimprovizowaną zasłoną, kiedy ściągnął dżinsy i wszedł nagi do wanny. Nie musiała uruchamiać wyobraźni. Zarys jego sylwetki był aż nadto wyrazisty, zwłaszcza z profilu.

Kiedy zanurzył się w wodzie, Rusty usłyszała kolejne przekleństwo. Wanna była dla niego za mała. Ciekawe, jak miała zasnąć przy tych odgłosach?

Rusty zaszczoło w gardle, kiedy obserwowała jego ruchy. Zgięty w pasie, raz za razem czerpał garściami wodę i wylewał na siebie, by splukać mydło. Po wyjściu z wanny wytarł się niedbale. Włosom poświęcił jedynie tyle troski, że przetał je raz ręcznikiem i przeczesał palcami. Wreszcie skończył i owinął biodra ręcznikiem.

Tak ubrany zabrał się do opróżniania wanny. Po ostatniej wycieczce na ganek zostawił wannę na zewnątrz. Rusty widziała, że drżał, kiedy podszedł do paleniska i dorzucił kilka kłód. Zdjął zasłonę, złożył prześcieradło, położył je na jednej z półek przy ścianie i zgasił lampę na stole. Potem wśliznął się do łóżka.

Przez cały ten czas ani razu nie spojrzął na Rusty. Bolało ją, że nawet nie życzył jej dobrej nocy. Ale gdyby to zrobił, może nie byłaby w stanie mu odpowiedzieć.

Miała całkiem wyschnięte usta.

Liczenie owiec zdało się na nic.

Mówienie wierszy również, zwłaszcza że jedyne, jakie znał na pamięć, to sprośne limeryki.

A więc Cooper leżał na plecach z dłońmi pod głową, wpatrując się w sufit i zastanawiając, kiedy rozbudzona namiętność przestanie go wreszcie dręczyć i pozwoli mu zasnąć. Był

wykończony i obolały. Nadwężone mięśnie domagały się odpoczynku, ale nie miało to żadnego wpływu na intensywność pożądania, które pragnęło zaspokojenia.

Wściekły na Rusty, że tak silnie na niego działa, przekreślił się na bok. Nawet ten ruch spowodował dodatkowy impuls. Cooper wydał z siebie bezwiedny jęk, który pospiesznie zmienił w kaszlnięcie.

Co mógł zrobić? Nic, co nie byłoby poniżające. A więc będzie musiał myśleć o czymś innym. Ale, do diabła, próbował. Przez całe godziny. Jego myśli w końcu znów powędrowały ku Rusty.

Zacisnął zęby, przypominając sobie, w jaki sposób jej miękkie, delikatne, ale pełne ciekawości, potem zachłanne usta zamknęły się na jego poszukującym języku. Boże, jak cudownie smakowała! Nie chciał przerywać pocałunku, dopóki nie zdecyduje, jak ona smakuje. Byłoby to zresztą zadanie niemożliwe do wykonania - ponieważ Rusty miała własny niepowtarzalny smak.

Nie powinien jej całować - nawet po to, by zwieść starego drania. Kto tu kogo zwiódł? Pocałował ją, bo tego chciał, i wiedział, co robi. Miał przecucie, że jeden pocałunek nie zaspokoi jego ciekawości, a teraz był tego pewny.

Co się z nim dzieje, do diabła? Dlaczego jest wobec siebie tak surowy? Przepęniało go pożądanie, ponieważ Rusty była jedyną kobietą w pobliżu. Tak, to dlatego.

Prawdopodobne. Możliwe. Niewykluczone.

Ale wciąż pozostawało faktem, że miała piękną twarz. Cudowne włosy. Ciało, które błagało o seks. Piersi stworzone dla rozkoszy mężczyzny. Zgrabny, twardy tyłeczek. Uda, które wzbudzały natychmiastową reakcję. A w gniazdku między nimi...

Nie! - ostrzegł go rozum. Nie myśl o tym, bo będziesz zmuszony zrobić to, od czego cudem i z dużym samozaparciem powstrzymałeś się dzisiejszego wieczoru.

W porządku, dość tego. Koniec. Kropka. Przestań myśleć jak napalony nastolatek albo prymitywny maniak seksualny i usnij wreszcie.

Zamknął oczy i tak mocno skupił się na tym, by ich nie otwierać, że z początku uznał spazmatyczny oddech dobiegający z sąsiedniego łóżka za wytwór własnej wyobraźni. Wtem Rusty gwałtownie wyskoczyła spod kocy. To nie była gra wyobraźni. Nie było to też coś, co mógł zignorować, udając, że śpi.

- Rusty?

- Co to?

W świetle dogasającego ognia widział jej oczy, rozszerzone z przerażenia. Pomyślał, że przyśnił jej się jakiś koszmar.

- Śpij. Wszystko w porządku.

- Co to za dźwięk?

Czy to on wydał jakiś dźwięk? Czyżby nie udało mu się stłumić jęków?

- Jaki...

Ale właśnie w tej chwili, żalobny, płaczliwy jęk rozległ się ponownie. Rusty zakryła oczy i zgięła się wpół.

- Nie mogę tego znieść! - zawołała.

Cooper odrzucił przykrycie i w sekundę znalazł się przy niej.

- To wilki, Rusty. Szare wilki. Nie są tak blisko, jak ci się wydaje, i nic nam nie zrobią.

Delikatnie pomógł jej wyprostować i ułożyć na pościeli. Na jej twarzy wciąż malował się niepokój. Oczy lękliwie przeszywały mroczne wnętrza chaty, zupełnie jakby do środka zakradły się demony nocy.

- Wilki?

- Wyczuły...

- Ciała.

- Tak - potwierdził ze smutkiem.
- O Boże. - Zasłoniła rękami twarz.
- Cii. Nie dostaną się do nich, bo zabezpieczyłem groby kamieniami. W końcu odejdą. Uspokój się i śpij.

Był tak umęczony własną słabością, że nie zwrócił uwagi na wycie stada, czającego się w lasach otaczających chatę. Ale widział, że strach Rusty nie był udawany. Ścisnęła jego rękę i wsunęła pod brodę, jak dziecko tulące pluszowego misia, by odpędzić nocne lęki.

- Nienawidzę tego miejsca - szepnęła.
- Wiem.
- Próbowałam być odważna.
- I byłaś.

Uparcie kręciła głową.

- Nie, jestem tchórzem. Ojciec to widział. To on zasugerował, żebym wcześniej wróciła do domu.

- Mnóstwo ludzi nie znosi widoku zabijanych zwierząt.  
- Załamalam się i płakałam dziś na twoich oczach. Od samego początku wiedziałeś, że jestem bezużyteczna. Nie nadaję się do tego wszystkiego. I nie chcę się nadawać. - Jej pełen buntu głos nie pasował do łez płynących po policzkach. - Myślisz, że jestem okropna!

- Wcale nie.
- Właśnie że tak myślisz!
- Naprawdę nie.
- To dlaczego oskarżyłeś mnie, że kusiłam tych mężczyzn?
- Byłem zły.
- Dlaczego?

Mnie też kusisz, może bezwiednie, a ja nie chcę się temu poddać, odpowiedział w myślach, a na głos rzucił:

- Nieważne.
- Chcę wrócić do domu. Tam wszystko jest bezpieczne, ciepłe i czyste.

Mógł się spierać, że ulice Los Angeles nie zawsze są uważane za bezpieczne, wiedział jednak, że to nie pora na żarty - nawet całkiem niewinne.

Prawienie komplementów nie leżało w jego naturze, ale teraz uznał, że Rusty na to zasłużyła.

- Świetnie sobie radzisz. Uniosła zapłakane oczy.
- Nie, to nieprawda.
- O wiele lepiej, niż się spodziewałem.
- Naprawdę? - spytała z nadzieją.
- Naprawdę. A teraz przestań się przejmować wilkami i śpij.

Wyrwał rękę z jej uścisku i odwrócił się. Zanim jednak się oddalił, zawył kolejny wilk. Krzyknęła i znów wyciągnęła do niego ręce, niemal rzucając się na niego, kiedy się ku niej zwrócił.

- Nie obchodzi mnie, że jestem tchórzem. Przytul mnie, Cooper. Proszę, przytul mnie. Objął ją odruchowo. Ogarnęło go takie samo uczucie bezradności jak wówczas, gdy płakała w jego ramionach. To było szaleństwo. Nie powinien jej obejmować bez względu na powód, ale zbyt okrutne byłoby zostawić ją samą. A więc, choć było w tym tyle samo męki, co ekstazy, przyciągnął ją do siebie i ukrył wargi w jej włosach.

Słowa, które mówił, brzmiały szczerze. Żałował, że to wszystko jej się przytrafiło. Chciał, żeby ich odnaleziono. Pragnął, żeby wróciła bezpiecznie do domu. Było mu przykro, że Rusty się boi. Jeśli jest coś, co może zrobić, by wyciągnąć ich obydwój z opresji, zrobi to!

- Zrobiłeś wszystko, co możliwe. Ale trzymaj mnie jeszcze przez chwilę - błagała.
- Dobrze.

Obejmował ją. Tulił, Chciał dotykać jej wszędzie. Cały drżał z pożądania.



- Marzniesz. - Rusty przejechała dłońmi po gęsiej skórcie na jego barkach.
  - Nic mi nie jest.
  - Włóż pod koc.
  - Nie!
  - Nie wygłupiaj się. Zaziębisz się. O co tyle szumu? Spaliśmy razem przez ostatnie trzy noce. No, chodź. - Odchyliła przykrycie.
  - Wracam do swego łóżka.
  - Powiedziałeś, że będziesz mnie obejmował. Proszę. Tylko póki nie zasnę.
- Zaklął, ale wśliznął się pod koc obok niej. Przytuliła się do niego, chowając twarz w kędzierzawym zarostcie jego torsu. Jej ciało ściśle przylgnęło do jego ciała. Zacisnął zęby. Po sekundzie oderwała się od niego.
- Och - zawołała cicho. - Zapomniałam, że jesteś...
  - Nagi. To prawda. Ale teraz jest już za późno, dziecinko.

## Rozdział 7

Cooper, całkowicie poddając się dojmującemu pożądaniu, którego nie potrafił już dłużej trzymać na wodzy, zawładnął ustami Rusty w długim, namiętym, zaborczym pocałunku. Sprawił on, że Rusty zapomniała o otaczającej ją ponurej i przytłaczającej rzeczywistości, o niepewnej przyszłości i braku nadziei na pomyślne zakończenie dramatycznej przygody. Liczyła się jedynie bliskość mężczyzny, który ją zarazem interesował i niepokoił, a którego skrycie pragnęła; w tym szczególnym momencie ważna była tylko namiętność, która pchała ich ku sobie i która dawała zapowiedź niezwyklej przeżyć. Rusty objęła Coopera za szyję i przyciągnęła jeszcze bliżej. Ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi, szepcząc coś niewyraźnie.

- O co chodzi, Cooper? Zaśmiał się ochryple.
  - To chyba oczywiste, prawda?
  - Wiem, ale co ja mam robić?
  - Albo dotykaj mnie wszędzie, albo nie dotykaj wcale. - Na twarzy czuła jego gorący oddech. - Cokolwiek postanowisz, pospiesz się.
- Wahała się ułamek sekundy, po czym przejechała palcami jednej ręki przez czuprynę Coopera i położyła dłoń na jego głowie. Drugą przegarnęła szorstkie włosy na jego torsie, gładząc mięśnie, które tak ją fascynowały.
- Ich wargi spotkały się w kolejnym zachłannym pocałunku. Cooper przejechał językiem po jej dolnej wardze, po czym uchwycił ją ustami i possał leciutko. Zmysłowość tego gestu pozbawiła ją tchu. Potraktował jej jęk jako zachętę i zaczął wytyczać pocałunkami drogę od szyi do piersi. Nie należał do mężczyzn, którzy pytają o pozwolenie. Śmiało przesunął dłoń ku jej piersi, objął ją i uniósł.

- Omal nie oszalałem z pożądania - wychrypiał. - Myślałem, że zwariuję, nie mogąc cię dotknąć, posmakować.

Rozchylonymi wargami dotknął delikatnej skóry dekoltu widocznego nad koszulką. Całował ją żarliwie, smakując, lekko skubiąc zębami. Muskał językiem, jednocześnie powoli masując kciukiem brodawkę jej piersi. Kiedy stwardniała, przyspieszył prowokujący ruch palca, aż Rusty była bliska szaleństwa.

- Przestań, Cooper. - Z trudem chwyciła powietrze. - Nie mogę tego wytrzymać.
- To dobrze, tak ma być.

Nie ustawał w pieszczotach. Rusty wygięła się w łuk, ale nawet ta, zdawałoby się oczywista, zachęta nie zadowoliła go.

- Powiedz, że mnie chcesz - powiedział cichym, wibrującym głosem.
- Tak, chcę ciebie! Tak, tak!

Kierowana niepohamowanym pożądaniem, nie zważając na nic, odepchnęła go i przejęła inicjatywę. Jej wargi przesunęły się w dół, przez pierś i brzuch, okrywając je delikatnymi

pocałunkami, przypominającymi krople deszczu na spalonej ziemi. Za każdym razem, kiedy jej wargi muskały pokrytą włosami skórę, szeptała jego imię. Brzmiało jak modlitwa, z każdym pocałunkiem nabierając więcej żarliwości.

- Jesteś piękny, piękny - szeptała tuż przy jego pępku. Wreszcie przesunęła głowę niżej i pocierając policzkiem o gęste ciemne włosy, westchnęła: - Cooper.

Namiętność, którą w niej obudził, zaszokowała go. Uniósł głowę i spojrzał na Rusty. Jej loki okrywały mu brzuch. Słowa miłości, które śpiewnie mruzczała, miały w sobie więcej zmysłowego rytmu, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć. Jej wargi, Boże, jej wargi - zostawiały ślady rosy na jego skórze.

Jej poruszająca się nad nim głowa była najbardziej zmysłowym, najpiękniejszym widokiem, jaki zdarzyło mu się oglądać. Przeraziło go to. Zepchnął ją z siebie i zsunął się z łóżka. Stojąc przy nim, wyraźnie drżał, przeklinając pod nosem.

Mógł zaakceptować gorące, żywiołowe, bezmyślne spółkowanie, ale nie to. Nie chciał, żeby w grę wchodziło uczucie, to było wykluczone. W łóżku robił z kobietami wszystko, co było fizycznie możliwe, a co miało służyć obopólnej rozkoszy. Żadna z tych kobiet jednak nie oddawała mu się z taką pasją i tak bez reszty. To, co zrobiła Rusty, sugerowało, że może ich połączyć coś więcej niż udany seks, niż fizyczna zażyłość. A on tego nie chciał i nie potrzebował. Żadnych więzi. Żadnej miłości. Żadnego romansu.

Chwilowo czuł się odpowiedzialny za Rusty Carlson, zamierzał bezpiecznie wyprowadzić ją z puszczy i wraz z nią wydostać się z pułapki, w jakiej się znaleźli, ale nie miał najmniejszej ochoty brać odpowiedzialności za jej równowagę uczuciową. Co to, to nie. Jeśli chciała iść z nim do łóżka, to nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie. Mogła robić z jego ciałem, co jej się żywnie podoba. Pozwoliłby jej na to, z przyjemnością zaspokoiłby jej najskrytsze zmysłowe pragnienia. Ale nic więcej. Nikomu nie było wolno wkradać się w jego uczucia.

Rusty wpatrywała się w niego, zdezorientowana i zraniona.

- Co się stało? - Nagle zażenowana, podciągnęła prześcieradło aż pod brodę.

- Nic.

Przeszedł przez izbę i dorzucił do paleniska kolejną kłodę. Deszcz iskier na krótko rozjaśnił mrok. W tym świetle zobaczyła, że Cooper wciąż jest podniecony.

- Idź spać - odpowiedział gniewnie na jej pytające spojrzenie. - Wilki już odeszły. Przecież mówiłem, że nie zrobisz ci krzywdy. Teraz przestań się mazać i nie zawracaj mi więcej głowy - dodał brutalnie.

Wróciwszy do swego łóżka, naciągnął przykrycie na głowę, zatykając uszy. W parę sekund pokrył się potem. Jego nie zaspokojone pożądanie wciąż domagało się ujęcia. Niech ją diabli, dlaczego zareagowała w ten sposób? Tak zmysłowo, szczerze i spontanicznie, bez udawania. Jej usta były czułe, pocałunki hojne, pieszczoty pełne pasji.

Zacisnął zęby na to wspomnienie. Czyżby oszalał? Całkiem oszalał, skoro nie wziął tego, co ofiarowała tak chętnie, bez zastrzeżeń, bez stawiania warunków!

Szkopuł w tym, że to nie pod wpływem chwili czy podłego nastroju zaprosiła go do swojego łóżka, choć na pewno pragnęła poczucia bezpieczeństwa. Oszłomienie na jej twarzy było wystarczająco wymowne. Dla niej było to coś więcej niż okazjonalne uprawianie miłości, niż zaspokojenie popędu. Nadawała temu znaczenia, których nigdy nie byłby w stanie zaakceptować.

Och, naturalnie, mógł zanurzyć się w to słodkie kobiece ciało i zaspokoić oboje fizycznie. Ale nie potrafił odczuwać, a ona właśnie tego chciała. Być może nawet na to zasługiwała. Nie mógł jej tego dać. Jego uczucia zdążyły się wypalić.

Nie, lepiej zranić ją teraz i mieć to za sobą. Lepiej okazać się draniem niż wykorzystać sytuację. Nie angażował się w romanse. Tym bardziej w długotrwały związek. Zresztą, nie miałby on szans na przetrwanie w świecie, do którego wrócą, kiedy już zostaną uratowani. Czy raczej do dwóch różnych, całkowicie odmiennych światów.

Do tej pory jakoś przeżyje. Będzie musiał.

Następnego ranka oczy Rusty były tak zapuchnięte od płaczu, że ledwo je otworzyła. Kiedy z wysiłkiem uniosła powieki, zauważyła, że drugie łóżko jest puste, a pościel złożona.

To dobrze. Cooper nie powinien zauważyć jej podpuchniętych oczu. Musi szybko przemyć je zimną wodą. Była zła, że poprzedniej nocy okazała słabość, ale wycie wilków naprawdę ją przeraziło. Symbolizowało wszystkie zagrożenia i sprawiło, że niebezpieczeństwo sytuacji, w której się znaleźli, stało się aż nadto realne. Było jak kropla, która przelała czarę goryczy.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu niepewność i lęk kazały jej szukać bezpieczeństwa w ramionach Coopera, a gdy się w nich znalazła, pojawiło się pożądanie. Cooper był na wskroś męski i nie skrywał, jak bardzo jej pragnie. Ona nie pozostała dłużna, a przy tym straciła głowę. Dzięki Bogu, że opamiętał się w porę, i w rezultacie do niczego nie doszło.

Rusty żałowała tylko, że to nie ona pierwsza się opamiętała. Mógł sobie pomyśleć, że gorąco go pragnęła, podczas gdy w rzeczywistości pragnęła tylko czyjejś bliskości. Tak się złożyło, że w pobliżu był jedynie on. A jeśli jemu wydawało się, że jest inaczej, był w wielkim błędzie.

Idąc za jego przykładem, pościeliła łóżko, po czym podeszła do zlewu i napompuwała trochę wody, żeby przemyć twarz i umyć zęby. Ubrała się w tę samą parę spodni co poprzedniego dnia, ale włożyła czystą flanelową koszulę. Wyszczotkowała włosy i związała je na karku sznurowadłem. Naciągając skarpetki, uświadomiła sobie, że porusza się bez pomocy kul. Noga niemal jej nie dokuczała. Może szwy zostały założone przez Coopera niezbyt fachowo, ale spełniły swoje zadanie.

Starając się nie poddawać uczuciu sympatii, podeszła do paleniska i dołożyła do niego parę kawałków drewna. Nalała wody do czajnika i wsypała kawę, z nostalgią wspominając ekspres do kawy z wbudowanym minutnikiem, stojący w jej dużej, znakomicie wyposażonej kuchni.

Tłumiąc falę tęsknoty za domem, zaczęła przygotowywać owsiankę na śniadanie. Przeczytała wskazówki na znalezionym w zapasach żywności pudełku i z zadowoleniem uznała, że ugotowanie owsianki nie wymaga specjalnych umiejętności. Wystarczy zagotować wodę i wsypać odpowiednią ilość płatków.

Niestety, okazało się, że jej optymizm był przedwczesny. Cooper wszedł ciężko do izby i spytał bez wstępów:

- Przygotowałaś już śniadanie?
- Tak - odburknęła. - Siadaj do stołu.

Chciała podać mu parującą miseczkę owsianki takiej jak w reklamach telewizyjnych. Zamiast tego po uniesieniu pokrywki ujrzała kleistą masę o barwie i konsystencji stygnącego betonu, tylko bardziej zbryloną.

Przeżazona, ale zdecydowana tego nie okazywać, wyprostowała ramiona i zaczerpnęła dwie łyżki mazi. Wrzucone do blaszanych misek upadły na ich dno jak ołów. Zaniosiła miski do stołu, ustawiła je wyniośle na gołych deskach i zajęła krzesło naprzeciwko Coopera.

- Co z kawą? - spytał.

Przygryzła wargę w osłupieniu, ale wstała, nalała obojgu kawy i bez jednego słowa wróciła do stołu. Całą sobą wyrażała niechęć wobec jego postawy pana i władcy.

Zaczerpnął odrobinę owsianki i ważył ją na łyżce, patrząc sceptycznie na Rusty. W milczeniu, z wyzywającą miną czekała, by powiedział coś niemiłego o jej owsiance. Miała już przygotowaną ripostę. Tymczasem on nie odezwał się słowem i wsunął łyżkę owsianki do ust.

Rusty spróbowała swojej. Omal jej natychmiast nie wypluła. Jednak, świadoma, że Cooper wbija w nią badawczy wzrok, przeżuła. Owsianka rosła jej w ustach. Wreszcie Rusty nie miała innego wyjścia, jak ją połknąć. Spłukała breję łykiem wrzącej kawy.

Łyżka Coopera zabręczała o miskę.

- To najlepsze, na co cię stać?

Rusty miała wielką ochotę odpowiedzieć pytaniem na pytanie: Czy minioną noc to najlepsze, na co cię stać? Uznała jednak, że podważanie umiejętności Coopera jako kochanka może zakończyć się w najlepszym razie kłótnią. Dała więc spokój i ograniczyła się do stwierdzenia:

- Nie gotuję dużo w domu.
- Domyślam się, że jesteś zbyt zajęta krążeniem z jednej luksusowej restauracji do drugiej.
- Tak.

Wykrzywiając się okropnie, przełknął kolejną łyżkę obrzydliwej mazi.

- To nie jest ta posolona i posłodzona owsianka, którą sprzedają w zgrabnych małych torebkach w misie i króliki. To prawdziwe jedzenie. Następnym razem posól wodę. Weź połowę dzisiejszej porcji i posyp wszystko cukrem. Ale nie za dużo. Musimy oszczędzać zapasy.

- Jeśli wiesz tyle o gotowaniu, skaucie, dlaczego nie zajmiesz się tym sam?

Odsunął miskę na bok i oparł łokcie na stole.

- Ponieważ muszę polować, łowić ryby i przygotowywać drewno na opał. Ale jak się nad tym zastanowić, gotowanie jest o wiele łatwiejsze. Chcesz się zamienić? A może chciałabyś, żebym zajął się wszystkim, a ty tymczasem będziesz odpoczywać i patrzeć, jak odrastają ci paznokcie?

Rusty w mgnieniu oka zerwała się z krzesła, szurnęła nim po podłodze i przechyliła się przez stół.

- Nie mam nic przeciwko wykonywaniu mojej części pracy, i wiesz o tym dobrze. Nie podoba mi się jednak, że krytykujesz moje starania.

- Jeśli to ma być przykład twoich starań, to niewykluczone, że w ciągu tygodnia umrzemy z głodu.

- Nauczę się! - wykrzyknęła.

- Dla mnie nie będzie to wystarczająco szybko.

- Och!

Odwróciła się gwałtownie i przy tym ruchu flanelowa koszula, którą zostawiła rozpiętą, rozchyliła się na boki. Cooper wyciągnął rękę i chwycił Rusty za ramię.

- Co to jest? - Sięgnął pod jej koszulę i opuścił ramiączko koszulki.

Rusty spojrzała w dół ku lekkiemu otarciu na dekolcie, po czym uniosła głowę i ich oczy się spotkały.

- To tu mnie... pocałowałeś... - Nie będąc w stanie mówić dalej, wykonała bezradny gest rękami. - Zeszłej nocy - dodała cicho.

Cooper gwałtownie cofnął rękę, jak Adam złapany na próbowaniu zakazanego owocu. Rusty czuła, jak na jej szyję wypełza rumieniec. Gorąco rozlewało się po całym ciele, w miarę jak Cooper prześlizgiwał się po niej wzrokiem. Zauważywszy różowe otarcia wokół jej ust, na twarzy i szyi, skrzywił się i unióś dłoń do własnego, zarośniętego podbródka.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało.

- Czy to... boli?

- Nie.

- A bolało, wiesz, kiedy...? Pokręciła przecząco głową.

- Nie zwróciłam uwagi.

Cooper podszedł do okna. Na dworze mżyło. Od czasu do czasu o szybę uderzała kulka gradu.

- Myślę, że powinienem wytłumaczyć to, co stało się w nocy - powiedział cichym, głębokim głosem.

- Nie. Nie trzeba żadnych wyjaśnień, naprawdę.

- Nie jesteś ciekawa, dlaczego zostawiłem cię samą?  
- Nie powiedziałam, że nie jestem ciekawa. Powiedziałam tylko, że nie musisz niczego wyjaśniać. W końcu jesteśmy sobie obcy.  
- Ale zastanawiałaś się. - Wycelował w nią oskarżycielsko palec. - Nie zaprzeczaj, że zastanawiałaś się, dlaczego stało się tak, a nie inaczej.  
- Pomyślałam, że może ktoś czeka na ciebie w domu. Jakaś kobieta.  
- Nie ma żadnej kobiety. - Widząc jej zdumioną minę, uśmiechnął się krzywo. - Mężczyzny też nie.  
- To mi nawet nie przyszło do głowy - roześmiała się z zażenowaniem.

Zastrzyk humoru nie starczył na długo. Uśmiech Coopera przeszedł w gniewny grymas.

- Nie podejmuję łóżkowych zobowiązań. Uniosła podbródek.  
- Nie przypominam sobie, żebym prosiła o coś takiego.  
- Nie musiałaś. Gdybyśmy... gdybym ja... Jesteśmy zdani tylko na siebie, Bóg wie na jak długo. Już jesteśmy od siebie zależni i nie powinniśmy komplikować naszej sytuacji jeszcze bardziej.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przyznała z zapalem. Nigdy dobrze nie znosiła odrzucenia, ale też nigdy nie pozwalała sobie na okazywanie zranionych uczuć. - Ostatniej nocy straciłam głowę. Byłam przerażona. Bardziej wyczerpana, niż sobie uświadamiałam. Byłeś tu, kierowany ludzkim odruchem próbowałeś podnieść mnie na duchu. W rezultacie sprawy wymknęły się spod kontroli, i tyle.

- Właśnie. Gdybyśmy spotkali się gdzie indziej, nie zwrócilibyśmy na siebie uwagi.  
- Chyba nie - przyznała, zmuszając się do śmiechu. - Nie można powiedzieć, żebyś pasował do mego kosmopolitycznego otoczenia. Sterczałbyś jak obolały kciuk.  
- A ty w swoich wystrzałowych ciuchach wzbudziłaś śmiech na mojej górze.  
- A więc w porządku.  
- W porządku.  
- Wszystko ustalone.  
- Tak.  
- Nie ma problemu. Istotnie.

A skoro tak, to dlaczego patrzą na siebie jak para bokserów na ringu? Atmosfera była naładowana wrogością. Można by powiedzieć, że podpisali układ pokojowy. Ale wszystko wskazywało na to, że wojna wciąż trwa.

Cooper odwrócił się pierwszy, wzruszając przy tym ze złością ramionami. Nałożył kurtkę i wziął strzelbę.

- Pójdę zobaczyć, co strumień ma do zaoferowania, jeśli chodzi o ryby.  
- Zamierzasz do nich strzelać? - Wskazała ruchem głowy strzelbę.

Rzucił jej kosę spojrzenie.

- Założyłem samołówkę, podczas gdy ty wylegiwałaś się rano w łóżku. - Nie dając jej czasu na ripostę, dodał: - Rozpaliłem też ogień pod kotłem na dworze. Zrób pranie.

Rusty rzuciła okiem na stos brudnych ubrań. Kiedy znów odwróciła się w stronę Coopera, miejsce, w którym przed chwilą stał, było puste. Pospieszyła ku drzwiom tak szybko, jak pozwalała jej na to chora noga.

- Zamierzałam zrobić pranie bez twojego polecenia! - zawołała w stronę oddalających się pleców mężczyzny. Jeśli ją usłyszał, nie pokazał tego po sobie.

Z przekleństwem zatrzasnęła drzwi. Posprzątała ze stołu. Wyszorowanie garnka, w którym gotowała owsiankę, zajęło jej prawie pół godziny. Na drugi raz musi pamiętać, żeby zaraz po wylaniu owsianki nalać do niego gorącej wody.

Potem zaatakowała zawzięcie stos brudnych rzeczy. Przed powrotem Coopera chciała uporać się z zadaniem, które jej tak bezceremonialnie narzucił. Za wszelką cenę musiała mu udowodnić, że załamanie, jakie przeżyła ostatniej nocy, było zupełnie przypadkowe.

Gdy skończyła pranie, ramiona mdlały jej ze zmęczenia. A po wykręceniu ubrań i rozwieszeniu ich do suszenia na drucie rozciągniętym od rogu chaty do najbliższego drzewa, odniosła wrażenie, że ręce odpadną jej za chwilę. Mokre dłonie były skostniałe z zimna, podobnie jak nos, z którego bez przerwy kapało. Noga znów zaczęła boleć.

Satysfakcja z osiągnięcia celu pomogła jej złagodzić cierpienia. Rusty pocieszała się myślą, że dobrze wykonała swoją pracę. Po powrocie do chaty ogrzała dłonie przy ognisku. Przywróciwszy w nich krążenie krwi, ściągnęła buty i ze znużeniem wdrapała się na wysokie łóżko. Kto jak kto, ale ona z pewnością zasłużyła na krótką drzemkę przed kolacją.

Musiała zapaść w głęboki sen. Kiedy Cooper wpadł z impetem do izby, poderwała się tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie, a przed oczami pojawiły się mroczki.

- Rusty! - krzyknął. - Rusty, czy ty... Do diabła, co ty robisz w łóżku! - Miał rozpiętą kurtkę, rozwichrzone włosy i czerwone policzki. Ciężko oddychał, zupełnie jak po biegu.

- Co ja robię w łóżku? - powtórzyła pytanie, ziewając potężnie. - Spałam.

- Spałam! Spałam! Nie słyszałaś samolotu?

- Samolotu?

- Przestań powtarzać każde moje cholerne słowo! Gdzie jest pistolet sygnalizacyjny?

- Pistolet sygnalizacyjny?

- Gdzie jest pistolet sygnalizacyjny? Nad nami słychać warkot samolotu.

Rusty, na dobre rozbudzona, spuściła nogi na podłogę.

- Szukają nas?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - Przebiegał izbę, przewracając wszystko, czego dotknął, w gorączkowym poszukiwaniu pistoletu sygnalizacyjnego. - Gdzie jest... tutaj! - Wymachując pistoletem, wypadł na zewnątrz, przeskoczył ganek i lustrował wzrokiem niebo. Rusty, w samych skarpetkach, pokuśtykała za nim.

- Widzisz go?

- Zamknij się!

Przechylił głowę na bok, nasłuchując. Łatwy do rozpoznania warkot silnika dotarł do nich w tym samym momencie. Odwrócili się równocześnie. Widok, który ujrzeli, nie nastrajał optymistycznie. Istotnie był to samolot. Najwidoczniej samolot ratunkowy, bo leciał nisko. Niestety, w przeciwnym kierunku. Wystrzelenie flary nie miałoby sensu, chyba że chciałoby się ją zmarnować. Dwie pary oczu były utkwione w malejącym punkciku, aż stał się na tyle mały, że nie można go było dostrzec, a odgłos silnika zamilkł w oddali.

Cooper odwrócił się powoli, patrząc z wściekłością na Rusty.

- Co, u diabła, sobie wyobrażałaś, idąc spać? - wycodził.

Rusty wolałaby już, żeby krzyczał. Wiedziała, jak zareagować i co odpowiedzieć na tyrady i wrzaski. Ten cichy głos, złowieszczy jak syk węża, przeraził ją do głębi.

- Ja... skończyłam pranie - wyrzucała z siebie pospiesznie, zacinając się na każdym słowie. - Byłam wykończona. Musiałam...

Nagle uświadomiła sobie, że nie jest mu winna żadnych wyjąkanych przeprosin. Od samego początku to on odpowiadał za pistolet sygnalizacyjny. Trzymał go przy sobie, odkąd opuścili rozbitą samolot.

Wojowniczo oparła dłonie na biodrach.

- Jak śmiesz zrzucać winę na mnie! Dlaczego wyszedłeś bez pistoletu sygnalizacyjnego?

- Ponieważ wychodząc stąd rano, byłem wściekły. Zapomniałem o nim.

- A więc to twoja wina, że nie wystrzeliliśmy flary, nie moja!

- Przez ciebie byłem wściekły!

- Jeśli nie potrafisz panować nad sobą, jak możesz oczekiwać tego ode mnie?

Oczy mu pociemniały.

- Nawet gdybym miał pistolet i wystrzelił z niego, mogliby go nie zauważyć. Ale z pewnością zauważyliby dym z komina. Ale nie. Tobie zachciało się odpoczynku. Najspokojniej poszłaś spać i pozwoliłaś, żeby ogień wygasł.

- Dlaczego nie rozpałiłaś ogniska sygnalizacyjnego, na tyle dużego, żeby ratownicy nie mogli go przegapić?

- Nie przyszło mi do głowy, że potrzebujemy ogniska, skoro mamy komin. Oczywiście nie spodziewałem się, że utniesz sobie popołudniową drzemkę. Zawahała się, a po chwili powiedziała defensywnie:

- Dym z komina i tak nie przyciągnąłby ich uwagi. Co jest niezwykłego w dymie?

- Jesteśmy daleko od uczęszczanych szlaków. Przynajmniej pokręciliby się w pobliżu, żeby to sprawdzić.

Rusty za wszelką cenę usiłowała znaleźć przekonujący argument.

- Wiatr jest zbyt duży, żeby słup dymu mógł się uformować. Nawet gdyby ogień się palił, nie zauważyliby dymu.

- Była szansa.

- Nie tak duża jak możliwość spostrzeżenia flary, gdybyś miał pistolet przy sobie.

Roztropniej byłoby nie podkreślać, że zaniedbał obowiązki, pomyślała Rusty. Dolna warga Coopera znikła pod wąsami, a on sam postąpił krok do przodu z groźną miną.

- Słowo daję, mógłbym cię udusić gołymi rękami za to, że dopuściłaś, aby samolot odleciał.

- Czemu tego nie zrobisz? - Odrzuciła głowę do tyłu. - Wolałabym, żebyś to zrobił, niż żebyś bez końca wytykał mi moje wady.

- Masz tyle wad, że nawet gdybyśmy pozostali tu na wiele lat, nigdy nie zdołałbym wytknąć ci ich wszystkich.

Policzki jej poróżnowiały z oburzenia.

- Przynaję to! Nie jestem stworzona do życia w wiejskiej chacie pośrodku lasu. To nie jest styl życia, który dla siebie wybrałam.

Wysunął podbródek.

- Nawet nie potrafisz gotować.

- Nigdy nie miałam ochoty ani nie musiałam gotować. Jestem kobietą pracującą zawodowo - powiedziała z zawziętą miną.

- Dużo mi, do diabła, teraz przyjdzie z twojej kariery zawodowej.

- Mi, mi, mi! - krzyknęła Rusty. - Cały czas myślisz tylko o sobie.

- Ha! Dobrze by było. Zamiast tego mam na głowie ciebie. A z ciebie nie ma żadnego pożytku.

- To nie moja wina, że zraniłam się w nogę.

- Pewnie zaraz powiesz, że to nie twoja wina, że ci dwaj mężczyźni dostali bzika na twoim punkcie.

- Nie moja!

- Czyżby? - Zaśmiała się złośliwie. - Cóż, jeśli chcesz wiedzieć, nie przestałaś wysyłać sygnałów, że chciałybyś mieć mnie w swoim łóżku.

Później Rusty nie mogła uwierzyć, że naprawdę to zrobiła. Nigdy nie przypuszczała, że jest zdolna do agresji. Nawet jako dziecko ulegała innym dzieciom, by uniknąć konfrontacji. Z natury była pacyfistką. Nikogo nie atakowała.

Ale teraz, słysząc umyślnie raniące słowa Coopera, rzuciła się na niego z rozczapierzonymi palcami wycelowanymi prosto w jego złośliwie uśmiechniętą twarz. Ale nie dosięgła go. Całym ciężarem stanęła na zranionej nodze, która ugięła się pod nią. Rusty z okrzykiem bólu upadła na zamrzniętą ziemię.

Cooper natychmiast znalazł się przy niej. Podniósł ją. Walczyła z nim tak zawzięcie, że musiał przytrzymać ją w mocnym uścisku.

- Uspokój się, albo tak ci dołożę, że stracisz przytomność.
- Zrobiłbyś to, prawda? - spytała, dysząc z wysiłku.
- To cholerna prawda. I podobałoby mi się to.

Poniechała oporu, bardziej z osłabienia i bólu niż z rzeczywistego poddania się woli Coopera. Wniósł ją do chaty i posadził na krześle w pobliżu paleniska. Rzuciwszy jej pełne wyrzutu spojrzenie, ukląkł przy ostygniętym palenisku i z trudem znów rozpałił ogień.

- Czy noga wciąż cię boli?

Pokręciła przecząco głową. Bolała jak diabli, ale ona wolałaby raczej dać sobie uciąć język, niż się do tego przyznać. Nie miała zamiaru z nim rozmawiać, nie po tym, co powiedział, i co było tak oczywiście nieprawdziwe. Takie zachowanie było dziecinne, ale nie odstąpiła od swego postanowienia, nawet gdy podniósł nogawkę jej podartych spodni, zsunął skarpetę i obejrzał zygzakowate nacięcie na skórze.

- Oszczędzaj ją do końca dnia. Jeśli będziesz chciała pochodzić, weź kule. Ja wracam po ryby.

To były dobre ryby. Prawdę mówiąc, wspaniałe. Cooper przyrządził je w rondelku, aż odchodziły od ości, były chrupiące na wierzchu i puszyste w środku. Rusty poniewczasie żałowała, że odmówiła zjedzenia drugiej. Jakby mu było mało tego, że ją zranił, Cooper obraził ją, jedząc rybę sam. Życzyła mu, żeby udławił się ością i umarł. Zamiast tego, bardzo zadowolony z siebie, oblizał palce.

- Posprzątaj to - powiedział lakonicznie, zostawiając jej brudny stół i kuchenkę.

Zrobiła, jak polecił. Kiedy skończyła, rzuciła się na łóżko i wpatrzyła w sufit nad głową. Nie potrafiła określić, czy jest bardziej urażona, czy zła. Nie dało się ukryć, że Cooper Landry wzbudzał w niej więcej emocji niż jakikolwiek inny mężczyzna. Te uczucia obejmowały całą skalę, od wdzięczności do nienawiści.

Był najpodlejszym, najbardziej złośliwym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miała nieszczęście się zetknąć, i nienawidziła go z pasją, która przerażała ją samą.

To prawda, ostatniej nocy błagała go, żeby położył się przy niej na łóżku. Ale szukała w tym pociechy, nie zmysłowych uciech! Nie prosiła o nie. Nie chciała ich. To się po prostu stało. On powinien zdać sobie z tego sprawę. Jego rozdęte do granic możliwości ego po prostu nie pozwalało mu tego przyznać.

Cóż, jedno było pewne. Od tej chwili będzie skromna jak mniszka. To nie będzie łatwe. W końcu mieszkają w jednej...

Wtem spostrzegła nad głową coś, co mogło rozwiązać jej problem. Nad jej łóżkiem wbito haki, takie same jak te, które Cooper wykorzystał do powieszenia prześcieradła przy wannie.

Tknięta nagłą myślą, szybko wyszła z łóżka i zdjęła dodatkowy koc z półki przy ścianie. Całkowicie ignorując Coopera, który obserwował ją spod oka, przyciągnęła krzesło i umieściła je pod jednym z haków.

Stojąc na krześle, musiała wyciągać mięśnie łydki - bardziej niż na zajęciach aerobiku - ale w końcu udało jej się dosięgnąć haka. Przesunawszy krzesło pod następny hak, powtórzyła całą operację. Kiedy skończyła, wokół łóżka wisiało coś w rodzaju zasłony, która miała zapewnić jej odrobinę prywatności.

Rzuciła swemu współmieszkańcowi wyzywające spojrzenie, po czym wsunęła się za wiszący koc. Proszę bardzo! Niech teraz oskarżają, że ciągnie go do łóżka.

Zadrzała na wspomnienie okrutnych słów. Nie dość, że miał paskudny charakter, to do tego jeszcze był nieokrzesany. Rozebrała się i wśliznęła do łóżka. Nie zasnęła od razu. Nawet po tym, jak usłyszała, że Cooper się położył, a jego spokojny oddech wskazywał, że zasnął, leżała bezsennie, obserwując drgające cienie, które ogień rzucał na sufit.

Kiedy zaczęły wyć wilki, przekręciła się na bok i nakryła głowę kocem. Wsadziła sobie pięść do ust, żeby się głośno nie rozplakać.



## Rozdział 8

Cooper zastygł w nieruchomej pozycji niczym myśliwy na zasiadce na jelenia. Z szeroko rozstawionymi nogami, łokciami opartymi na rozsuniętych kolanach, z dłońmi pod brodą.

Taki właśnie widok ujrzała Rusty zaraz po przebudzeniu następnego ranka. Mimo zaskoczenia zdołała się powstrzymać od wyrażenia na głos zdziwienia. Natychmiast spostrzegła, że zasłona, którą zawiesiła wokół łóżka wieczorem, została zerwana. Koc leżał w nogach jej pośłania.

Uniosła się na łokciu i z irytacją odgarnęła włosy z oczu.

- O co chodzi?
- Muszę z tobą porozmawiać.
- O czym?
- W nocy napadało parę centymetrów śniegu.

Przez chwilę wpatrywała się w jego kamienną twarz, po czym powiedziała z rozdrażnieniem:

- Jeśli masz ochotę ulepić bałwana, to dowiedz się, że nie jestem w odpowiednim nastroju.

Nawet nie mrugnął, choć nietrudno było się domyślić, że całą siłą woli powstrzymuje się, by nie wybuchnąć.

- Śnieg jest ważny - wyjaśnił spokojnie. - Kiedy nadejdzie zima, nasze szanse na pomoc znacznie zmaleją.

- Rozumiem - odparła równie spokojnie. - Nie wiem jednak, dlaczego jest to tak ważne właśnie w tej chwili.

- Ponieważ, zanim spędzimy razem kolejny dzień, musimy wyjaśnić parę rzeczy, ustalić kilka podstawowych zasad. Jeśli mamy całą zimę żyć na tym odludziu, skazani na siebie - co jest całkiem prawdopodobne - musimy dojść do porozumienia.

Usiadła, ale wciąż trzymała prześcieradło pod brodą.

- Na przykład?

- Na przykład nigdy więcej nie obrażać się na siebie. - Ściągnął groźnie brwi. - Nie życzę sobie tego rodzaju dziecinady z twojej strony.

- Och, doprawdy? - spytała słodko.

- Tak! Nie jesteś dzieckiem. Nie zachowuj się więc jak dziecko.

- To znaczy, że jeśli ty mnie obrażasz, to wszystko w porządku, ale ja powinnam nadstawić drugi policzek, tak?

Po raz pierwszy odwrócił wzrok, najwyraźniej zakłopotany.

- Chyba nie powinienem był powiedzieć tego, co mówiłem wczoraj.

- Nie, nie powinieneś. Nie wiem, jakie zdrożne myśli krążą po tym twoim brudnym mózdzku, ale nie obwiniaj o to mnie.

Przygryzł wąsa.

- Byłem na ciebie wściekły jak diabli.

- Dlaczego?

- Głównie dlatego, że... niezbyt cię lubię, a mimo to chcę iść z tobą do łóżka. W dodatku przez pójście do łóżka rozumiem nie tylko pójście do łóżka.

Gdyby ją uderzył, nie byłaby tak zaskoczona. Otworzyła usta, nabrała powietrza, ale nie dał jej szansy powiedzenia czegokolwiek.

- To nie pora na kluczenie ani przebieranie w słowach, prawda?

- Prawda - powtórzyła ochryple.

- Mam nadzieję, że potrafisz docenić moją szczerość.

- Potrafię.

- Dobrze, przyznajmy to. Oboje działamy na siebie fizycznie. Mówiąc bez ogródek, chcemy się ze sobą przespać. To nie ma najmniejszego sensu, ale tak właśnie jest.

Rusty spuściła gwałtownie wzrok na kolana. Cooper czekał na jej reakcję. Wreszcie jego cierpliwość się wyczerpała.

- No i?
- No i co?
- Powiedz coś, na litość boską.
- Zgadzam się w obu przypadkach. Westchnął przeciągle.
- W porządku, skoro więc wiemy, na czym stoimy, i wiemy również, że przed nami cholernie długa zima, musimy wyjaśnić parę spraw. Zgoda?
- Zgoda.
- Po pierwsze, przestaniemy sobie dokuczać. - Posłała mu lodowate spojrzenie. Z niechęcią dodał: - Przyznaję, pod tym względem jestem bardziej winny niż ty. Obiecujemy sobie, że od teraz nie będziemy obrzucać się inwektywami.
- Obiecuję. Skinął głową.
- Pogoda będzie naszym wrogiem. I to groźnym. Będzie wymagała całej naszej uwagi i energii. Nie możemy pozwolić sobie na luksus walki między sobą. Nasze przeżycie zależy od tego, czy potrafimy ze sobą współdziałać. Nasze zdrowie psychiczne zależy od tego, czy potrafimy żyć w zgodzie.
- Słucham cię uważnie. Przerwał, by pozbierać myśli.
- Moim zdaniem powinniśmy pełnić role wyznaczone nam przez naturę.
- Ty Tarzan, ja Jane.
- Coś w tym rodzaju. Ja zatroszczę się o to, by było co jeść. Ty będziesz gotować.
- Nie jestem najlepszą kucharką, jak niezbyt taktownie zauważyłeś.
- Nauczysz się.
- Spróbuję.
- Nie obrażaj się, kiedy będę ci dawał rady.
- A więc nie wytykaj mi braku zdolności. Jestem dobra w innych sprawach.

Spojrzenie Coopera przesunęło się na jej wargi.

- Nie mogę się z tym nie zgodzić. - Długą chwilę milczał. - Nie oczekuję od ciebie, że będziesz mi usługiwała.
- Ja również tego od ciebie nie oczekuję. Chcę wykonywać uczciwie swoją część pracy.
- Pomogę ci utrzymywać w czystości chatę i nasze ubrania.
- Dziękuję.
- Nauczę cię strzelać, żebyś mogła się obronić, kiedy odejdę.
- Odejdiesz? - spytała słabo, odnosząc wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

Wzruszył ramionami.

- Jeśli w okolicy zabraknie zwierzyny, a strumień zamarznie, może będę musiał wyruszyć dalej w poszukiwaniu pożywienia.

Myśl o czekających godzinach czy nawet dniach samotności przejęła ją lękiem. Nawet niemiły i grubiański Cooper był lepszy niż nikt.

- A teraz najważniejsza rzecz. - Czekał, aż skupiła na nim całą uwagę. - Ja jestem szefem - powiedział, uderzając się w pierś. - Nie oszukujmy się. To sprawa życia i śmierci. Możesz sobie wiedzieć wszystko o nieruchomościach, kalifornijskiej modzie i o stylach życia bogatych i sławnych. Ale tutaj ta wiedza nie jest warta funta kłaków. Na twoim terenie możesz robić, cokolwiek ci przyjdzie do głowy. Życzę ci szczęścia. Ale tutaj masz mnie słuchać!

- O ile sobie przypominam, nie próbowałam zająć twojej pozycji żywiciela stada - wtrąciła, urażona jego słowami. Zbyt boleśnie dał jej odczuć, że jej umiejętności poza Beverly Hills zdadzą się na nic.

- I tego się trzymaj. W dżungli nie ma czegoś takiego jak równość płci.

Wstał i rzucił okiem na koc leżący w nogach jej łóżka.

- Jeszcze jedno: żadnych głupich zasłon. Chata jest zbyt mała, a my żyjemy zbyt blisko siebie, by zabawiać się w udawanie nieśmiałości. Widzieliśmy się nago. Dotykaliśmy się. Nie mamy przed sobą sekretów. Poza tym - dorzucił, prześlizgując się po niej wzrokiem - gdybym chciał cię tak bardzo, żaden cholerny koc by mnie nie powstrzymał. A gdybym chciał cię zgwałcić, zrobiłbym to dawno temu.

Ich oczy zwały się na długą chwilę. W końcu Cooper odwrócił wzrok.

- Powinnaś już wstać. Zaparzyłem kawę.

Tym razem owsianka była znacznie lepsza niż poprzedniego dnia. W każdym razie nie przyklejała się do podniebienia jak stara kanapka z masłem orzechowym. Była umiarkowanie doprawiona solą i cukrem. Cooper zjadł swoją porcję do czysta, ale nie zdobył się na komplement.

Nie poczuła się urażona, jak poprzednio. Brak krytyki z jego strony był równoznaczny z pochwałą. Przecież przyrzekli sobie tylko, że nie będą się nawzajem obrażać. Nie obiecywali sobie, że będą zasypywać się komplementami.

Po śniadaniu wyszedł na dwór i - przed powrotem na lunch złożony z sucharków i zupy z puszki - zrobił sobie parę rakiet śnieżnych z wygiętych gałęzi iglaków powiązanych pnączami. Przymocował je do butów i ciężko stapał po podłodze chaty, demonstrując je Rusty.

- Bardzo ułatwią mi przemieszczanie się przez parów między chatą a rzeką.

Popołudnie spędził poza chatą. Rusty posprzątała, ale zajęcia domowe zabrały jej zaledwie pół godziny. Potem pozostało tylko niespokojne czekanie. O zmierzchu zobaczyła go przez okno. Zmierzał niezgrabnie w kierunku chaty w domowej roboty raketach śnieżnych.

Wybiegła na ganek, by go powitać kubkiem gorącej kawy i ostrożnym uśmiechem. Trochę głupio się czuła z powodu swojej radości na widok Coopera bezpiecznie wracającego do domu.

Odwiązując rakiety i opierając je o ścianę chaty, popatrzył dziwnie na Rusty i wziął zaofiarowaną kawę.

- Dzięki. - Upił łyk i spoglądał na nią przez obłoczek unoszącej się pary.

Kiedy przytknął kubek do warg, zauważyła, że są popękane, a ręce szorstkie i czerwone z zimna, mimo rękawiczek z owczej wełny, które zawsze zakładał, wychodząc na dwór. Chciała okazać mu współczucie, ale rozmyśliła się. Jego poranny wykład nie zachęcał do niczego poza obustronną tolerancją.

- Złowiłeś coś? - spytała.

Wskazał ruchem głowy koszyk wędkarski.

- Jest pełen. Zostawimy trochę na zewnątrz, żeby je zamrozić. Kiedy nadejdą większe mrozy, nie będę mógł zejść na dno parowu. Powinniśmy też zacząć gromadzić wodę w pojemnikach na wypadek, gdyby pompa zamarzła.

Przytaknąwszy, wniosła kosz z rybami do środka, dumna z apetycznego zapachu gulaszu. Zrobiła go z suszonej wołowiny znalezionej w zapasach Gawryłowów. Smakowita woń wypełniła chatę. Cooper zjadł dwie miski, a na zakończenie posiłku sprawił jej wielką radość, mówiąc „niezłe”.

Dni przebiegały w ustalonym rytmie. On zajmował się swoimi obowiązkami. Ona swoimi. On pomagał jej, ona jemu. Byli uprzedzająco grzeczni, ale trzymali się na dystans.

Podczas gdy krótkie dni udawało im się wypełniać zajęciami, wieczory ciągnęły się w nieskończoność. Zapadały szybko. Słońce znikало za linią drzew i pogrążało świat w głębokim mroku. Zajęcia na dworze stawały się niebezpieczne, więc Rusty i Cooper byli zmuszeni do przebywania w chacie.

Pierwszy śnieg stopniał następnego dnia, ale w nocy znów zaczęło padać i padało przez cały dzień. Z powodu stale spadającej temperatury i zamieci śnieżnej Cooper wrócił do chaty

wcześniej niż zwykle, a więc wieczór zdawał się nie mieć końca. Rusty, nie spuszczać oczu z Coopera, obserwowała, jak miota się po chacie niczym lew w klatce. Cztery ściany przyprawiły ją o klaustrofobię, a gorączkowe ruchy mężczyzny rozdrażniały jeszcze bardziej. Kiedy przyłapała go na drapaniu się w podbródek, co zdarzało mu się ostatnio dość często, spytała opryskliwie:

- O co chodzi?

Obrócił się wokół własnej osi, zupełnie jakby rwał się do walki i tylko czekał na to, żeby w końcu ktoś go sprowokował.

- Z czym?

- Z tobą.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego bez przerwy drapiesz się w brodę?

- Bo mnie swędzi.

- Swędzi?

- Broda. Jest akurat w takiej fazie.

- To skrobanie doprowadza mnie do szału.

- To pech.

- Dlaczego jej nie zgolisz, skoro swędzi?

- Bo nie mam maszynki, po prostu.

- Ja... - Urwała, uświadamiając sobie, że o mały włos się nie zdradziła. Zauważywszy jego zmrużone podejrzliwie oczy, powiedziała wyniośle: - Ja mam maszynkę. Wzięłam ją ze sobą. Założę się, że teraz się z tego cieszysz.

Wstała z krzesła stojącego przy palenisku i podeszła do półki, na której trzymała przybory toaletowe. Ceniła je bardziej niż skąpiec torbę złotych monet. Podeszła do Coopera z plastikową maszynką do golenia. I czymś jeszcze.

- Posmaruj sobie wargi tym. - Podała mu tubkę wazeliny. - Zauważyłam, że ci popękały.

Wziął od niej tubkę i wycisnął z niej odrobinę wazeliny. Wydawało się, że zamierza to skomentować, ale milczał. Roześmiała się, widząc, jak niezręcznie nakłada wazelinę. Kiedy skończył, oddał jej zakręconą tubkę. Teraz podała mu maszynkę.

- Proszę bardzo.

- Dzięki. - Obrócił maszynkę w dłoni, przyglądając się jej badawczo. - Nie przemyciłaś przypadkiem kremu do rąk, przyznaj się.

Wyciągnęła ręce przed siebie. Podobnie jak jego, były szorstkie od wody, wiatru i zimna.

- Czy wyglądają tak, jakby miały ostatnio kontakt z kremem?

Uśmiechy Coopera były tak rzadkie, że serce jej stopniało od tego, którym błysnął teraz. Wtem odruchowo chwycił jedną z jej dłoni i lekko pocałował wargami miękkimi od wazeliny.

Wąsy połaskotały jej skórę. I, co uznała za całkiem idiotyczne, ten gest ją wzruszył.

Nagle, uświadomiwszy sobie, co zrobił, Cooper puścił jej rękę.

- Ogołę się rano.

Rusty nie chciała, żeby puszczał jej rękę. Szczerze mówiąc, miała ochotę nakryć mu dłonią wąsy i wargi. Chciała poczuć ich dotyk w tym wrażliwym miejscu. Serce biło jej tak mocno, że z trudem wykrztusiła:

- Dlaczego nie teraz?

- Nie ma lusterka. Przy takim zaroście pokaleczyłbym się.

- Mogłabym cię ogolić.

Przez chwilę żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Napięcie między nimi było wprost namacalne. Rusty nie miała pojęcia, co skłoniło ją do wypowiedzenia tych słów. Najwyraźniej kierowała się wewnętrznym impulsem - może dlatego, że upłynęło już kilka dni

od czasu, gdy dotknęli się po raz ostatni. Czują się czegoś pozbawiona. Tak jak ciało domaga się określonego jedzenia, kiedy potrzebuje zawartych w nim witamin i minerałów, ona nieświadomie wyraziła pragnienie dotykania Coopera.

- Dobrze - oświadczył w końcu ochryplym głosem. Teraz, kiedy zgodził się na jej propozycję, zacisnęła dłonie, nagle zdenerwowana.

- Może... może usiądziesz przy ogniu. Przyniosę przybory.

- W porządku.

- Podwiń kołnierzyk koszuli do wewnątrz i wsuń do środka ręcznik - powiedziała przez ramię, wlewając wodę z czajnika stojącego na kuchence do płytkiej miski. Przysunęła krzesło do jego krzesła i położyła na siedzeniu miseczkę i maszynkę. Wzięła również z półki kostkę mydła i jeszcze jeden ręcznik.

- Najpierw zmoć brodę. - Zanurzył drugi ręcznik w miseczce z gorącą wodą. - Au, do diabła - zaklął, kiedy próbował go wykręcić.

- Uważaj, gorąca.

- Żartujesz?

Przerzucał gorący ręcznik z ręki do ręki, aż w końcu przykrył nim dolną połowę twarzy. Nie obyło się bez syku. Jednak przytrzymał go na brodzie, choć Rusty zastanawiała się, jak on może to znieść.

- Czy to nie piecze? - Nie odrywając ręcznika, pokiwał poważnie głową. - Robisz to, żeby zmiekczyć zarost, prawda? - Znów przytaknął. - Spróbuję zrobić porządną pianę.

Ostrożnie zanurzyła ręce w misce z gorącą wodą i wzięła mydło. Pocierała mydło w dłoniach tak długo, aż pokryły je banieczki o zapachu kapryfolium. Cooper śledził każdy jej ruch. Piana wyglądała na gęstą i kremową. Przedostawała się między palcami, drażniąc jego zmysły, choć nie miał właściwie pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

- Powiedz mi, jak będziesz gotowy - odezwała się, stając za nim.

Cooper powoli odsunął ręcznik. Rusty również powoli uniosła ręce ku jego twarzy i przyjrzała mu się uważnie. Jego twarz wydawała się z tej perspektywy surowsza, bardziej wyrazista. Ale w powiekach kryła się wrażliwość, która dała jej wystarczająco dużo odwagi, by położyć dłonie na jego szorstkich policzkach.

Czuła, jak Cooper napięciem reaguje na jej dotyk. Z początku nie przesuwiała rąk, trzymając je nieruchomo, oparte lekko o jego policzki, czekając, czy on powie, że to nie jest dobry pomysł.

Bo to nie był dobry pomysł.

Zastanawiała się tylko, które z nich przyzna to pierwsze i położy kres dalszym poczynaniom. Cooper jednak milczał, a ona nie miała ochoty przestać, więc zaczęła przesuwać dłońmi po jego policzkach.

Kontrast między szorstką skórą a miękką dłonią miał w sobie coś nęcącego. Przesunęła ręce, by namydlić większy obszar twarzy, i stwierdziła, że kości policzkowe są dokładnie tak wyrzeźbione i twarde w dotyku, jak na to wyglądają. Pośrodku podbródka był płytki dołeczek. Wsunęła tam czubek palca, ale zaraz niechętnie go wycofała.

Przejechała obiema dłońmi równocześnie po jego szyi, rozprowadzając pianę. Jej palce prześliznęły się po jabłku Adama w dół szyi, gdzie wyczuła mocno bijący puls. Cofając dłonie, natrafiła na dolną wargę, a potem na wąsy.

Przerwała i gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Przepraszam - szepnęła. Oderwawszy dłonie, zanurzyła je w wodzie, by splukać pianę. Pochyliła się ku przodowi i spojrzała. Na dolnej wardze Coopera zauważyła ślad mydła, a do wąsów przylgnęło kilka banieczek piany.

Mokrym palcem starła ślad mydła z jego wargi, a następnie potarła nim o jego wąsy, aż bańki znikły.

Cooper wydał z siebie gardłowy pomruk. Rusty zamarła, utkwivszy wzrok w jego oczach.

- Nie przerywaj - mruknął.

Z twarzą częściowo pokrytą białą pianą nie przedstawiał sobą żadnego zagrożenia, ale oczy mu pałały. Widziała isierki tańczące w ich głębiach i wyczuwała w nim gwałtowność, nad którą z trudem panował. Na wszelki wypadek ponownie stanęła za nim, schodząc mu z drogi.

- Nie zatnij mnie - ostrzegł, gdy zbliżyła maszynkę do jego szczęki.

- Nie zrobię tego, ale nie ruszaj się i siedź cicho.

- Robiłaś to już kiedyś?

- Nie.

- Właśnie tego się obawiałem.

Przestał mówić w chwili, gdy pierwszy raz przejechała mu maszynką po policzku.

- Na razie idzie dobrze - mruknęła. Wymamrotał coś, próbując nie poruszać przy tym ustami, ale Rusty nie dosłyszała, co powiedział. Za bardzo skupiła się na tym, by go porządnie ogolić, nie kalecząc skóry. Kiedy uporała się z dolnymi partiami twarzy, westchnęła głęboko z ulgą i zadowoleniem. - Gładkie jak tyłeczek niemowlęcia.

Z głębi jego piersi wydobył się śmiech. Rusty nigdy przedtem nie słyszała Coopera śmiejącego się tak spontanicznie. Jego śmiech był zazwyczaj zaprawiony cynizmem.

- Nie zaczynaj się przechwalać. Jeszcze nie skończyłaś. Nie zapomnij o szyi. I, na litość boską, uważaj z tą żyletką.

- Nie jest taka ostra.

- To najgorszy rodzaj maszynki.

Zanurzyła żyletkę w wodzie, by ją zwilżyć, po czym wsunęła mu dłoń pod brodę.

- Odchyl głowę do tyłu.

Posłuchał jej. Po kilku długich jak wieczność minutach Rusty oznajmiła:

- Gotowe.

Cofnęła się o krok i rzuciła maszynkę, zupełnie jakby to był obciążający dowód w procesie o morderstwo.

Cooper wyszarpnął ręcznik zza kołnierzyka koszuli i ukrył w nim twarz. Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim poruszył się i zsunął ręcznik.

- I jak? - spytała.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale.

Nagle wstał i cisnął ręcznik na krzesło. Ściągnąwszy kurtkę z kołka przy drzwiach, włożył ją, gwałtownie wciskając ręce w rękawy.

- Dokąd idziesz? - spytała Rusty niespokojnie.

- Na dwór.

- Poco?

Rzucił jej palące spojrzenie, niezbyt pasujące do zamieci za otwartymi drzwiami.

- Uwierz mi, lepiej, żebyś nie wiedziała.

Zachowywał się tak dziwacznie aż do południa następnego dnia. Przez cały ranek pogoda nie sprzyjała zarówno zwierzętom, jak i ludziom. Padający obficie śnieg zmusił ich do pozostania w chacie. Cooper przez większość czasu ignorował Rusty. Odpowiadała mu tym samym.

Poczuła ulgę, kiedy śnieżna zamieć ucichła i Cooper oświadczył, że wychodzi na dwór, by się rozejrzeć. Bała się o niego, ale zrezygnowała z przekonywania go, by został w chacie. Każdemu z nich należała się chwila samotności.

Poza tym Rusty zależało na tym, by zostać samej. Cooper nie był jedynym, którego ostatnio coś swędziało. Rana na nodze dawała jej się porządnie we znaki. Gdy skóra zaczęła się zasklepiać, zrobiła się napięta i wysuszona. Ubranie tylko pogarszało ten stan. Rusty doszła do wniosku, że czas usunąć szwy. Zdecydowała też, że wyciągnie je sama i nie będzie w to włączać Coopera, zwłaszcza że ich stosunki nie były najlepsze, a jego zmiany nastroju nieprzewidywalne.

Kilka minut po jego wyjściu ściągnęła ubranie, postanawiając skorzystać z okazji i obmyć się całą myjką. Kiedy skończyła, usiadła przy palenisku, owinięta w prześcieradło dla ochrony przed chłodem. Oparła chorą nogę o kolano drugiej i przyjrzała się jej uważnie. Czy przecięcie szwów i wyciągnięcie ich byłoby bardzo trudne?

Choć niedawno podobna myśl przyprawiłaby ją o mdłości, teraz Rusty podeszła do swego zadania racjonalnie. Najważniejsze to znaleźć coś do przecięcia nici. Nóż, który dostała od Coopera, był zbyt nieporęczny. Jediną rzeczą w chacie, wystarczająco ostrą, a zarazem delikatną była maszynka do golenia.

Uznała to za dobry pomysł, ale kiedy trzymała maszynkę nad pierwszym szwem, szykując się do przecięcia go, uświadomiła sobie, że jej dłoń jest spocona ze strachu. Wziąwszy głęboki oddech, dotknęła jedwabnej nici ostrzem.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i wszedł przez nie Cooper w pełnym rynsztunku. Osłonił głowę kawałkiem futra i był opatulony od szyi do butów. Oddech zamarł mu na wąsach, nadając im widmowo biały wygląd. Rusty pisnęła, zaskoczona i przejęta nagłym dreszczem.

Ale jej zaskoczenie było niczym w porównaniu z zaskoczeniem Coopera. Na swój sposób wyglądała równie niesamowicie jak on. Jej sylwetka rysowała się na tle paleniska, płomienie przeświecały przez włosy. Jedna noga była zgięta w kolanie, co pozwalało podziwiać smukłe, nagie udo. Prześcieradło, w które owinęła się po myciu, zsunęło się jej z ramienia, odsłaniając fragment piersi. Kiedy utkwiał wzrok w tym miejscu, brodawka zrobiła się sztywna od chłodnego powietrza napływającego do izby.

Zamknął drzwi.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?
- Myślałam, że nie będzie cię dłużej.
- Mógł to być ktokolwiek! - ryknął.
- Na przykład?
- Choćby... choćby...

Do diabła, nie potrafił wymyślić, kto jeszcze mógłby wpaść tu w taki sposób, jak on to przed chwilą uczynił, nie domyślając się, że znajdzie w prymitywnej chacie w kanadyjskich ostępach taki zapierający dech w piersiach widok. Poczul, jak rośnie w nim pożądanie. Albo naprawdę nie miała pojęcia, jak na niego działa, albo, wiedząc o tym, wykorzystywała to z premedytacją, by z wolna doprowadzić go do obłędu. Cokolwiek to było, skutek był taki sam. Sfrustrowany, zerwał futro z głowy i strząsnął z niego śnieg. Ściągnął rękawiczki. Szarpnął rzemienie mocujące rakiety do butów.

- Wracając do mojego pierwszego pytania, co, u diabła, wyprawiasz?
- Wyciągam szwy.

Rzucił kurtkę, która cudem zaczepiła się o kołek w ścianie.

- Co takiego?

Jego zachowanie - przemądrzałe, aroganckie, protekcyjne, pełne męskiej wyższości - działało jej na nerwy. Nie mówiąc już o tonie jego głosu. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Swędzą. Rana się zasklepiła. Czas je wyjąć.
- I używasz w tym celu maszynki?
- A co proponujesz?

Przemierzył dzielącą ich przestrzeń trzema gniewnymi krokami, po drodze wyciągając z pochwy nóż myśliwski. Kiedy ukląkł przed nią, wzdrygnęła się i zacisnęła prześcieradło wokół siebie.

- Nie możesz tego użyć!

Z pobłażliwą miną odkręcił rączkę noża i wytrząsnął stamtąd kilka przyborów, których Rusty dotychczas u niego nie widziała. Między innymi były tam niewielkie nożyczki. Zamiast się ucieszyć, wściekła się.

- Skoro je miałeś, dlaczego obciąłeś mi paznokcie tym wielkim nożem?

- Miałem taki kaprys. Teraz podaj mi nogę. - Wyciągnął rękę.
  - Sama to zrobię.
  - Podaj mi nogę. - Wymawiał każde słowo oddzielnie, przeszywając ją wzrokiem spod zmarszczonych brwi.
  - Jeśli tego nie zrobisz, sięgnę pod prześcieradło i wyciągnę ją sam. - Jego głos nabrął uwodzicielskiego brzmienia. - Nie wiadomo, na co natrafie, zanim ją znajdę.
- W końcu wyciągnęła gołą nogę spod prześcieradła.
- Dziękuję - mruknął sarkastycznie.
  - Kapie na mnie z twoich wąsów.

Szron zaczął tajać. Cooper wytarł wąsy rękawem koszuli, ale nie puścił nagiej stopy Rusty. W jego dużej dłoni była taka mała i błada. Rusty jego dotyk sprawił przyjemność, ale nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą. Umieścił jej piętę między swymi udami. Westchnęła głęboko, czując twardą, masywną wypukłość, która wypełniła jej podbicie.

- O co chodzi? - spytał ironicznie.

Prowokował ją. Wołałaby umrzeć, niż dać mu do zrozumienia, że coś zauważyła.

- O nic - powiedziała nonszalancko. - Masz zimne ręce, to wszystko.

Błysk w oczach Coopera dowodził, że bez trudu przejrzał jej kłamstwo. Uśmiechając się szeroko, pochylił głowę nad nogą i skupił się na czekającym go zadaniu. Przecięcie jedwabnych nitek poszło całkiem gładko. Rusty była przekonana, że równie łatwo mogłaby zrobić to sama. Ale kiedy wziął malutką pęsetę i uchwycił nią pierwszą uciętą nitkę, uświadomiła sobie, że najgorsze dopiero przed nią.

- To nie będzie bolało, ale trochę poszczypie - ostrzegł. Szybko pociągnął za szew.

Rusty bezwiednie przesunęła stopę, opierając się mocniej.

- Tylko nie to - jęknął. - Nie rób tego!

Nie, nie będzie. Na pewno nie. Od teraz będzie trzymała stopę nieruchomo jak kamień, nawet jeśli Cooper będzie wyciągał szwy zębami.

Kiedy było po wszystkim, oczy miała pełne łez. Był tak delikatny, jak to możliwe, i Rusty potrafiła to docenić, ale zabieg nie należał do przyjemnych. Oparła dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Dzięki, Cooper. Strząsnął jej rękę.

- Ubierz się. I pospiesz się z kolacją - polecił z wdziękiem jaskiniowca. - Umieram z głodu. Wkrótce potem zaczął pić.

## Rozdział 9

Butelki whisky pochodziły z zapasów Gawryłowów. Cooper odkrył je tego dnia, kiedy sprząтали chatę. Na ich widok cmoknął z zadowoleniem. Ale to było, zanim popróbował trunku. Pociągnął solidny łyk, przełknął go od razu, choć whisky wyglądała na tak gęstą i lepłą, że można ją było niemal żuć. Był to prawdziwy narkotyk, lichy bimber, który poszedł mu do głowy i palił w żołądku.

Rusty roześmiała się wtedy, słysząc, jak wydał z siebie ni to kaszel, ni to charczenie. Jemu nie było do śmiechu. Jak tylko odzyskał głos, oświadczył ponuro, że nie widzi nic zabawnego w tym, iż ma spalony przełyk.

Aż do tej chwili nie tknął alkoholu. Tym razem widok pijącego Coopera nie wydawał jej się zabawny.

Podsyciwszy ogień w palenisku, odkorkował butlę cuchnącej substancji. Rusty była zaskoczona, ale nic nie mówiła, kiedy ostrożnie pociągnął łyk. Potem następny. Z początku myślała, że pije, by się rozgrzać. Jego wyprawa na dwór była wprawdzie krótka, ale wystarczająco dokuczliwa, skoro wrócił z oszronionymi wąsami. Bez wątplenia przemarzył do szpiku kości.



To wyjaśnienie nie wytrzymało próby czasu. Cooper nie poprzestał na dwóch pierwszych łykach. Zabrał butlę na krzesło przed paleniskiem i zdążył wypić jeszcze trochę, zanim Rusty zawołała go do stołu. Ku jej irytacji przyniósł butlę ze sobą i wlał sporo whisky do kubka z kawą. Popijał z niego między kolejnymi kęsami gulaszu z królika.

Zastanawiała się, czy roztropnie będzie ostrzec go, by nie pił za dużo, ale wkrótce czuła się zbyt skrepowana, by powiedzieć cokolwiek. Popijał z blaszanego kubka z niepokojącą regularnością.

Co się stanie, jeśli Cooper się upije do nieprzytomności? Będzie musiał zostać tam, gdzie upadnie, bo ona nie będzie w stanie go podźwignąć. Przypomniała sobie, ile wysiłku kosztowało ją wyciągnięcie go z rozbitego kadłuba samolotu. Wówczas znaczną część energii zawdzięczała adrenalinie. A co, gdyby wyszedł na zewnątrz i zabłądził? Przez głowę przemykały jej tysiące możliwości, jedna straszliwsza od drugiej.

Wreszcie przemogła się:

- Myślałam, że nie możesz tego pić.

Troska w jej głosie nie zwiódła go. Potraktował słowa Rusty jak krytykę.

- Myślisz, że nie jestem na to wystarczająco męski?

- Co takiego? - spytała ze zdumieniem. - Nie. To znaczy tak, myślę, że jesteś wystarczająco męski. Sądziłam, że nie odpowiada ci ten smak.

- Nie piję dlatego, że mi smakuje. Piję, bo nie mam nic lepszego.

Szukał powodu do kłótni. Widziała to w jego oczach, słyszała w jego burkliwym głosie. Rusty była zbyt bystra, by pociągać lwa za ogon, nawet jeśli wysuwał go przez kraty klatki. I zbyt bystra, by machać przed Cooperem czerwoną płachtą. Wyraz jego twarzy zwiastował kłopoty równie wyraźnie jak znak sygnalizujący niebezpieczeństwo.

W jego obecnym nastroju lepiej było zostawić go samemu sobie i nie prowokować, choć zachowanie milczenia kosztowało ją немало wysiłku. Marzyła, by powiedzieć mu, jak głupie jest picie byle czego tylko po to, by się upić.

Co najwyraźniej zamierzał zrobić. Wstając od stołu, omal nie przewrócił krzesła. Tylko dzięki wyuczonym odruchom, szybkim i pewnym jak u atakującego grzechotnika, złapał je, zanim wylądowało na podłodze. Ponownie ulokował się w pobliżu paleniska. Tam popijał i rozmyślał, podczas gdy Rusty zmywała naczynia po kolacji.

Gdy skończyła, zamiotła podłogę - głównie po to, żeby się czymś zająć. Podłoga nie wymagała zamiatania. To niewiarygodne, ale wysprzątana, czysto utrzymana chata stała się dla Rusty powodem do dumy.

W końcu nie zostało jej nic do zrobienia. Stała skrepowana pośrodku izby, zastanawiając się, co ze sobą począć. Cooper siedział zgarbiony na krześle, w zamyśleniu wpatrując się w palenisko i popijając to coś, co udawało whisky. Najrozsądniej byłoby wynieść się stąd, ale chata miała tylko jedną izbę. Spacer nie wchodził w grę. Nie była śpiąca, ale pójście do łóżka wydawało się jedynym wyjściem.

- Ja... myślę, że pójde już spać, Cooper. Dobrej nocy.

- Siadaj.

Zatrzymała się gwałtownie. Nawet nie chodziło o to, co powiedział, ale o sposób, w jaki to zrobił. Wolałaby rozkaz wydany ostrym tonem od tego spokojnego, wypowiedzianego ponurym głosem polecenia.

Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

- Siadaj - powtórzył.

- Idę...

- Siadaj!

Tym władczyim tonem wyraźnie ją prowokował, ale Rusty stłumiła chęć sprzeciwu. Nie była do przesady uległa, ale nie była też głupia. Tylko głupiec spierałby się z kimś w podobnym stanie. Z irytacją przeszła przez izbę i usiadła na krześle naprzeciwko Coopera.

- Jesteś pijany.
- Masz rację.
- Wspaniale. Ośmieszaj się dalej. Zrób z siebie głupca. Guzik mnie to obchodzi. Ale żał na to patrzeć. A więc, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym iść spać.
- Mam coś przeciwko temu. Zostań tam, gdzie jesteś.
- Dlaczego? Co za różnica? Czego chcesz?

Pociągnął łyk z kubka, patrząc na nią sponad powyginanej krawędzi.

- Upijając się, chcę siedzieć tu i patrzeć na ciebie i wyobrażać sobie ciebie... - Znow upił łyk, po czym powiedział z głośnym czknięciem: - Naga.

Rusty zerwała się z krzesła, jak za naciśnięciem sprężyny. Najwidoczniej jednak żaden stopień upojenia alkoholowego nie osłabiał refleksu Coopera. Błyskawicznie wyciągnął rękę, złapał Rusty za rękaw swetra, przyciągnął z powrotem i pchnął na krzesło.

- Powiedziałem ci, żebyś została tam, gdzie jesteś.

- Puść mnie! - Szarpnięciem uwolniła rękę. Była teraz równie przerażona jak wściekła. To nie wyglądało na pijacki wybryk czy bredzenie pijanego. Próbowała przekonać samą siebie, że Cooper nie zrobi jej krzywdy, ale przecież tak naprawdę tego nie wiedziała. Alkohol mógł wyzwolić w nim agresję.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała z udawaną odwagą.

- Nie zamierzam cię tknąć.

- A więc o co ci chodzi?

- Możesz to nazwać masochistycznym... samozaspokojeniem. - Powieki opadły mu znacząco. - Jestem pewien, że potrafisz znaleźć na to odpowiednie określenie.

Rusty oblała się żarem.

- Znam odpowiednie określenie na ciebie. I to niejedno. Roześmiał się.

- Daruj sobie. Słyszałem je wszystkie. Zamiast obmyślania wyzwisk, którymi mogłabyś mnie obrzucić - dodał, upiwszy kolejny łyk z kubka - porozmawiajmy o tobie. Na przykład o twoich włosach.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wbiła wzrok w sufit, niczym żywy obraz najwyższego znudzenia.

- Wiesz, co sobie pomyślałem, kiedy zobaczyłem twoje włosy? - ciągnął, nie zrażony jej wrogim zachowaniem. Pochyliwszy się do przodu, wyszeptał: - Pomyślałem o tym, jak przyjemnie byłoby poczuć ich dotyk na brzuchu.

Rusty spojrzała mu w oczy. Były szkliste. Nie tylko od alkoholu. Nie wyglądały jak bezmyślne oczy pijaka. Ich ciemne źrenice lśniły, płonęły. Jego głos był wyraźny. Cooper nie bełkotał. Nie mogłaby go nie zrozumieć - ani udawać, że go nie rozumie.

- Stałaś w blasku słońca na płycie lotniska. Rozmawiałaś z jakimś mężczyzną... twoim ojcem. Ale wtedy nie wiedziałem, że to twój ojciec. Patrzyłem, jak go obejmujesz, całujesz w policzek. Myślałem: Ten skurczybyk to ma szczęście. Wie, jakie to uczucie bawić się jej włosami w łóżku.

- Przestań, Cooper. - Zaciśnęła dłonie w pięści.

- Kiedy weszłaś na pokład samolotu, chciałem wyciągnąć rękę i dotknąć twoich włosów. Chciałem chwycić je w garść i przyciągnąć twoją głowę do moich ud.

- Przestań!

Pociągnął kolejny łyk whisky. Oczy pociemniały mu jeszcze bardziej, stały się groźne.

- Lubisz słuchać takich rzeczy, prawda?

- Nie.

- Przyjemnie wiedzieć, że ma się taką władzę nad mężczyznami.

- Mylisz się. I to bardzo. Czułam się wyjątkowo skrepowana tym, że byłam jedyną kobietą w samolocie.

Mruknął coś nieprzyzwoitego i znowu się napił.

- Tak jak dzisiaj?
- Dzisiaj? Kiedy?

Odstawił kubek na bok, nie uroniwszy ani jednej kropli. Koordynacja jego ruchów, podobnie jak refleks, wciąż działała bez zarzutu. Był złośliwy, pijany, ale nie niemrawy. Pochylił się do przodu i przybliżył twarz ku jej twarzy.

- Kiedy wszedłem do chaty i zastałem cię nagą, owiniętą tylko prześcieradłem.

- Nie zrobiłam tego specjalnie. Po prostu przeliczyłam się. Nie miałam pojęcia, że wrócisz tak prędko. Zawsze wychodzisz na parę godzin. To dlatego postanowiłam się umyć, jak tylko wyszedłeś.

- Natychmiast po otwarciu drzwi zorientowałem się, że się myłaś - powiedział niskim, wibrującym głosem. - Czułem zapach mydła na twojej skórze. - Prześliznął się po niej wzrokiem, zupełnie jakby widział jej nagą skórę, nie ciężki, robiony na drutach sweter w warkocze. - Zaszczyciłaś mnie widokiem twojej piersi, czyż nie?

- Nie!

- Dobrze sobie.

- Nie zrobiłam tego! Kiedy uświadomiłam sobie, że prześcieradło się ześliznęło...

- Za późno. Widziałem ją. Twoją brodawkę. Różową. Twardą. Rusty z trudem łapała oddech. Ta absurdalna rozmowa wywierała na nią dziwny wpływ.

- Przestań. Obiecaliśmy, że nie będziemy się obrażać.

- Nie robię tego. Może obrażam siebie, ale nie ciebie.

- To nieprawda. Proszę, Cooper, przestań! Nie wiesz...

- Co mówię? Ależ wiem. Dokładnie wiem, co mówię. -Spojrzał jej prosto w oczy. - Mógłbym całować twoje sutki przez cały tydzień i jeszcze nie miałbym dość.

Spotęgowana alkoholem szorstkość jego głosu sprawiała, że słowa były ledwie słyszalne. Ale Rusty usłyszała je. Odurzyły ją. Zachwiała się, jęknęła i zamknęła oczy w nadziei, że ucieknie w ten sposób przed impertynenckimi słowami i wywołanymi przez nie obrazami.

Po chwili otworzyła oczy i przeszyła go wzrokiem, udając odwagę.

- Nie waż się mówić do mnie w ten sposób!

- Dlaczego nie?

- Nie podoba mi się to.

Rzucił jej uśmiech pełen wyższości i niedowierzania.

- Nie podoba ci się, że mówię, jak bardzo chciałbym cię wszędzie dotykać? Jak marzę o tym, że twoje uda otwierają się dla mnie? Jak leżę w tym przeklętym łóżku noc po nocy, wsłuchując się w twój oddech i pragnąc być tak głęboko w tobie, że...

- Przestań! - Rusty zerwała się z krzesła i przycisnęła się obok Coopera, chcąc uciec na dwór. Lepsze już dotkliwe zimno niż żar bijący od mężczyzny.

Cooper był dla niej za szybki. Nie zdołała dotrzeć do drzwi. Zanim zrobiła dwa kroki, zamknął ją w uścisku. Wygiął jej plecy do tyłu i pochylił się nad nią. Na przerażonej twarzy czuła jego gorący oddech.

- Jeśli było mi sądzone zostać uwięzionym w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu, dlaczego musiało mnie to spotkać z kobietą, która wygląda jak bóstwo? Dlaczego? - Potrząsnął nią lekko, zupełnie jakby oczekiwał od niej logicznego wyjaśnienia. - Dlaczego musisz być tak cholernie piękna? Seksowna? Mieć usta stworzone do miłości?

Rusty usiłowała wywinąć się z uścisku.

- Nie chcę tego! Puść mnie!

- Dlaczego nie wpadłem w tę pułapkę z kimś brzydkim i miłym? Z kimś, z kim mógłbym pójść do łóżka i nie żałować tego później. Z kimś, kto byłby mi wdzięczny za opiekę. Nie z próżną, małą dziwką, która doprowadza mężczyzn do szału. Nie z kobietą z tak zwanego eleganckiego świata. Nie z tobą.

- Ostrzegam cię, Cooper. - Szamotała się z nim, zaciskając zęby.

- Z kimś o wiele mniej atrakcyjnym, ale pożytecznym. Z kobietą, która umie gotować.  
- Uśmiechnął się oblesnie. - Założę się, że świetnie gotujesz. W łóżku. To twoje pole działania. Założę się, że tam serwujesz swoje najlepsze dania.

Zsunął dłonie na jej pośladki i mocno przycisnął ją do siebie, wysuwając biodra do przodu i napierając na jej brzuch.

- Czy to, że tak na mnie działasz, robi na tobie wrażenie? Była pod wrażeniem, ale zupełnie innego rodzaju. Intymny kontakt z jego męskością odebrał jej oddech. Broniąc się przed upadkiem, złapała go za ramiona. Zastygli tak na parę sekund.

W końcu Rusty odepchnęła Coopera. Nienawidziła go za to, co przez niego przeszła. Ale było jej również wstyd własnej odruchowej reakcji na wszystko, co mówił. Przez ułamek sekundy nie była pewna, czy go objąć, czy odepchnąć.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - powiedziała stanowczym, choć drżącym głosem. - Mówię poważnie. Jeśli tego nie zrobisz, użyję noża, który mi dałeś, przeciwko tobie. Słyszysz mnie? Nie waż się mnie tknąć. - Przeszła dużymi krokami obok niego i rzuciła się twarzą na łóżko, wtulając się w szorstkie prześcieradło, by ochłodzić rozpalone policzki.

Cooper stał przez chwilę pośrodku izby. Uniósł obie ręce i przegarnął nimi długie włosy, odrzucając je do tyłu. Po czym opadł z powrotem na krzesło przed paleniskiem, wziął budę i cynowy kubek.

Kiedy Rusty odważyła się na niego zerknąć, wciąż tam siedział, ponuro sącząc whisky.

Kiedy następnego ranka zobaczyła, że pościel na łóżku Coopera wygląda na nie naruszoną, wpadła w popłoch. Czy wyszedł na dwór w środku nocy? Czy przydarzyło mu się coś strasznego? Odrzuciwszy przykrycie - nie pamiętała, żeby wieczorem naciągała je na siebie - pognała przez izbę i gwałtownie otworzyła drzwi.

Odetchnęła z ulgą na widok Coopera. Rąbał drewno na opał. Niebo było pogodne. Słońce świeciło. Z okapu, gdzie poprzedniego dnia wisały lodowe sople, teraz kapało bez przerwy. Temperatura wyraźnie wzrosła. Cooper nawet nie miał na sobie kurtki. Poły jego koszuli zwisały luźno, a kiedy się odwrócił, zobaczyła, że ma rozpięte guziki.

Spostrzegł Rusty, ale nic nie powiedział, rzucając porąbane kłody na stos drewna obok ganku. Jego twarz miała zielonkawy odcień, a pod przekrwionymi oczami widać było ciemne kręgi.

Rusty cofnęła się do środka, zostawiając otwarte drzwi, by wpuścić do izby świeże powietrze. Było wciąż zimno, ale słońce dodawało otuchy. Wydawało się rozpraszać wrogość czającą się w mrokach chaty.

Pospiesznie przemyła twarz i wyszczotkowała włosy. Ogień na kuchni całkiem wygasł, ale teraz potrafiła już użyć drewna na podpałkę i rozpalić nowy. Po chwili był na tyle duży, że mogła zaparzyć kawę.

Dla odmiany otworzyła szynkę w puszcze, pokroiła ją w plasterki i podgrzała w rondelku. Woń smażonej wieprzowiny sprawiła, że napłynęła jej ślinka do ust. Miała nadzieję, że zapach podziała podobnie na Coopera. Zamiast owsianki ugotowała ryż. Oddałaby cnotę za odrobinę margaryny. Na szczęście nie miała okazji do handlu wymiennego, więc zadowoliliła się polaniem ryżu tłuszczem z szynki, co okazało się wyjątkowo dobrym pomysłem.

Otworzyła też puszkę brzoskwiń, włożyła je do miseczki i ustawiła na stole wraz z pozostałym jedzeniem. Nie słyszała już charakterystycznych odgłosów rąbania drewna, założyła więc, że Cooper wkrótce się pojawi.

Miała rację. Po chwili wszedł do chaty. Stąpił dość niepewnie. Podczas gdy mył ręce nad zlewem, Rusty wyjęła z apteczki dwie tabletki aspiryny i położyła je na jego talerzu.

Kiedy podszedł do stołu, popatrzył na nie ze zdziwieniem, ale połknął je i popił szklanką wody stojącą obok talerza.

- Dzięki. - Ostrożnie usadowił się na krześle.

- Proszę bardzo. - Rusty nie zaryzykowała śmiechu. Ostrożne ruchy Coopera wskazywały na potężnego kaca. Nalała kubek mocnej czarnej kawy i podała mu. Ręka mu drżała, kiedy po niego sięgał. Najwidoczniej rąbanie drewna było karą, którą wyznaczył sobie za picie whisky.

- Jak się czujesz?

Nie poruszając głową, popatrzył na Rusty.

- Bola mnie rzęsy.

Powstrzymała się od uśmiechu. Oparła się również pokusie wyciągnięcia ręki i odgarnięcia kosmyków włosów z jego czoła.

- Możesz jeść?

- Chyba tak. Powinienem. Spędziłem wiele godzin na dworze, no wiesz. Mam szczęście, że żołądek jest wciąż na swoim miejscu.

Kiedy siedział ze skulonymi ramionami i rękami opartymi ostrożnie po obu stronach nakrycia, podała jedzenie. Zanim podsunęła mu talerz, pokroiła jego porcję szynki na drobne porcje. Odetchnął głęboko, ujął widelec i ostrożnie skosztował kawałek. Kiedy nabrał pewności, że nie wymiotuje, wziął kolejny, po nim jeszcze jeden, a wkrótce zaczął jeść z apetytem.

- Dobrze - powiedział po paru minutach, przerywając milczenie.

- Dziękuję. Lepsze niż owsianka, a poza tym to jakaś odmiana.

- Tak.

- Zauważyłam, że się ociepliło.

- Może będziemy mieli szczęście i taka pogoda utrzyma się przez parę dni, zanim nadciągnie następna śnieżycy.

- Byłoby dobrze.

- Tak. Mógłbym sporo w tym czasie zrobić.

Nigdy przedtem nie prowadzili takiej niezobowiązującej, uprzejmej rozmowy. Wymiana banalnych uwag okazała się jednak bardziej krępująca niż kłótnia, więc oboje z niej zrezygnowali. W ciszy tak głębokiej, że słyhać było wodę kapiącą z okapu na ganek, skończyli posiłek i wypili po drugim kubku kawy.

Kiedy Rusty wzięła się do sprzątanía ze stołu, Cooper przerwał milczenie:

- Myślę, że aspiryna pomogła. Ból głowy prawie minął.

- Cieszę się.

Odchrząknął głośno i zaczął się bawić nożem i widelcem, które przedtem odłożył na pusty talerz.

- Słuchaj, co do ubiegłej nocy, ja... no... nie mam wytłumaczenia na swoje zachowanie.

Uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem.

- Gdybym mogła znieść smak tej pseudowhisky, pewnie sama bym się upiła. Od czasu katastrofy wiele razy miałam na to ochotę. Nie musisz mnie przeproszać.

Znów podeszła do stołu i sięgnęła po talerz. Cooper chwycił ją za rękę. Ten gest, w przeciwieństwie do wszystkiego, co robił, odkąd go poznała, był niepewny, pełen wahania.

- Próbuję cię przeprosić za to, co powiedziałem. Wpatrując się w czubek jego głowy, gdzie włosy wichrzyły

mu się po chłopięcemu, Rusty spytała cicho:

- Naprawdę o tym myślałeś, Cooper?

Wiedziała, co robi. Zapraszała go, żeby się z nią kochał. Chciała, żeby to zrobił. Dalsze oszukiwanie się nie miało najmniejszego sensu. Działał na nią jak żaden inny mężczyzna, i najwyraźniej to przyciąganie było wzajemne.

Być może zdołaliby przeżyć zimę, nie zostając kochankami, ale do wiosny ich zdrowie psychiczne byłoby nie do pozazdroszczenia. Tego namiętnego pragnienia nie dało się dłużej tłumić.

W innych okolicznościach z całą pewnością nie nawiązaliby znajomości, nie mówiąc już o romansie. Prawdopodobnie w ogóle by się nie spotkali. Żyli pod inną szerokością geograficzną, obracali się w zupełnie różnych środowiskach. Ekstremalne warunki, w których się znaleźli i egzystowali, zdecydowanie odbiegały od rutyny i codzienności. Analizowanie, czy ich style życia, przekonania polityczne i poglądy są zbieżne, było bez sensu. Liczyło się jedynie to, że mieli tylko siebie, że pragnęli bliskości, że instynktownie lgnęli do siebie, pragnąc w swoich ramionach odnaleźć poczucie bezpieczeństwa. Ważne przy tym było to, że mieli świadomość, iż wyjątkowo silnie na siebie działają. Nie chodziło o jakiegoś mężczyznę i jakąś kobietę. Chodziło o Rusty i Coopera. Powoli uniósł głowę.

- Co powiedziałaś?
- Spytałam, czy naprawdę myślałeś o tym, o czym mówiłeś.
- Tak. Naprawdę o tym myślałem.

Był człowiekiem czynu, nie słów. Wyciągnął ręce i przyciągnął jej głowę. Wydając z siebie niskie, głębokie pomruki, wargami potarł jej wargi, by je rozdzielić. Wsunął język w jej usta. Rusty nie oponowała.

Wstając, potknął się i stracił równowagę. Tym razem krzesło przewróciło się do tyłu i wylądowało z trzaskiem na podłodze. Żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Jego ramiona otoczyły jej talię, ona oplótła rękami jego szyję. Przycisnął ją mocno do siebie. Ich ciała dopełniały się nawzajem.

O Boże!

Oderwał gwałtownie wargi od jej ust i wtulił je w jej szyję. Palcami jednej ręki zburzył jej włosy, przeczesując je i mierzwiąc. Właśnie tego chciał. Odchylił jej głowę do tyłu i wpatrzył się w jej twarz. Jego własna była napięta z pożądania.

Rusty nie odwróciła wzroku.

- Pocałuj mnie jeszcze, Cooper.

Jego usta znów spoczęły na jej wargach, gorące i zachłanne. Zaparło jej dech. Nie przestając całować, niezdarnie rozpiął guzik i suwak jej spodni. Kiedy wsunął dłoń za elastyczną gumkę, Rusty była bliska omdlenia. Myślała przedtem, że czeka ją powolne narastanie zmysłowego napięcia, długa gra wstępna.

Nie żałowała, że tak nie jest. Jego śmiałość, jego niecierpliwość działały jak najlepszy afrodyzjak.

Mamrotał przekleństwa, podniecające same w sobie, bo tak dobitnie wyrażały poziom jego pobudzenia. Jak piosenka Roda Stewarta były dogłębnie zmysłowe. Słyszac je, nie można było nie myśleć o mężczyźnie i kobiecie w trakcie miłosnego aktu.

Zmagał się z rozporkiem dzinsów, aż wreszcie uwolnił swoją męskość.

- Czuję dotyk twoich włosów - wychrypiał prosto w jej ucho. - Są takie miękkie.

Kolana się pod nią ugięły. Oparła się o krawędź stołu i zsunęła dłonie na biodra Coopera.

- Proszę, Cooper, teraz!

Jeden szybki, pewny ruch i już był głęboko w niej. Przyłgnęli do siebie kurczowo, właśnie tak jak rozbitkowie, którym udało się przeżyć katastrofę- zupełnie jakby ich całe istnienie zależało od tego uścisku. Jedność była warunkiem przetrwania.

Nie dałoby się określić, kto poruszył się pierwszy. Być może uczynili to jednocześnie. Po tym początkowym momencie czystej rozkoszy całkowitego zjednoczenia, Cooper sięgnął jeszcze głębiej, podejmując odwieczny rytm.

Rusty, krzycząc z rozkoszy, odrzuciła głowę do tyłu. Całował na ślepo jej odsłoniętą szyję i przesuwał wargami po piersiach, choć wciąż miała na sobie sweter.

Ale gra miłosna nie była potrzebna. Ten ogień nie wymagał podsycania.

Wkrótce dali się ponieść fali.

- Jesteś bardzo piękna.

Rusty spojrzała na kochanka. Jedną rękę wsunęła pod głowę. Drugą opierała na jego ramieniu. Jej poza była wyzywająca. Chciała, żeby tak było. Nie miała nic przeciwko temu, że jej piersi są całkiem obnażone i rozpustnie zapraszające. Chciała odsłonić je dla niego. Cieszyło ją, że za każdym razem, kiedy spojrzał na nie i na ich sterczące koniuszki, oczy robiły mu się błyszczące.

Może od początku miał rację? Odkąd go poznała, zachowywała się wyjątkowo nieskromnie. Może była rozmyślnie uwodzicielska, bo od samego początku go pragnęła. Pragnęła właśnie tego - tego oszałamiającego nasycenia miłością.

- Naprawdę uważasz, że jestem piękna? - spytała, przegarniając mu palcami włosy i uśmiechając się jak kot, który właśnie wychłęptał śmietankę.

- Wiesz, że tak jest.

- Nie musisz być z tego powodu taki zły.

Wytyczył palcami rowek między jej żebrami aż do pępka.

- Ale jestem. Nie chciałem ulec twoim wdziękom. Przegrałem walkę z własnym pożądaniami.

- Cieszę się, że tak się stało. - Uniosła głowę i lekko pocałowała go w usta.

Potał czubkami palców jej pępek.

- Na razie ja też się cieszę.

Rusty nie chciała żadnych czasowych ograniczeń.

- Dlaczego „na razie”?

Rozebranie się i przygotowanie posłania przed paleniskiem nie zajęło im dużo czasu. Rusty, rozciągnięta nago na stosie futer, z burzą potarganych rudych loków, z wargami różowymi i wilgotnymi od niezliczonych pocałunków, oczami sennymi od miłosnych zmagani, wyglądała jak główna wygrana w potyczce barbarzyńców. Cooper raczej nie miał skłonności do poetyzowania, a z pewnością nie zaraz po seksie, toteż ta myśl wywołała mimowolny uśmiech na jego wargach.

- Nieważne. - Powędrował wzrokiem wzdłuż jej ponętnego ciała.

- Powiedz mi.

- Chodzi o ciebie i o mnie i o to, kim jesteśmy. Ale naprawdę nie chcę o tym teraz rozmawiać.

Pochylił głowę i pocałował sterczące koniuszki piersi. Westchnął z zadowoleniem, czując jednocześnie, że znowu jest gotów.

- Ilu mężczyzn miałas? - Już był zazdrosny.

- Mniej, niż mogłabym policzyć na palcach jednej ręki.

- W ciągu roku?

- W ogóle.

Spojrzał na nią uważnie, wypatrując śladu fałszu w jej oczach. Naprawdę chciał jej uwierzyć, ale nie potrafił.

- Mniej niż pięciu?

- Tak.

- Mniej niż trzech? - Odwróciła głowę. - Tylko jednego? - Przytaknęła. Jego serce zabiło mocno, poczuł coś na kształt szczęścia. Ale tak niewiele o tym wiedział, że nie mógł być pewny. -I nie żyłaś z nim, prawda, Rusty?

- Nie. - Przechyliła głowę i przygryzła dolną wargę, którą leniwie muskał kciukiem.

Magiczny dotyk zgrubiałej poduszeczki składał hołd kobiecemu ciału.

- Dlaczego nie?

- Mojemu ojcu i bratu nie podobałoby się to.

- Czy wszystko, co robisz, musi uzyskać aprobatę twego ojca?

- Tak... nie... to znaczy... Cooper, proszę, przestań. - Nie mogła złapać tchu. - Nie mogę myśleć, kiedy to robisz.

- A więc nie myśl.

- Aleja nie chcę... wiesz... proszę... nie...

Kiedy ostatni lśniący promień światła znikł, otworzyła oczy i napotkała żartobliwy uśmiech Coopera.

- To nie było takie złe, prawda?

Odkryła, że ma akurat tyle energii, by odpowiedzieć mu uśmiechem, wyciągnąć rękę i dotknąć czubkami palców jego wąsów.

- Nie chciałam robić tego tak szybko. Chciałam trochę na ciebie popatrzeć.

- Rozumiem, że to kończy rozmowę o tobie i twoim ojcu. Zmarszczyła brwi.

- To bardzo skomplikowane, Cooper. Ojciec załamał się po śmierci Jeffa. Ja też. Jeff był... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - ..był cudowny. Potrafił robić wszystko. Cooper potarł jej wargi swymi wąsami.

- Nie wszystko - powiedział tajemniczo. - Nie potrafił...

- Pochylił się i wyszeptał, czego Jeff nie mógłby robić z nim. Wulgarnie słowo, którego użył, sprawiło, że twarz Rusty pokryła się szkarłatem aż po linię włosów. Ale nie był to rumieniec oburzenia. - Widzisz? Nie ma powodu, żebyś czuła się gorsza od brata.

Zanim zdołała to rozważyć, zamknął jej usta podniecającym, namiętym pocałunkiem.

- A o co ci chodziło z tym patzeniem na mnie? Brakowało jej tchu. Nabrała powietrza i powiedziała:

- Nie popatrzyłam na to. - Jej oczy, błyszczące jak miedziane monety powędrowały w dół jego klatki piersiowej. Uniosła rękę, zerknęła na niego, zupełnie jakby pytała go o pozwolenie, po czym dotknęła palcami sprężystych włosów.

- No dalej, tchórz. Ja nie gryzę. - Spojrzenie, które mu rzuciła, było aż nadto wymowne. Roześmiał się. - No dobrze. Czasem to robię. Ale nie zawsze. - Pochylił się nad nią i wyszeptał: - Tylko wtedy, kiedy leżę wtulony w najmniejszy jedwab, jaki kiedykolwiek znalazłem między parą ud.

Podczas gdy go dotykała, skubał jej ucho i delikatnie przygryzał skórę na szyi. Kiedy musnęła palcami jego sutek, gwałtownie wciągnął powietrze. Oderwała szybko rękę. Uchwycił ją i przycisnął sobie do piersi.

- To nie było niepokojące ani bolesne - wyjaśnił szorstkim, niskim głosem. - To tak jak połączenie dwóch przewodów pod napięciem. Nie byłem przygotowany na to doznanie. Zrób to jeszcze raz. Wszystko, co chcesz.

Zrobiła to. I jeszcze więcej. Pieściła go, aż miał trudności z oddychaniem.

- Coś jeszcze wymaga twojej uwagi, ale lepiej dajmy spokój

- powiedział, chwytając jej rękę, wędrującą w dół ciała. - Nie, jeśli teraz chcemy zrobić to powoli.

- Pozwól mi się dotknąć.

Takiej prośbie nie potrafił się oprzeć. Zacisnął powieki i znosił jej pełne ciekawości pieszczoty, póki był w stanie nad sobą zapanować. W końcu oderwał jej rękę i pocałował ją żarliwie.

- Moja kolej. - Jedna z jej rąk wciąż spoczywała zgięta pod głową. Piersi wznosiły się, idealne kopyły zwieńczone delikatnymi, różowymi szczytami. Nakrył je dłońmi i ścisnął.

- Za mocno? - spytał, widząc zmianę wyrazu twarzy Rusty.

- Za cudownie - westchnęła.

- Tamtej nocy, kiedy cię pocałowałem... tutaj... - Dotknął miękkiej krzywizny jej piersi.

- Tak?

- Chciałem zostawić ślad.



Jej senne powieki uniosły się gwałtownie.

- Tak? Dlaczego?

- Bo jestem zły, po prostu.

- Nie, nie jesteś. Chcesz tylko, żeby wszyscy myśleli, że tak jest.

- To działa, prawda? Uśmiechnęła się.

- Czasami. Chwilami myślałam, że jesteś bardzo zły. Kiedy indziej wiedziałam, że jesteś pełen bólu i że ta maska pozwala ci się z nim uporać. Mam wrażenie, że to ma związek z twoim pobytem w obozie jenieckim.

- Może.

- Cooper?

- Tak?

- Zostaw kolejny ślad, jeśli tego chcesz.

Rzuciwszy jej szybkie spojrzenie, zawisł nad nią i całował namiętnie jej usta, podczas gdy dłońmi cały czas masował jej piersi. Muskał jej wilgotne, nabrzmiące wargi węsami, a następnie przesunął je w dół jej szyi, skubiąc ją lekko zębami. Pocałunkami wytyczał drogę przez obojczyk w dół, aż dotarł do wzniesienia piersi.

- Jestem odpowiedzialny za siniaki na twojej pupie. I za ten ślad namiętności. Myślę, że w jakiś prymitywny sposób chciałem cię zaznaczyć jako swoją własność. Już nie muszę tego robić - powiedział, łaskocząc wargami jej skórę. - Należysz do mnie. W każdym razie teraz.

Rusty chciała powiedzieć mu, że będzie należeć do niego, jak długo on będzie tego chciał, ale wargi wędrujące po jej ciele wymiotły z jej głowy wszelkie sensowne myśli. Wycałował każdy centymetr jej piersi, omijając brodawki. Potem lizał je gwałtownie, jak łakome dziecko liże szybko topniejący lodowy rożek. Kiedy Rusty doszła do wniosku, że już dłużej tego nie znieśie, wczepiła się rękami w jego włosy i przyciągnęła jego głowę do jednego z bolących, sztywnych wzgórków.

Muskał je językiem lekko i umiejętnie. Węsami łaskotał ją i drażnił. Kiedy ujął wargami sutek i otoczył go palącym kręgiem, zawołała jego imię.

- Och, dziecinko, jesteś cudowna. - Jego wargi były zachłanne, ale delikatne.

- Cooper?

- Tak? - Cooper?

- Tak?

- Cooper? - Złapała go palcami za uszy i przyciągnęła jego głowę do swojej twarzy. -

Dlaczego to zrobiłeś?

- Co?

Unikał jej wzroku, wpatrując się w jakiś punkt za jej głową.

- Wiesz, co. - Zwilżyła wargi. - Dlaczego się... wycofałeś... przed... ?

Czuła lęk i rozczarowanie, tak samo jak poprzednio, kiedy w ostatnim możliwym ułamku sekundy pozbawił ją najwyższej rozkoszy, uczucia tego, jak w niej wybucha.

Znieruchomiał. Obawiała się, że go rozzłościła i że Cooper zerwie się z postania. Po długiej chwili ponownie spojrzął jej w oczy.

- Domyślam się, że jestem ci winien wyjaśnienie? - Milczała. Z westchnieniem wypowiedział jej imię. - Może zostaniemy tu na długo. Chyba żadne z nas nie chce ani nie potrzebuje jeszcze jednej gęby do wykarmienia.

- Mówisz o dziecku? - szepnęła oszołomiona. Myśl o dziecku wcale nie wzbudziła w niej zgrozy. Przeciwnie, jej wargi ułożyły się w uśmiech. - Nie pomyślałam o tym.

- A ja tak. Oboje jesteśmy młodzi i zdrowi. Wiem, że nie używasz pigułek, bo wiem, co przynieśliśmy ze sobą do chaty. Nie myślę się, prawda?

- Tak - przyznała nieśmiało.

- Ja także nie wziąłem nic do pensjonatu myśliwskiego.

- Ale prawdopodobnie by do tego nie doszło.
- Nigdy nie można być pewnym. Nie chcę ryzykować. A więc...
- Ale gdyby tak się stało - przerwała podniecona - znaleziono by nas przed urodzeniem dziecka.
- Być może, ale...

Nawet gdyby tak się nie stało, to ja byłabym odpowiedzialna za wykarmienie go.

Cooper zacisnął usta w dobrze jej znany sposób.

Właśnie o to chodzi - powiedział po chwili, przywierając wargami do jej piersi. - Nie mogę znieść myśli o dzieleniu się tobą z kimkolwiek. Ale...

Przykro mi. Właśnie tak musi być. Chciała się spierać, ale Cooper sprawił, że oboje zatopili się w ekstazie, zanim Rusty zorientowała się, że ponownie wycofał się w ostatnim momencie. Kochali się przez cały dzień, aż do wieczora. Wreszcie, całkiem wyczerpani, otulili się futrami, wtulili w siebie i zasnęli.

Tylko niespodziewany szum łopatek śmigłowca mógł zakłócić ich sen.

## **Rozdział 10**

*Nie dotrze do tego śmigłowca. Wiedział o tym. Za każdym razem tak było. Ale biegł i tak. Zawsze tak robił. Gałęzie drzew zagrażały mu drogę. Przedzierał się przez nie w kierunku polany. Biegł tak szybko, że płuca paliły go żywym ogniem. Jego własny oddech świszczął mu w uszach.*

*Mimo to słyszał obracające się łopatki śmigłowca. Blisko. Tak blisko. Wyraźnie.*

*Tym razem musi mi się udać, pomyślał. Musi mi się udać albo znów trafię do niewoli!*

*Ale wiedział, że mu się nie uda. Mimo to wciąż biegł. Biegł. Biegł...*

Cooper usiadł na posłaniu, cały zdyszany i zlany potem, jak zawsze, kiedy nawiedzał go ten koszmar. Boże, tym razem to było aż nadto realne. Szum łopatek śmigłowca wydawał się...

Nagle uświadomił sobie, że wciąż go słyszy. Czy aby na pewno nie śni? Nie! Obok leżała Rusty, śpiąc spokojnie przy jego boku. To nie Wietnam, tylko Kanada. I, na Boga, słyszał śmigłowiec!

Zerwał się z posłania i biegiem przemierzył zimną podłogę chaty. Od tamtego dnia, kiedy stracili okazję przyciągnięcia uwagi samolotu ratowniczego, pistolet sygnalizacyjny trzymali na półce przy drzwiach. Teraz Cooper chwycił go w prawą dłoń i wypadł na zewnątrz. Przebiegł przez ganek i zeskoczył na ziemię.

Przysłaniając oczy lewą ręką, obserwował niebo. Słońce świeciło jasno tuż nad koronami drzew. Od jego blasku oczy zaszczyły mu łzami. Nie widział tego przeklętego śmigłowca. Mieli tylko sześć flar. Nie wolno mu było ich zmarnować. Każda z nich mogła okazać się tą najważniejszą. Wciąż jednak słyszał ten charakterystyczny dźwięk. Zadziałał więc instynktownie i wystrzelił dwie flary.

- Cooper, czy to...

- Śmigłowiec.

Rusty wybiegła na ganek i rzuciła Cooperowi parę dzinsów. Przebudziła się wkrótce po nim, intuicyjnie wyczuwając, że kochanek nie leży już obok niej. A usłyszawszy dziwny dźwięk, pospiesznie naciągnęła poszarpane spodnie i gruby sweter. Teraz ona też przysłoniła oczy i przebiegała wzrokiem niebo.

- Musiał dostrzec flary! - zawołał podniecony Cooper. - Wraca.

- Nie widzę go. Skąd wiesz?

- Rozpoznaję dźwięk.

Najwyraźniej tak było. W ciągu kilku sekund śmigłowiec przeleciał nad szczytami drzew i zawisł nad chatą. Cooper i Rusty zaczęły machać rękami i wołać, choć było oczywiste, że dwaj mężczyźni w maszynie już ich dostrzegli. Rozbitkowie widzieli nawet ich szerokie uśmiechy przez falujące powietrze.

- Widzą nas! Och, Cooper, Cooper!

Rusty rzuciła się ku niemu. Zamknął ją w gwałtownym, niedźwiedzim uścisku, uniósł do góry i okręcił wokół siebie.

- Udało nam się, dziecinko, udało nam się!

Polana otaczająca chatę była wystarczająco duża na lądowisko dla śmigłowca. Kiedy osiadł na ziemi, Rusty i Cooper pobiegli ku niemu, trzymając się za ręce. Rusty nie zważała na rwanie w nodze. Pilot siedzący po prawej rozpiął pas bezpieczeństwa i wysiadł. Schylając się pod obracającymi się łopatkami, pobiegł im naprzeciw.

- Panna Carlson? - Jego południowy akcent był jak syrop z kukurydzy. Rusty skinęła głową, nagle onieśmielona i niezdolna wymówić słowa.

- Cooper Landry - przedstawił się Cooper, wyciągając rękę i potrząsając dłonią pilota w serdecznym uścisku. - Diabelnie się cieszymy na wasz widok, chłopcy.

- My też. Pan Carlson nas wynajął. Uznał, że władze działają zbyt opieszale.

- Cały ojciec! - zawołała Rusty, przekrzykując ryk łopatek.

- Tylko wy się uratowaliście? - Ponuro skinęli głowami. - Cóż, jeśli nie macie ochoty tkwić tu dłużej, zabierzemy was do domu. Ojciec z pewnością ucieszy się na pani widok.

Wspomniawszy o ojcu młodej kobiety, sympatyczny pilot zerknął niespokojnie na Coopera. Zauważył jego nie dopięte dżinsy. Najwyraźniej zostały naciągnięte w pośpiechu i widać było, że mężczyzna nic pod nimi nie miał. Rusty wyglądała jak kobieta, która kochała się z zapalem przez całą noc. Pilot szybko zorientował się w sytuacji. Nie trzeba mu było niczego wyjaśniać.

Rozbitkowie wrócili do chaty tylko na chwilę, żeby się porządnie ubrać. Cooper zabrał swoją kosztowną strzelbę myśliwską. Poza nią nie wzięli niczego. Przechodząc przez drzwi po raz ostatni, Rusty jeszcze raz obrzuciła zamyślnym wzrokiem wnętrze chaty. Początkowo nienawidziła tego miejsca. Teraz, kiedy je opuszczała, czuła dziwny smutek.

Cooper nie podzielał jej uczuć. On i pilot śmiali się i żartowali, odkrywszy, że brali udział w tej samej wojnie i okresy ich służby pokrywały się. Rusty musiała biec, żeby ich dogonić. Kiedy ich wreszcie dopędziła, Cooper przerzucił rękę przez jej ramię i uśmiechnął się do niej. Udało im się. Całkiem dobrze. A może nawet lepiej niż dobrze.

- Mam na imię Mikę - przedstawił się pilot, pomagając im ulokować się na miejscach.

- A to mój brat bliźniak, Pat. - Drugi pilot przywitał się z nimi.

- Pat i Mikę? - zawołał Cooper. - Chyba żartujecie? Wszystkim wydało się to niesłychanie zabawne i śmiali się bez opamiętania, kiedy śmigłowiec oderwał się od ziemi i musnął czubki drzew, zanim osiągnął odpowiednią wysokość.

- Miejsce wypadku zostało przed paroma dniami ustalone przez samolot ratunkowy! - zawołał do nich Mikę i wskazał coś ręką.

Rusty popatrzyła w dół. Była zaskoczona, że przemierzyli taki szmat drogi pieszo, zwłaszcza że Cooper niemal cały czas ciągnął ją na własnoręcznie skleconym toboganie. Gdyby nie on, nie udałoby jej się przeżyć. Co by się z nią stało, gdyby zginął w katastrofie? Przejęta nagłym dreszczem, oparła głowę na ramieniu kochanka. Objął ją i przyciągnął do siebie. Zacisnęła dłoń na wewnętrznej stronie jego uda w podświadomym geście zaufania.

- Pozostała szóstka zginęła od razu - powiedział Cooper pilotom. - Rusty i ja siedzieliśmy w ostatnim rzędzie. Pewnie dlatego udało nam się przeżyć.

- Kiedy było już wiadomo, że samolot nie splonął, pan Carlson zaczął nalegać na podjęcie poszukiwań rozbitków - wyjaśnił Mikę. - Wynajął mojego brata i mnie. Jesteśmy z Atlanty. Specjalizujemy się w akcjach ratunkowych. - Oparł łokieć o zagłówek siedzenia i odwrócił się do pasażerów. - Jak to się stało, że trafiliście do chaty?

Cooper i Rusty wymienili niespokojne spojrzenia.

- Wyjaśnimy tę sprawę później, jeśli nie macie nic przeciwko temu - odezwał się w końcu Cooper.

Mikę skinął głową.

- Poinformuję przez radio, że was znaleźliśmy. Szuka was mnóstwo ludzi. Ta paskudna pogoda naprawdę utrudniała poszukiwania. Przykro mi, panno Carlson.

- W porządku.

- Byliśmy uziemieni aż do wczoraj, kiedy pogoda się poprawiła. Wyruszyliśmy, ale wróciliśmy z niczym, więc dziś wystartowaliśmy z samego rana.

- Dokąd nas zabieracie? - spytał Cooper.

- Do Yellowknife.

- Czy jest tam mój ojciec? Mikę pokręcił przecząco głową.

- Jest w Los Angeles. Domyślam się, że zanim dzień dobiegnie końca, postawi wszystkich na nogi z okazji pani powrotu.

To była dobra wiadomość. Rusty nie potrafiła powiedzieć dlaczego, ale nie miała ochoty opowiadać ojcu szczegółów minionego koszmaru. Świadomość, że spotkanie z nim nie nastąpi natychmiast, sprawiła jej ulgę - być może z powodu wydarzeń ostatniej nocy. Nie miała do tej pory czasu przemyśleć tego, co się stało.

Ich odnalezienie w jakimś sensie zakłóciło porządek rzeczy. Była zadowolona, naturalnie. Ale przez jakiś czas chciała być sama ze swoimi myślami. Chciała, żeby rozpraszał ją wyłącznie Cooper. Znowu ogarnęła ją nietypowa dla niej nieśmiałość. Przytuliła się do kochanka.

Wydawał się czytać w jej myślach. Uniósł jej twarz do góry i spojrzał na nią uważnie. Pochyliwszy głowę, pocałował Rusty mocno w usta, a potem przycisnął jej głowę do piersi. Delikatnie zagarnął jej włosy w dłoń. Jego gesty były opiekuńcze i władcze zarazem.

Pozostali przytuleni do końca lotu. Piloci nie próbowali nawiązywać z nimi rozmowy, obaj uszanowali ich potrzebę prywatności. Pytania dotyczące przeżyć mogły poczekać.

- Przyciągnęliście niezły tłum. - Mikę zerknął na nich przez ramię i wskazał głową ziemię. Właśnie zbliżali się do lotniska, małego w porównaniu z lotniskami w metropoliach, ale wystarczająco dużego, by mógł na nim wylądować odrzutowiec.

Na lotnisku roiło się od ludzi. Kłębiący się tłum nie respektował znaków zakazu rozstawionych na płycie. Na całym obszarze zaparkowano furgonetki oznaczone jako przenośne nadawcze stacje telewizyjne. W tej oddalonej części Terytoriów Północno-Zachodnich o takich cudach techniki pewnie dotychczas nie słyszano.

Cooper zaklął pod nosem.

- Czyja to sprawa, do diabła?

- Katastrofa samolotu to wydarzenie. - Mikę uśmiechnął się przeproszająco. - Ocaleliście tylko wy. Nietrudno się domyślić, że każdy chce usłyszeć, co macie do powiedzenia.

Jak tylko Pat posadził śmigłowiec na płycie, tłum reporterów rzucił się do przodu, przewracając prowizoryczne barierki. Policjanci usiłowali nie dopuścić ich bliżej. Na powitanie rozbitków wybiegło kilku notabli.

Mikę wyskoczył na beton i pomógł wsiąść Rusty. Przypadła trwożliwie do boku śmigłowca, czekając, aż Cooper znajdzie się obok niej. Podziękowawszy serdecznie bliźniakom z Georgii, oboje ruszyli do przodu, trzymając się mocno za ręce.

Mężczyźni, którzy wybiegli im naprzeciw, okazali się przedstawicielami Kanadyjskich Linii Lotniczych i Agencji Transportu Narodowego Stanów Zjednoczonych. Agencja wzięła udział w dochodzeniu powypadkowym, ponieważ wszyscy pasażerowie byli Amerykanami.

Urzednicy oficjalnie powitali Coopera i Rusty w cywilizowanym świecie i przeprowadzili ich obok uwijającej się, wrzeszczącej chmary reporterów, których zachowanie dalekie było od cywilizowanego i którzy zasypali ich gradem pytań wyrzucanych z szybkością kul z karabinu maszynowego.

Oszołomionych rozbitków wprowadzono do budynku wejściem dla personelu, poprowadzono korytarzem, a następnie do pomieszczeń biurowych, które tymczasem przeznaczono na ich użytek.

- Pani ojciec został już powiadomiony, panno Carlson.
- Bardzo dziękuję.
- Był uszczęśliwiony na wieść, że nic się pani nie stało - powiedział uśmiechnięty urzędnik. - Panie Landry, czy mamy kogoś zawiadomić o pańskim powrocie?
- Nie.

Rusty już wcześniej odwróciła się do niego, ciekawa odpowiedzi. Nigdy nie wspominał o rodzinie, założyła więc, że jej nie ma. To, że nikt nie czeka na powrót Coopera, wydało jej się przerażająco smutne. Bardzo chciała wyciągnąć rękę i pogłodzić go po policzku. Ale wciąż otaczała ich grupa urzędników.

Jeden z nich właśnie wysunął się do przodu.

- Jak rozumiem, tylko wy dwoje przeżyliście katastrofę.
- Tak. Wszyscy pozostali zginęli na miejscu.
- Zawiadomiliśmy już ich rodziny. Parę osób czeka na zewnątrz. Chcą z wami porozmawiać. - Twarz Rusty zrobiła się tak biała jak knykcie palców, wciąż splecionych z palcami Coopera.
- Ale to może poczekać - dorzucił pospiesznie mężczyzna, wyczuwając jej niepokój. - Czy możecie dać nam jakąś wskazówkę co do przyczyny wypadku?
- Nie jestem pilotem - odparł krótko Cooper. - Z pewnością jednym z powodów mogła być burza. Piloci zrobili wszystko, co było w ich mocy.
- Nie uważa pan więc, że do wypadku doszło z ich winy?

- dociekał mężczyzna.

- Czy mogłabym poprosić o szklankę wody? - spytała cicho Rusty.

- I o coś do jedzenia - dodał Cooper. - Rano nic nie zjedliśmy. Nie piliśmy nawet kawy.

- Naturalnie, w tej chwili. - Pospiesznie wysłano kogoś, by zamówił dla nich śniadanie.

- Byłoby dobrze, gdyby wezwano odpowiednie władze. Muszę złożyć raport o śmierci dwóch mężczyzn.
- Jakich dwóch mężczyzn?
- Tych, których zabiłem. - Zebrani zamarli. Cooper natychmiast znalazł się w centrum uwagi. - Jestem pewien, że kogoś należy o tym poinformować. Co z tą kawą? - W jego głosie wyczuwało się władczość i niecierpliwość. To zabawne, jak pobudził wszystkich do działania. Przez następną godzinę urzędnicy kręcili się jak w ukropie.

Przyniesiono im na tacach solidne śniadania składające się ze steków i jaj. Rusty najbardziej ucieszył sok ze świeżych pomarańcz. Wprost nie mogła się nim nasycić. Podczas jedzenia odpowiadali na nie kończące się pytania. Sprowadzono Pata i Mike'a, którzy potwierdzili położenie chaty w stosunku do miejsca katastrofy. Ponieważ utrzymywała się sprzyjająca pogoda, wysłano ekipę, która miała zbadać wrak i ekshumować ciała ludzi pochowanych przez Coopera.

W czasie całego tego zamieszania w dłoń Rusty wciśnięto słuchawkę telefoniczną. Głos ojca zagrział jej wprost do ucha.

- Rusty, dzięki Bogu. Nic ci nie jest?

Łzy wypełniły jej oczy. Przez chwilę nie mogła mówić.

- U mnie wszystko w porządku. W porządku! Z nogą jest o wiele lepiej.
- Z nogą! Co ci się stało w nogę? Nic mi nie mówiono o twojej nodze.

Objasniła to najlepiej, jak potrafiła, krótkimi urywanymi zdaniami.

- Ale wszystko jest już dobrze, naprawdę.

- Nie wierzę ci. O nic się nie martw. Wszystkim się zajmę. Dziś wieczorem przywiozą cię do Los Angeles. Będę na lotnisku, żeby cię powitać. To cud, że udało ci się przeżyć.

Zerknęła na Coopera i powiedziała cicho:

- To prawda, cud.

Około południa zabrano ich do motelu po drugiej stronie ulicy i przydzielono im pokoje, w których mogli wziąć prysznic i przebrać się w ubrania dostarczone przez władze Kanady. Przy drzwiach do swego pokoju Rusty niechętnie oderwała się od Coopera. Nie mogła pogodzić się z tym, że kochanek zniknie jej z oczu, nawet na krótko. Czuła się przeraźliwie wyobcowana. Nic z tego, co siedziało, nie wydawało się jej realne. Rzeczy i ludzie napływali w jej kierunku jak zniekształcone obrazy ze snu. Miała trudności z wyrażaniem myśli. Wszystko było takie dalekie, nieprawdziwe - z wyjątkiem Coopera. Tylko on był rzeczywisty. Cooper również nie sprawiał wrażenia zadowolonego z takiego obrotu spraw, ale nie byłoby właściwe, gdyby dzielili pokój w motelu. Ścisnął jej rękę i powiedział:

- Będę tuż obok.

Popatrzył, jak Rusty wchodzi do pokoju i zamyka drzwi na klucz, po czym wszedł do swojego. W środku rzucił się na jedyne krzesło i zakrył twarz rękami.

- I co teraz? - spytał czterech ścian.

Gdyby powstrzymał się jeszcze przez jedną noc. Gdyby ona wczoraj rano po śniadaniu nie zadała mu tamtego pytania. Gdyby nie była tak pociągająca. Gdyby nie lecieli tym samym samolotem. Gdyby samolot się nie rozbił. Gdyby przeżył ktoś jeszcze i nie byli sami.

Mógł wymienić tysiące takich „gdyby”, a i tak pozostawało faktem, że kochali się przez cały wczorajszy dzień i ostatnią noc aż do świtu.

Nie żałował tego - nawet najmniejszego ułamka sekundy.

Nie miał jednak pojęcia, co, do diabła, robić teraz. Uczciwie biorąc, powinien udawać, że nic się nie wydarzyło, nie zważając na namiętność wyzierającą z oczu Rusty. Rzecz w tym, że nie potrafił ignorować jej spojrzeń.

Nie mógł też brutalnie odepchnąć jej od siebie. Reguły, które ustalili w chacie, wciąż obowiązywały. Rusty jeszcze nie dostosowała się do nowej sytuacji. Była niespokojna. Nie tak dawno doznała szoku. Nie mógł narażać jej na następny. Nie była taka twarda jak on; należało postępować z nią delikatnie i taktownie. Uważał, że Rusty zasługuje na względy, zwłaszcza po tych trudnych chwilach, które jej zafundował.

Oczywiście pogodził się z myślą, że to on będzie musiał odejść. Wolałby, żeby zrobiła to pierwsza. Nie czułby się wówczas odpowiedzialny za jej zranione uczucia.

Ale, do licha, ona tego nie zrobi. A on nie potrafił się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz. Nie, dopóki ich rozstanie nie będzie absolutnie konieczne. Choć zdawał sobie sprawę, że to nieroztropne, postanowił, że do tego czasu będzie jej Lancelotem, jej obrońcą i kochankiem.

Do licha, podobała mu się ta rola.

Szkoda tylko, że to chwilowe zajęcie.

Gorący prysznic był wspaniały i zdołał ożywić zarówno jej ciało, jak i umysł. Dwukrotnie wyszorowała głowę szamponem i wycierała włosy tak długo, aż zaczęły lśnić. Kiedy wyszła z wanny, czuła się prawie normalnie.

Ale nie do końca. Przed katastrofą nie zwróciłaby uwagi na to, jak miękkie są ręczniki w motelu. Uznałaby miękkie ręczniki za coś niezwyklejszego pod słońcem. Zmieniła się również pod innymi względami. Kiedy oparła stopę na brzegu wanny, w oczy rzuciła jej się brzydka, poszarpana blizna biegnąca wzdłuż goleni. Miała też inne blizny. Głębsze. Były na stałe wryte w jej duszy. Rusty Carlson już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Ubranie, które dostała, było niezbyt drogie i za duże, ale dzięki niemu poczuła się znów jak człowiek, ściślej mówiąc, jak kobieta. Pantofle były w sam raz, ale czuła się w nich

nieprzyjemnie lekko. Po raz pierwszy od wielu dni miała na nogach coś innego niż wysokie buty. Prawie tydzień w pensjonacie myśliwskim i niemal dwa od katastrofy.

Dwa tygodnie? Naprawdę minęło tylko tyle czasu?

Kiedy wyszła z pokoju, Cooper już czekał na nią przed drzwiami. Zdążył wziąć prysznic i ogolić się. Starannie zaczesane włosy były jeszcze wilgotne. Nowe ubranie wyglądało dziwnie nie na miejscu na jego muskularnym ciele.

Zbliżyli się do siebie ostrożnie, nieśmiało, niemal przepraszająco. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, załśniła w nich świadomość wspólnie przeżytych chwil. I coś jeszcze.

- Jesteś jakiś inny - szepnęła Rusty.

Potrząsnął głową.

- Nie, nie jestem. Może wyglądam inaczej, ale nie zmieniłem się.

Wziął ją za rękę i odciągnął na bok, rzucając ludziom, którzy natychmiast zaczęli się tłoczyć wokół nich, ostrzegawcze spojrzenie. Odezwał się dopiero wtedy, gdy odeszli na tyle daleko, żeby ich nie słyszano.

- W całym tym zamieszaniu nie miałem okazji powiedzieć ci czegoś.

Czysty, pachnący mydłem, kremem do golenia i miętową pastą do zębów, był bardzo przystojny. Rusty prześliznęła się po nim wzrokiem, niezdolna przyswoić sobie tego nowego Coopera.

- Co takiego? Pochylił się ku niej.

- Uwielbiam, kiedy twój język muska mój pępek. Zaskoczona Rusty gwałtownie zaczerpnęła tchu. Zerknęła

pospiesznie w kierunku grupki stłoczonej w bezpiecznej odległości. Wszyscy przyglądali im się badawczo.

- Zachowujesz się skandalicznie.

- I guzik mnie to obchodzi. - Przynurzył się jeszcze bliżej. - Dajmy im do myślenia.

Namiętnie ją pocałował. Wziął, czego chciał, i dał więcej, niż odważyłaby się prosić. I nie spieszył się. Językiem penetrował wnętrze jej ust powoli i rozkosznie w zmysłowym rytmie.

Kiedy wreszcie się odsunął, mruknął:

- Chcę tak całować cię całą, ale - zerknął w kierunku zaskoczonych obserwatorów - to będzie musiało poczekać.

Zawieziono ich z powrotem na lotnisko, Rusty jednak nie pamiętała momentu opuszczenia motelu.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Przyniesiono im kolejny posiłek. Rusty zamówiła olbrzymią porcję sałatki szefa. Tęskniła za zimnymi, chrupiącymi, świeżymi warzywami, okazało się jednak, że jest w stanie zjeść najwyżej połowę.

Nie miała apetytu. Zaledwie parę godzin wcześniej zjadła śniadanie, a co ważniejsze, denerwowała się przesłuchaniem, któremu poddano ją i Coopera w związku ze śmiercią Quinna i Reubena Gawryłowów.

Przybył protokolant sądowy, który miał spisać zeznanie. Cooper opowiedział, w jaki sposób doszło do spotkania z mieszkańcami chaty, jak Gawryłowowie udzielili im schronienia, obiecali ratunek, a potem zaatakowali.

- Nasze życie znalazło się w niebezpieczeństwie - wyjaśnił. - Nie miałem wyboru.

Działalem w obronie koniecznej.

Rusty, która śledziła uważnie reakcję policjantów, uznała, że nie są przekonani. Szeptali coś między sobą i rzucali podejrzliwe spojrzenia na Coopera. Zaczęli wypytywać go o służbę w Wietnamie i najbardziej zainteresował ich fakt, że był jeńcem wojennym. W końcu poproszono go o zrelacjonowanie wydarzeń prowadzących do ucieczki z obozu jenieckiego. Odmówił, twierdząc, że nie ma to nic wspólnego z obecną sprawą.

- Ale był pan zmuszony...

- Zabijać? - spytał Cooper z bezwzględną otwartością. -Tak. Próbując się stamtąd wydostać, zabiłem wiele osób. I zrobiłbym to ponownie.

Nastąpiła wymiana znaczących spojrzeń. Ktoś zakaszłał z zakłopotaniem.

- Pan Landry pomija istotny szczegół - odezwała się nagle Rusty. Wszystkie oczy skierowały się na nią.

- Rusty, nie! - zaprotestował natychmiast Cooper. - Nie musisz tego robić.

W odpowiedzi popatrzyła na niego z determinacją.

- Muszę. Próbujesz mnie oszczędzić. Doceniam to. Ale nie mogę pozwolić, by wszyscy myśleli, że zabiłeś tych dwóch mężczyzn bez wystarczającego motywu. - Spojrzała na swoich słuchaczy. - Oni, Gawryłowowie, zamierzali zabić Coopera, a mnie... zatrzymać.

Na twarzach osób otaczających stół, przy którym posadzono ją i Coopera, pojawiło się zdumienie.

- Skąd pani to wie, panno Carlson?

- Po prostu wie, w porządku? - wtrącił zirytowany Cooper. - Mnie możecie podejrzewać o kłamstwo, ale nie macie powodu sądzić, że ona kłamie.

Rusty położyła dłoń na rękę Coopera w uspokajającym geście.

- Starszy z nich, Quinn, zaatakował mnie. - W prostych słowach opowiedziała, jak Gawryłow zachowywał się tamtego ranka w chacie. - Noga wciąż bardzo mi dokuczała. Byłam całkiem bezbronna. Cooper wrócił w samą porę, by nie dopuścić do gwałtu. Gawryłow sięgnął po pistolet. Gdyby Cooper nie zadziałał odpowiednio szybko i w jedyny możliwy sposób, zginąłby. A ja byłabym w tej chwili na łasce i niełasce tego człowieka.

Wymienili długie, pełne zrozumienia spojrzenie. Nigdy rozmyślnie nie prowokowała żadnego z tych odludków. Wiedział o tym przez cały czas. Milcząco poprosił ją o wybaczenie swych słów, a ona milcząco poprosiła go, by wybaczył jej, że kiedykolwiek się go bała.

Cooper położył otwartą dłoń na czubku jej głowy i przyciągnął do swojej piersi. Nie zwracając uwagi na obecnych, obejmowali się mocno, kołysząc lekko w przód i w tył.

Pół godziny później Coopera uwolniono od odpowiedzialności za śmierć obu Gawryłowów. Czekali jeszcze spotkanie z rodzinami ofiar. Do pokoju wprowadzono szlochających, zrozpaczonych ludzi. Rusty i Cooper rozmawiali z nimi blisko godzinę i udzielili im wszelkich możliwych informacji. Pograżeni w żałobie znaleźli pociechę w tym, że ich bliscy nie cierpieli przed śmiercią. Ze łzami w oczach dziękowali rozbitkom. Spotkanie było wzruszającym przeżyciem dla obu stron.

Konferencja prasowa z udziałem przedstawicieli mediów przebiegała w zupełnie innej atmosferze. Kiedy Rusty i Coopera wprowadzono do dużego pomieszczenia, powitał ich podekscytowany tłum. Chmura dymu papierosowego przesłaniała sufit.

Usadzeni za stołem wyposażonym w mikrofony, odpowiadali na liczne pytania tak szczegółowo, a jednocześnie zwięźle, jak to było możliwe. Niektóre pytania były głupie, inne inteligentne, a część boleśnie osobista. Kiedy któryś z nietaktownych reporterów spytał, jakie to uczucie mieszkać w jednej izbie z nieznanym, Cooper odwrócił się do jednego z przedstawicieli władz i powiedział:

- Dość tego. Zabierzcie stąd Rusty.

Ponieważ urzędnik nie zareagował wystarczająco szybko, Cooper, wzięwszy na siebie wyprowadzenie Rusty z konferencji prasowej, która przerodziła się w karnawałową zabawę, wsunął rękę pod jej ramię i pomógł wstać z krzesła. Gdy zmierzali ku wyjściu, jakiś mężczyzna popędził za nimi i machnął przed nosem Coopera swoją wizytówką. Wynikało z niej, że jest reporterem magazynu ilustrowanego. Mężczyzna zaproponował olbrzymią sumę pieniędzy za wyłączne prawa do ich historii.

- Jeśli to za mało -wyjąkał pospiesznie, kiedy Cooper przeszył go wzrokiem pełnym jawnej wrogości - podniesiemy stawkę. Przypuszczam, że nie robiliście zdjęć, ale może się mylę?



Cooper z groźnym pomrukiem odepchnął reportera na bok i powiedział mu, co może zrobić ze swoim magazynem, przy czym posłużył się nader obrazowymi słowami.

Zanim dotarli do samolotu rejsowego do Los Angeles, Rusty była tak wyczerpana, że ledwie szła. Noga znów jej dokuczwała. Cooper musiał wnieść ją na pokład. Ulokował ją w pierwszej klasie na miejscu przy oknie, zapiął jej pas, a sam zajął miejsce obok niej. Poprosił też stewardesę, żeby szybko przyniosła kieliszek brandy.

- A ty nie pijesz? - spytała Rusty po paru rozgrzewających, wzmacniających łykach.

Pokręcił przecząco głową.

- Obiecałem sobie, że na jakiś czas powstrzymam się od picia. - Kącik warg wygiął mu się w lekkim uśmiechu.

- Jest pan bardzo przystojny, panie Landry - zauważyła cicho, przypatrując mu się bacznie, zupełnie jakby widziała go po raz pierwszy.

Wyjął kieliszek z jej bezwolnych palców.

- Oto skutki picia.

- Naprawdę jesteś przystojny. - Uniosła rękę i dotknęła jego włosów. Prześliznęły się jedwabście przez jej palce.

- Cieszę się, że tak uważasz.

- Kolacja. Panno Carlson, panie Landry?

Z zaskoczeniem uświadomili sobie, że samolot jest już w powietrzu. Zajęci sobą nie zauważyli momentu startu. Co miało niezaprzeczone zalety. Lot śmigłowcem nie był jeszcze taki zły, bo Rusty nie miała czasu, by go wyczekiwać. Ale myśl o locie do Los Angeles budziła w niej niepokój rosnący w miarę upływu godzin. W najlepszym razie będzie musiało minąć trochę czasu, zanim znów będzie czuła się w samolocie jak dawniej.

- Kolacja, Rusty? - spytał Cooper. Kiedy pokręciła przecząco głową, zwrócił się do stewardesy: - Nie, dziękujemy. Dziś nakarmiono nas już kilka razy.

- Proszę zadzwonić, jeśli będą państwo czegoś potrzebowali - powiedziała. Byli jedynymi pasażerami w pierwszej klasie. Gdy stewardesa odeszła, zostali sami po raz pierwszy od momentu, gdy ich odnaleziono.

- Wiesz, to zabawne - zauważyła Rusty z zadumą - byliśmy tylko we dwoje tak długo, że sądziłam, iż z zadowoleniem przyjmę odmianę. Myślałam, że brak mi innych ludzi - pogładziła palcami kieszeń jego koszuli - ale dziś nienawidziłam tych tłumów. Całego tego popychania i przepychania. I za każdym razem, jak tylko traciłam cię z oczu, wpadałam w panikę.

- To naturalne - szepnął, wsuwając jej kosmyk włosów za ucho. - Tak długo byłaś zależna ode mnie, że przyzwyczaiłaś się i tyle. To minie.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego.

- Naprawdę, Cooper?

- Anie?

- Nie jestem pewna, czy tego chcę.

Wyszeptał jej imię, po czym dotknął wargami jej ust. Pocałował ją żarliwie, tak jakby była to jego ostatnia szansa. W tym pocałunku czaiła się desperacja, która nie znikła nawet wówczas, kiedy Rusty objęła go za szyję i ukryła twarz w zagłębieniu ramienia.

- Uratowałeś mi życie. Czy ci podziękowałam? Czy mówiłam ci, że umarłabym, gdyby nie ty?

Cooper gorąckowo całował jej szyję, uszy, włosy.

- Nie musisz mi dziękować. Chciałem cię chronić, troszczyć się o ciebie.

- I robiłeś to. Dobrze. Bardzo dobrze. - Pocałowali się znów, ale w końcu zmuszeni byli oderwać się od siebie dla zaczerpnięcia tchu. - Dotknij moich piersi.

Śledził łakomym wzrokiem jej wargi szepczące te słowa. Wciąż lśniły po pocałunku.

- Tu? Teraz? Szybko kiwnęła głową.

- Proszę, Cooper. Boję się. Muszę poczuć, że tu jesteś. Rozpiął jej kurtkę, dar rządu kanadyjskiego, i wsunął dłoń do środka. Nakrył jej pierś. Była ciepła i pełna. Dotknął policzkiem jej policzka i szepnął:

- Twoja brodawka jest już sztywna.
- Mmm.

Pocierał twarde, maleńki pączek przez sweter.

- Nie wydajesz się zaskoczona.
- Bo nie jestem.
- Zawsze są takie? Gdzie byłaś, jak miałem czternaście lat? Zaśmiała się cicho.
- Nie, nie zawsze są takie. Myślałam o ostatniej nocy.
- Ostatnia noc trwała całe życie. Bądź bardziej precyzyjna.
- Pamiętasz, kiedy... - wyszeptała namiętnie.
- O Boże, tak -jęknął - ale nie mów o tym teraz.
- Czemu?
- Jeśli nie przestaniesz, będziesz musiała usiąść mi na kolanach.
- Żeby zakryć to? - Dotknęła go.

- Nie, Rusty - powiedział przez zaciśnięte zęby. A kiedy wyjaśnił jej, co mogliby robić, gdyby usiadła mu na kolanach, pospiesznie cofnęła rękę.

- Myślę, że to nie byłoby właściwe. Skoro już przy tym jesteśmy, również to, co robisz teraz, jest niewłaściwe. Lepiej przestań. - Wysunął rękę spod jej kurtki. Teraz obie sutki rysowały się wyraźnie pod swetrem. Patrzyli na siebie z żalem. - Szkoda, że byliśmy tacy uparci. Szkoda, że nie zaczęliśmy się kochać wcześniej.

Westchnął głęboko.

- Ja też o tym myślałem. Szloch wezbrał jej w gardle.

- Obejmij mnie, Cooper. - Objął ją mocno i ukrył twarz w jej włosach. - Nie pozwól mi odejść.

- Nie pozwolę. Nie teraz.
- Nigdy. Obiecuj mi.

Zanim uzyskała tę obietnicę, ogarnął ją sen. Oszczędził jej widoku jego pobludłej twarzy. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy mieszkańcy Los Angeles oczekiwali ich przylotu. Podczas międzylądowania w Seattle nie musieli wysiadać z samolotu. Żaden z wsiadających tam pasażerów nie podróżował pierwszą klasą. Start przebiegł bez żadnych sensacji.

Teraz, spodziewając się naporu tłumów, szefowa stewardes poradziła im, żeby zaczekali, aż wysiądzie reszta pasażerów.

Rusty przyjęła tę zwłokę z zadowoleniem. Była nieprawdopodobnie zdenerwowana. Ręce miała wilgotne od potu. Swobodna przy każdej towarzyskiej okazji, nie miała pojęcia, dlaczego teraz jest chora z niepokoju. Marzyła tylko o tym, by wrócić do codziennego życia bez zbytniego zamieszania.

Ale to nie miało być takie łatwe. Jak tylko wyszła z rękawa samolotu i weszła do terminalu, ziściły się jej najgorsze przeczucia. Natychmiast oślepił ją błysk fleszy. Podtykano jej mikrofony. Ktoś niechcący uderzył ją w zranioną nogę torbą od kamery. Panował ogłuszający hałas. Wtem z tej kakofonii dźwięków wyłowiła znajomy głos. Odwróciła się w jego kierunku.

- Ojczy?

W ułamku sekundy znalazła się w mocnym uścisku. Ktoś oderwał ją od Coopera. Kiedy oddała ojcu uścisk, poszukała ręki Coopera, ale nie mogła jej znaleźć. Wpadła w panikę.

- Pozwól mi obejrzeć szkody - zaczął Bill Carlson, odsuwając córkę na odległość ramienia. Reporterzy rozstąpili się nieco, dając im więcej miejsca, lecz kamery robiły kolejne ujęcia wzruszającego powitania.

- Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. - Ściągnął kurtkę z jej ramion. - Choć jestem wdzięczny hojnym władzom Kanady, że tak dobrze się o ciebie dziś zatroszczyły, myślę, że o wiele lepiej poczujesz się w tym.

Jeden z jego przybocznych zmaterializował się i zaprezentował olbrzymie pudło, z którego Carlson wyjął długie do ziemi futro z rudych lisów, takie samo jak to, które miała na sobie podczas katastrofy.

- Słyszałem o twoim futrze, kochanie - powiedział, z dumą zarzucając jej okrycie na ramiona - więc postanowiłem wynagrodzić ci tę stratę.

Reporterzy robili zdjęcia. Futro było wspaniałe, jednak o wiele za ciężkie na balsamiczny wieczór w południowej Kalifornii, ale Rusty nie była tego świadoma, nie była świadoma niczego. Wzrokiem gorączkowo przeszukiwała otaczający ją krąg światła w nadziei natrafienia na Coopera.

- Ojcie, chciałabym, żebyś poznał...

- Nie martw się o swoją nogę. Zaopiekują się nią najlepsi lekarze. Już zamówiłem ci pokój w klinice. Pojedziemy tam natychmiast.

- Ale Cooper...

- A, tak. Cooper Landry, prawda? Ten mężczyzna, który również wyszedł cało z katastrofy. Jestem mu wdzięczny, naturalnie. Uratował ci życie. Nigdy o tym nie zapomnę. - Grzmiący głos Carlsona z pewnością dotarł do dziennikarzy i został zarejestrowany przez mikrofony.

Jego pomocnik sprytnie posłużył się trzymanym w rękach długim pudłem po futrze, by wytyczyć dla nich ścieżkę wśród tłumu reporterów.

- Panie i panowie, natychmiast zostaniecie powiadomieni, jeśli jeszcze coś wyniknie w związku z tą sprawą - obiecał Carlson, prowadząc córkę do wózka akumulatorowego, który miał przewieźć ich przez terminal.

Rusty rozglądała się na wszystkie strony, ale nie widziała Coopera. Wreszcie wypatrzyła znajomą sylwetkę o szerokich ramionach. Szedł w kierunku wyjścia. Kilkoro reporterów biegło za nim.

- Cooper! - Wózek ruszył gwałtownie z miejsca i Rusty przytrzymała się siedzenia pod sobą, by nie wypaść. - Cooper! - zawołała ponownie. Na pewno nie słyszał jej przez ten zgiełk.

Chciała wyskoczyć i pobiec za nim, ale jechali dość szybko, a w dodatku ojciec coś do niej mówił. Próbowwała zrozumieć jego słowa, ale miała wrażenie, że ojciec mówi bez sensu.

Starła się nie poddawać panice. Tymczasem wózek toczył się holem, trąbiąc na pieszych. Wreszcie Coopera wchłonął tłum i całkiem straciła go z oczu.

Kiedy już znaleźli się w limuzynie i mknęli do prywatnej kliniki, ojciec uściskał mokrą od potu dłoń Rusty.

- Bardzo się bałem. Myślałem, że ciebie też straciłem. Oparła głowę na ramieniu ojca i ścisnęła mu rękę.

- Wiem. Równie mocno martwiłam się o to, jak zniesiesz wiadomość o katastrofie.

- A co do tej sprzeczki w dniu twego odjazdu...

- Proszę cię, ojcie, nawet o tym nie myśl. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Może nie przeżyłabym patroszenia tego barana, ale za to udało mi się przeżyć katastrofę samolotu.

Zaśmiał się cicho.

- Myślę, że tego nie pamiętasz - byłeś wtedy malutka - ale pewnego dnia Jeff wymknął się ze swego namiotu na obozie skautów. Spędził całą noc w lesie. Zgubił się i znaleziono go dopiero na drugi dzień. Ale ten mały spryciarz ani trochę się nie bał. Kiedy go znaleźliśmy, zdążył już rozbić obóz i spokojnie łowił ryby na kolację.

Rusty ponownie oparła głowę na jego ramieniu, lecz jej uśmiech znikł.

- Cooper robił dla mnie to wszystko.

W ciele ojca wyczuła nagłe napięcie. Zwykle reagował w ten sposób, kiedy coś nie szło po jego myśli.

- Co to za typ, ten Cooper Landry, Rusty?
- Jak to?
- Słyszałem, że brał udział w wojnie wietnamskiej.
- Tak. Był też w obozie jenieckim, ale udało mu się uciec.
- Czy on... dobrze cię traktował?

O, tak, pomyślała. Ale zdusiła namiętne wspomnienia, które burzyły się w niej jak musujący szampan.

- Tak. Bardzo dobrze. Nie przeżyłabym, gdyby nie on.

Nie chciała mówić ojcu o swoim związku z Cooperem od razu po powrocie. Postanowiła powiadomić go stopniowo. Przeczynała, że natrafi na opory, ponieważ Bill Carlson nie zmieniał swego zdania.

Miał również instykt. Nie dawał sobie mydlić oczu. Starając się mówić tak obojętnie, jak to możliwe, Rusty zaczęła:

- Mógłbyś spróbować go odnaleźć? - W tej prośbie nie było nic niezwykłego. Ojciec miał kontakty w całym mieście. - Chciałabym zawiadomić go, gdzie jestem. Straciliśmy się z oczu na lotnisku.

- Czy koniecznie musisz się z nim widzieć?

Równie dobrze mógłby zapytać, czy koniecznie musi oddychać.

- Chcę jeszcze raz podziękować mu za uratowanie mi życia - odparła wymijająco.
- Zobaczą, co się da zrobić - powiedział Carlson. W tym momencie szofer zajechał na parking prywatnej kliniki.

Choć ojciec już wcześniej załatwił jej przyjęcie, minęło dwie godziny, zanim Rusty została sama w luksusowym pokoju. Udekorowany oryginalnymi dziełami sztuki i umeblowany współczesnymi meblami przypominał raczej modny apartament niż pokój szpitalny. Leżała na solidnym, wygodnym, nowoczesnym łóżku, opierając głowę na miękkich poduszkach. Miała na sobie markową nocną koszulę, jedną z kilku, które ojciec zapakował do walizki, czekającej już na nią w klinice. W łazience umieszczono jej ulubione kosmetyki i przybory toaletowe. Na każde skinienie miała personel szpitalny. Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę telefonu na nocnym stoliku i wystukać numer.

Była nieszczęśliwa.

Przede wszystkim bolała ją noga, którą od razu poddano badaniom. Na wszelki wypadek zrobiono jej prześwietlenie, ale nie wykryto złamania.

- Cooper powiedział, że kość jest cała - spokojnie oświadczyła lekarzowi, który zmarszczył czoło na widok nierównej blizny. Kiedy ubolewał nad niezgrabnymi szwami, Rusty rzuciła się w obronę Coopera. - Próbował uratować mi nogę - powiedziała sucho. Nagle zrobiła się dumna z blizny i wcale się nie cieszyła, że zniknie, co, jak jej powiedziano, będzie wymagało przynajmniej trzech operacji - może więcej. Dla niej blizna była niczym medal za odwagę.

Poza tym Cooper spędził nad nią sporo czasu poprzedniej nocy, całując obrzękłą skórę i mówiąc Rusty, że blizna wcale go nie odstręcza, wręcz przeciwnie, za każdym razem gdy na nią spojrzy, robi się napalony jak diabli. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć tego temu nadętemu chirurgowi plastycznemu.

Nie zrobiła tego. Właściwie w ogóle niewiele mówiła. Nie miała siły. Myślała tylko o tym, jak to będzie cudownie, kiedy wreszcie zostanie sama i będzie mogła pójść spać.

Lecz teraz, kiedy miała wreszcie okazję po temu, sen nie przychodził. Wątpliwości, obawy i zmartwienia nie pozwalały Rusty zasnąć. Gdzie jest Cooper? Dlaczego za nią nie poszedł? Na

lotnisku było niezłe zamieszanie, ale przecież mógłby z nią zostać, gdyby naprawdę tego chciał.

Kiedy pojawiła się pielęgniarka, proponując jej środek uspokajający, z wdzięcznością połknęła lekarstwo. Wiedziała, że w przeciwnym razie nie zdołałaby zasnąć. Brakowało jej Coopera, dotyku jego męskiego, ciepłego ciała.

## **Rozdział 11**

Mój Boże! Wprost nie mogliśmy w to uwierzyć! Nasza Rusty w katastrofie samolotowej!

- To musiało być potworne!

Rusty uniosła głowę z poduszek szpitalnego łóżka, popatrzyła na dwie modnie i elegancko ubrane przyjaciółki i pomyślała, że byłoby najlepiej, gdyby rozwiały się jak dym. Niemal wdarty się do pokoju zaraz po tym, jak kompetentna i energiczna pielęgniarka zabrała tacę ze śniadaniem.

Rozsiewając wokół zapach drogich perfum, nie kryjąc ciekawości, oświadczyły, - że chciały pierwsze okazać jej współczucie. Rusty miała nieodparte wrażenie, że w rzeczywistości chciały pierwsze usłyszeć smakowite szczegóły o jej „kanadyjskiej eskapadzie”, jak ujęła to jedna z nich.

- Nie powiedziałabym, że to było zabawne - odparła Rusty ze znużeniem w głosie.

Obudziła się na długo przed śniadaniem. Przez minione dwa tygodnie zdążyła się przyzwyczać do wstawania o wschodzie słońca. Dzięki pigułce, którą dostała wieczorem, spała kamiennym snem. Jej brak ożywienia wynikał bardziej z przygnębienia niż ze zmęczenia. Była w wyjątkowo minorowym nastroju, a wysiłki przyjaciółek usiłujących go poprawić, odnosiły skutek odwrotny do zamierzonego.

- Jak tylko stąd wyjdiesz, zafundujemy ci całodzienną wizytę w salonie piękności. Włosy, skóra, masaż. Spójrz tylko na swoje biedne paznokcie - mówiąca uniosła jej bezwładną dłoń - całkiem zniszczone.

Rusty uśmiechnęła się blado. Przypomniała sobie, jak się zdenerwowała, kiedy Cooper obciął jej paznokcie swoim myśliwskim nożem.

- Nie robiłam tam sobie manikiuru. - To miał być żart, ale przyjaciółki pokiwały współczująco głowami. - Za bardzo pochłaniały mnie starania o utrzymanie się przy życiu.

Jedna z przyjaciółek potrząsnęła artystycznie potarganą blond fryzurą i zadrzała. Przy tym ruchu ześliznęła jej się apaszka od Hermesa, zamotana wokół szyi, a około tuzina srebrnych bransoletek na nadgarstku zadźwięczało jak uprząż bożonarodzeniowego renifera.

- Byłaś taka odważna, moja droga. Myślę, że ja nie zdołałabym wytrzymać tego co ty. Raczej bym umarła.

Rusty już miała cierpko skomentować tę uwagę, kiedy uświadomiła sobie, że nie tak dawno temu sama mogła powiedzieć coś równie afektowanego i nieprawdziwego.

- Ja też kiedyś tak myślałam. Zdziwiłabyś się, jak silna jest w człowieku wola przeżycia. Wierz mi, w sytuacji, w jakiej się znalazłam, nie liczyło nic innego się poza tym, żeby przetrwać.

Przyjaciółki jednak nie były w nastroju do dyskusji filozoficznej. Interesowały je wyłącznie najbardziej pikantne szczegóły tej niezwyklej, pełnej przygód wędrówki przez puszcę, którą Rusty odbyła w towarzystwie tajemniczego, przystojnego mężczyzny. Jedna usadowiła się w nogach łóżka Rusty. Druga wręcz nie mogła usiedzieć na krześle.

Artykuł o wypadku i wydarzeniach, które po nim nastąpiły, - opublikowano na pierwszej stronie porannego wydania najbardziej poczytnego dziennika. Autor skrupulatnie zrelacjonował dramatyczne przeżycia Rusty i Coopera, popełniając tylko parę drobnych błędów. Tekst był utrzymany w poważnym tonie i w miarę rozsądny. Tyle że ludzie uwielbiają czytać między wierszami; lubią domyślać się, co pominięto. Czytelnicy, nie wyłączając jej przyjaciółek, domagali się sensacji.

- Czy to było straszne? Czy kiedy słońce zaszło, nie robiło się przeraźliwie ciemno?
- Mieliśmy w chacie kilka lamp.
- Mówię o tym, co było przedtem.
- Zanim dotarliście do chaty. Kiedy musieliście spać pod gołym niebem. W lasach.
- Tak, było ciemno. - Rusty westchnęła ze znużeniem. - Ale mieliśmy ognisko.
- Co jedliście?
- Przeważnie króliki.
- Króliki! Chyba nie byłabym w stanie wziąć do ust nawet kęsa.
- Ja byłam - wtrąciła oschłym tonem Rusty. - Zapewniam cię, że gdybyś się znalazła

na moim miejscu, też byś jadła, co się dało, żeby przetrwać.

Dlaczego to robiła? Dlaczego po prostu nie pominęła tej uwagi milczeniem? Przyjaciółki wyglądały na urażone i skonfundowane. Nie miały pojęcia, dlaczego nagle je zaatakowała. Dlaczego nie powiedziała czegoś dowcipnego, czegoś gładkiego, na przykład, że mięso królików podaje się w niektórych naj wytworniejszych restauracjach? Co się dzieje? Czy niedawne przejścia wpłynęły na nią tak dalece, że się zmieniła? Że inaczej patrzy na wiele rzeczy, czego innego oczekuje i potrzebuje?

Pomyślała o Cooperze i z bolesną gwałtownością uświadomiła sobie, jak bardzo za nim tęskni.

- Jestem straszliwie zmęczona - powiedziała.

Zbierało jej się na płacz, a nie miała ochoty zwierzać się przyjaciółkom ani wyjaśniać im przyczyn swego nastroju. One jednak zdawały się niczego nie dostrzegać.

- I twoja biedna noga. - Bransoletki zadzwięczały na przegubie, gdy ich właścicielka wykonała wymowny gest ręką. - Czy lekarz jest pewny, że uda mu się ją wyleczyć?

- Pewny - odparła Rusty, zamknawszy oczy.

- Ile operacji trzeba będzie przeprowadzić, żeby zlikwidować tę szkaradną bliznę?

Rusty poczuła fale powietrza na twarzy, kiedy druga przyjaciółka gorączkowo dawała znaki nietaktownej koleżance.

- Och, nie o to mi chodziło. Myślę tylko...

- Wiem, co myślisz - powiedziała Rusty, otwierając oczy. - Blizna rzeczywiście jest szkaradna, ale lepsze to niż proteza, a ja miałam powody obawiać się, że wda się gangrena. Gdyby nie Cooper... - Urwała, zdając sobie sprawę, że mimowolnie wystawiła się na ciosy.

- Cooper? - spytała niewinnie jedna z przyjaciółek. - Ten mężczyzna, który także przeżył katastrofę?

- Tak.

Wymieniły spojrzenia, zupełnie jakby w myśli rzucały monetę, która z nich zada pierwsze pytanie na jego temat.

- Widziałam go wczoraj w wiadomościach telewizyjnych. O Boże, Rusty! On jest wprost piękny.

- Piękny?

- No, nie typ modela, ale niezwykle męski, podniecający.

- Uratował mi życie - powiedziała cicho Rusty.

- Wiem, kochanie. Jeśli czyjeś życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, lepiej żeby pospieszył na pomoc ktoś, kto wygląda jak twój Cooper Landry! - Pokazała w uśmiechu zęby.

- Czy to prawda, co mówią o wąsach? Pamiętasz ten stary dowcip?

Rusty pamiętała ten dowcip. Jej policzki poróżowiły.

- Czy on ma naprawdę tak szerokie ramiona? - Przyjaciółka trzymała ręce na blisko metr od siebie.

- Jest rzeczywiście dość muskularny - przyznała bezradnie Rusty. - Ale...

- Czy on ma naprawdę tak wąskie biodra? - Ręce przybliżyły się na mniej niż trzydzieści centymetrów. Obydwie panie zachichotały.

Rusty miała ochotę krzyczeć.

- Potrafił robić różne rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Zrobił tobogan z mojego futra i ciągnął mnie na nim od miejsca katastrofy - przez wiele kilometrów. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak wielką przestrzeń przemierzyliśmy, póki nie zobaczyłam jej ze śmigłowca.

- W nim jest coś rozkosznie niebezpiecznego. - Jedna z kobiet zadrżała. Nie słyszała ani słowa z tego, co powiedziała Rusty. - Ten groźny błysk w jego oczach. Zawsze uważałam, że domieszka prymitywizmu jest szalenie seksowna.

Ta, która siedziała na krześle, przymknęła oczy, prawie bliska omdlenia.

- Przestań. Robi mi się gorąco.

- W dzisiejszej gazecie napisali, że zabił dwóch mężczyzn w walce o ciebie.

Rusty omal nie wyskoczyła z łóżka.

- Napisano zupełnie coś innego!

- Dodałam po prostu dwa do dwóch.

- To była samoobrona!

- Kochanie, uspokój się. Jeśli mówisz, że to była samoobrona, to musiało tak być. - Przyjaciółka poklepała Rusty po rękę i mrugnęła do niej. - Posłuchaj, mój mężulek uważa, że wasza historia to wspaniały materiał na film. W przyszłym tygodniu będzie jadł lunch z Billem Friedkinem i...

- Film! - Rusty ogarnęło przerażenie. - Och, nie. Proszę, powiedz mu, żeby o tym nie rozmawiał. Nie chcę żadnego filmu. Chcę o tym zapomnieć i żyć dalej.

- Nie zamierzałyśmy cię zdenerwować. - Ta, która siedziała na krześle, wstała, stanęła obok łóżka i położyła dłoń na ramieniu Rusty. - Jesteśmy przecież twoimi najlepszymi przyjaciółkami. Jeśli zdarzyło się coś okropnego, coś, o czym chciałybyś porozmawiać, coś - no wiesz - osobistego, czego nie mogłabyś powiedzieć swemu ojcu, chciałybyśmy ci jakoś pomóc.

- Na przykład? - Rusty przeszła wzrokiem obydwie kobiety. Wymieniły kolejne, wiele mówiące spojrzenia.

- Cóż, byłaś sama z tym mężczyzną przez prawie dwa tygodnie.

- I? - spytała Rusty zaperzona.

- I - dodała przyjaciółka, wzięwszy głęboki oddech - w gazecie napisali, że tam była tylko jedna izba.

- I co z tego?

- Daj spokój. - Cierpliwość przyjaciółki wyczerpała się. - Ta sytuacja aż się prosi o różne domysły. Jesteś bardzo atrakcyjną młodą kobietą, a on jest wprost fantastyczny i z pewnością męski. Żadne z was nie jest z nikim związane. Byłaś ranna. On cię pielęgnował. Byłaś od niego niemal całkowicie zależna. Mielicie powody zakładać, że będziecie tkwić tam przez całą zimę.

Druga podjęła temat i dorzuciła z podnieceniem w głosie:

- Mieszkanie razem w tych okolicznościach w środku lasu, cóż, to z pewnością najbardziej romantyczna przygoda, o jakiej słyszałam. Wiesz, o co nam chodzi.

- Tak, wiem, o co wam chodzi. - Głos Rusty był zimny, ale jej brązowe oczy płonęły. - Chcecie wiedzieć, czy spałam z Cooperem.

Właśnie wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły i ten, o kim była mowa, wkroczył energicznie do pokoju. Serce o mało nie wyskoczyło Rusty z piersi. Na widok jej promiennego uśmiechu przyjaciółki odwróciły się gwałtownie ku drzwiom. Cooper prawie nie zwrócił na nie uwagi. Oczy utkwili w Rusty. Płomienne spojrzenia obojga powinny starczyć za odpowiedź na wszystkie pytania o stopień ich zażyłości.

Rusty wreszcie opanowała się na tyle, by przemówić:

- Cooper, to moje dwie najbliższe przyjaciółki. - Przedstawiła je. Skłonił się obojętnie.

- Och, panie Landry, jestem zaszczyczona, że mogę pana poznać. W „Timesie” napisali, że uciekł pan z obozu jenieckiego. To się po prostu nie mieści w głowie. Tyle pan przeszedł. I jeszcze ta katastrofa samolotowa.

- Rusty twierdzi, że uratował jej pan życie.

- Mój mąż i ja chcielibyśmy wydać na waszą cześć małe prywatne przyjęcie, jak tylko Rusty dojdzie do siebie. Proszę powiedzieć, że się pan zgadza.

- Kiedy to postanowiliście? - spytała druga z urazą w głosie. - To ja chciałam wydać dla nich przyjęcie.

- Ja powiedziałam pierwsza.

- Jestem pewna, że Cooper nie może długo zostać - wtrąciła się Rusty, widząc, że ogarnia go coraz większe zniecierpliwienie. Z nią działo się to samo. Chciała pozbyć się przyjaciółek jak najszybciej, by zostać z nim sam na sam.

- Zasiadziałyśmy się u ciebie - oświadczyła wreszcie jedna z nich, biorąc torebkę i płaszcz. Przed wyjściem pochyliła się nad Rusty i pocałowała powietrze tuż obok jej policzka, szepcząc: - Ty spryciaro. Nie uda ci się z tego wymigać. Chcę wiedzieć wszystko.

Druga dodała:

- Jestem pewna, że on był wart katastrofy. Jest boski. Taki surowy. Taki... Cóż, z pewnością nie muszę ci tego mówić.

Cooper poczekał, aż drzwi zamkną się za nimi, po czym podszedł do łóżka.

- Nie mam zamiaru iść na żadne cholerne przyjęcie.

- Wcale tego od ciebie nie oczekuję. Jak tylko przestaniemy być atrakcją z pierwszych stron gazet, skłonię ją do rezygnacji z tego pomysłu.

Nie powinna była na niego patrzeć. Ku swemu przerażeniu poczuła pod powiekami piekące łzy. Zażenowana, starła je z policzków.

- Coś się stało?

- Nic, po prostu... - Zawahała się, czy mu to powiedzieć, ale postanowiła zaryzykować. Odważnie spojrzała mu w oczy. - Po prostu bardzo się cieszę, że cię widzę.

Nie dotknął jej, choć równie dobrze mógłby to zrobić. Jego spojrzenie było tak wymowne jak pieszczota. Prześliznęło się po jej sylwetce pod cienkim kocem, a potem znów powędrowało w górę. Zawisło na jej piersiach, kusząco podkreślonych przylegającą jedwabną koszulą.

Nerwowo uniosła rękę i zaczęła skubać koronkowy kołnierzyk.

- Ta... koszula czekała tu na mnie, kiedy mnie przyjęto.

- Ładna.

- Wszystko jest lepsze niż długie kalesony.

- Wyglądasz całkiem nieźle w długich kalesonach. Uśmiechnęła się. Cooper!

Wreszcie jest przy niej! Widziała

go, czuła orzeźwiający zapach jego mydła, słyszała jego głos. Miał na sobie nowe ubranie - spodnie, sportową koszulę i marynarkę. Ale to nie one sprawiały, że zachowywał się inaczej, z dystansem. Nie chciała tego przyjąć do wiadomości, ale fakt pozostawał faktem.

- Dziękuję, że przyszedłeś mnie odwiedzić - odezwała się w końcu. - Prosiłam ojca, żeby cię odszukał i powiedział ci, gdzie jestem.

- Twój ojciec nic mi nie powiedział. Sam cię odnalazłem. Nabrała odwagi. Szukał jej. Może przez całą noc. Może

kiedy ona leżała tu uśpiona lekarstwami, on przeczesywał ulice miasta w gorączkowych poszukiwaniach.

Cooper pogrzebał jej szalone nadzieje, dodając:

- W porannym wydaniu napisali, że tu jesteś. Jak rozumiem, chirurg plastyczny poprawi moje szwy.



- Broniłam twoich szwów! Wzruszył obojętnie ramionami.
- Pomogły. To wszystko, na czym mi zależy.
- Mnie również.
- Jasne.

- Naprawdę! - Usiadła na łóżku, oburzona powątpiewającym tonem Coopera. - Nie chciałam przyjeżdżać tu prosto z lotniska. To pomysł mojego ojca. Ja wołałabym pojechać do domu, sprawdzić pocztę, podlać kwiatki, położyć się spać we własnym łóżku.

- Jesteś dorosła. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Właśnie ci powiedziałam. Ojciec wszystko zorganizował. Nie mogłam żądać od niego, żeby to odwołał.

- Dlaczego?

- Nie bądź taki tępy. A poza tym niby dlaczego miałabym nie chcieć pozbyć się tej blizny! - zawołała ze złością.

Odwrócił wzrok i przygryzł wąsa.

- Powinnaś się jej pozbyć. Naturalnie.

Rusty opadła gwałtownie na poduszki i otarła oczy rogiem prześcieradła. Czowała się taka nieszczęśliwa.

- Co się z nami dzieje? Dlaczego tak się zachowujemy? Odwrócił ku niej twarz. Miał taką minę, jakby jej naiwność zasługiwała na litość.

- Nie powinnaś iść przez resztę życia z tą blizną na nodze. Nie chciałem sugerować, że powinno być inaczej.

- Nie mówię o tej bliznie, Cooper. Mówię o wszystkim. Dlaczego wczoraj wieczorem na lotnisku tak nagle zniknąłeś?

- Cały czas byłem na widoku.

- Ale nie było cię obok mnie. Wołałam. Nie słyszałeś mnie? Nie odpowiedział jej wprost.

- Wydawało mi się, że nie brak ci towarzystwa i opieki.

- Potrzebowałam ciebie i twojej opieki. I miałam ją, póki nie wysiedliśmy z samolotu.

- W tym tłumie raczej nie moglibyśmy robić tego, co robiliśmy w samolocie. - Wyzywająco powiódł wzrokiem po jej ciele. - Poza tym byłaś zajęta czym innym.

Na jego wargach znów pojawił się cyniczny uśmiech i sprawił, że Cooper wyglądał obco. Była całkiem zdezorientowana. Gdzie i kiedy wszystko się między nimi popsło?

- Czego oczekiwałaś po naszym powrocie do Los Angeles? Jesteśmy sensacją dnia, Cooper. To nie moja wina, że czekali reporterzy. A co do mego ojca... Bardzo się o mnie martwił. Pomógł sfinansować akcję ratunkową. Myślałeś, że potraktuje mój powrót obojętnie?

- Nie. - Przegarnął włosy palcami. - Ale czy naprawdę musiał zrobić z tego takie widowisko? Po co ta cała szopka? A futro?

- To było bardzo ładnie z jego strony - zaproponowała, chociaż wciąż jeszcze czuła zakłopotanie na myśl o tym ostentacyjnym geście. Stała jednak w obronie ojca. Futro było wyrazem jego miłości i radości z jej bezpiecznego powrotu do domu. Nieważne, że zarazem było demonstracją bogactwa. To irytujące, że Cooper tego nie dostrzegał.

Cooper nerwowo krążył po pokoju, zupełnie jakby był w nim uwięziony.

- Słuchaj, muszę już iść.

- Iść? Teraz? Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

- Do domu.

- Do Rogers Gap?

- Tak. Tam, gdzie jest moje miejsce. Czas zająć się ranczem. Nie mam pojęcia, w jakim stanie zastanę je po powrocie. A co z nogą? Będzie w porządku?

- W końcu tak - odparła, myśląc zupełnie o czym innym. Cooper wyjeżdża. Odchodzi. Daleko. Może na zawsze. - Czekam na kilka operacji. Pierwsza będzie jutro - dodała.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci więcej złego niż dobrego.

Słowa z trudem wydobywały się z zaciśniętego gardła.

- Nie zrobiłeś.

- Cóż, pora się pożegnać. - Ruszył ku drzwiom, pilnując się, żeby nie wyglądało to na ucieczkę.

- Może pewnego dnia wybiorę się do Rogers Gap i wpadnę do ciebie. Nigdy nie wiadomo.

- Tak, jasne. Byłoby wspaniale. - Jego wymuszony uśmiech przeczył słowom.

- Jak... jak często przyjeżdżasz do Los Angeles?

- Niezbyt często - odparł szczerze. - No to do zobaczenia, Rusty. - Odwrócił się i chwycił za klamkę.

- Cooper, zaczekaj! - Siedziała na łóżku, gotowa pobiec za nim, gdyby okazało się to konieczne. - Czy to ma się tak właśnie zakończyć?

Skinął głową.

- Ja tak nie mogę. Nie po tym, co razem przeszliśmy.

- Musi tak być. Nie ma innego wyjścia.

- Nie zwiedzisz mnie. Ta obojętność to pozór. Walczysz z tym. Wiem, że tak jest.

Chcesz mnie objąć tak samo, jak ja chcę objąć ciebie.

Zacisnął zęby. Dłonie zwinęły mu się w pięści. Widać było, że toczy ze sobą walkę, ale w końcu przegrał.

Rzucił się przez pokój i gwałtownie wziął Rusty w ramiona. Usiadłszy na brzegu łóżka, przycisnął ją mocno do siebie. Spleceni w uścisku kołysali się lekko. Ukrył twarz w jej włosach o barwie cynamonu.

- Rusty, Rusty.

Przejęta udręką w jego głosie, powiedziała:

- Wczoraj nie mogłam zasnąć bez środka uspokajającego. Wciąż nasłuchiwałam twego oddechu. Tęskniłam za twoimi ramionami.

- A mnie brakowało dotyku twego tyłeczka na udach. Pochylił głowę, w tym samym momencie ona uniosła swoją i ich wargi odnalazły się. Całowali się jak szaleni.

- Tak bardzo pragnąłem cię zeszłej nocy. Myślałem, że umrę - jęknął, kiedy oderwali się od siebie.

- Nie chciałeś się ze mną rozstawać?

- Nie w ten sposób.

- Dlaczego więc nie odpowiedziałeś, kiedy wołałam cię na lotnisku? Słyszałeś mnie, prawda?

Zbity z tropu, skinął głową.

- Nie mogłem być aktorem w tym cyrku, Rusty. Musiałem wydostać się stamtąd najszybciej, jak to możliwe. Kiedy wróciłem do kraju z Wietnamu, traktowano mnie jak bohatera. - Potarł pasmo jej włosów między palcami, cofając się myślą w bolesną przeszłość.

- Nie czułem się jak bohater. Przeżyłem piekło. Byłem w samym środku piekła. Niektóre rzeczy, które musiałem robić... Cóż, nie były zbyt heroiczne. Nie zasługiwały na blask reflektorów i na oklaski. Nie chciałem ich. Chciałem tylko, żeby zostawiono mnie w spokoju i pozwolono mi zapomnieć.

Odchylił jej głowę do tyłu i przeszył ją zdesperowanym spojrzeniem.

- Teraz też nie chcę światła reflektorów. Zrobiłem to, co uznałem za konieczne dla ratowania nas. Każdy by tak postąpił.

- Nie każdy, Cooper. - Z miłością musnęła jego wąsy. Wzruszył ramionami.

- Mam po prostu więcej doświadczenia niż większość ludzi, jeśli chodzi o umiejętność przeżycia w trudnych warunkach. To wszystko.

- Ty po prostu nie chcesz uznania za swoje zasługi, prawda?

- A ty właśnie tego chcesz, Rusty? Wyrazów uznania za to, że przeżyłaś?

Pomyślała o ojcu. Z radością usłyszałaby parę słów pochwały za odwagę. Zamiast tego poczęstował ją historyjką o przygodzie Jeffa na obozie skautowskim. Co musiałyby zrobić, żeby zdobyć uznanie ojca?

Z jakiegoś powodu to nie wydawało się jej już tak ważne jak kiedyś. Właściwie nie wydawało się ważne w ogóle. O wiele ważniejsze było, co o niej pomyśli Cooper.

- Nie chcę wyrazów uznania. Chcę... - Urwała, zanim powiedziała „ciebie”. Oparła policzek o jego pierś. - Dlaczego nie poszedłeś za mną? Nie chcesz mnie już?

Położył dłoń na jej piersi i muskał ją koniuszkami palców.

- Tak, chcę cię, i to bardzo.

- A więc dlaczego?

- Nie poszedłem za tobą wczoraj wieczorem, bo chciałem przyspieszyć to, co nieuniknione.

- Nieuniknione?

- Rusty - szepnął - zależność, którą czujemy wobec siebie, to przypadek z podręcznika. To powszechne wśród ludzi, którzy razem przeżyli śmiertelne niebezpieczeństwo czy zagrożenie. Nawet zakładnicy i ofiary porwań czasami przejawiają nienaturalne przywiązanie wobec siebie.

- Wiem o tym. Ale z nami jest inaczej.

- Naprawdę? - Sceptycznie zmarszczył brwi. - Dziecko kocha tego, kto je karmi. Nawet dzikie zwierzę zachowuje się przyjaźnie wobec kogoś, kto dostarcza mu jedzenia. Troszczyłem się o ciebie. To całkiem normalne, że przywiązujesz większe znaczenie...

Odechnęła go gwałtownie.

- Ani się waż sprowadzać tego, co zdarzyło się między nami, do psychologicznego bełkotu. To kompletna bzdura. Moje uczucia wobec ciebie są prawdziwe.

- Nie powiedziałem, że nie są. - Jej wojowniczość podnieciła go. Właśnie taka podobała mu się najbardziej. Przyciągnął ją do siebie. - To działało na nas zawsze. - Znów ujął jej pierś i zuchwale przejechał kciukiem po brodawce.

Wirowało jej w głowie. Bez przekonania szepnęła „przestań”, ale Cooper nie przerwał pieszczoty. Przymknęła oczy.

- Jesteśmy ze sobą. Ja jestem gotowy. Ty się rozplýwasz. Za każdym cholernym razem. To zdarzyło się po raz pierwszy, kiedy popatrzyliśmy na siebie w samolocie. Mam rację?

- Tak - przyznała.

- Pragnałem cię, zanim jeszcze wystartowaliśmy.

- Ale nawet się nie uśmiechnąłeś, nie powiedziałeś do mnie ani słowa i nie można powiedzieć, żebyś zachęcał mnie do nawiązania rozmowy.

- To prawda.

- Dlaczego? - Jego pieszczoty nie pozwalały jej rozsądnie myśleć. Odsunęła jego rękę. - Powiedz mi.

- Ponieważ już wówczas domyślałem się tego, co teraz wiem na pewno. Żyjemy w różnych światach. I nie chodzi mi o geografię.

- Wiem, o co ci chodzi. Myślisz, że jestem głupia i powierzchowna, tak jak moje przyjaciółki, które przed chwilą poznałeś. Nie jestem taka! - Oparła dłonie na jego przedramionach i przemówiła do niego żarliwie: - Mnie też zirytowały. Wiesz dlaczego? Bo zobaczyłam siebie taką, jaką byłam przed wypadkiem. Osądziłam je tak, jak ty osądziłeś mnie, widząc mnie po raz pierwszy - dodała i ciągnęła: - Proszę, zdobądź się na odrobinę

tolerancji wobec nich. Wobec mnie. To Beverly Hills. Nic tu nie jest prawdziwe. W tym mieście są dzielnice, z którymi nigdy nie miałam nic wspólnego. Chata Gawryłowów była poza obszarem mego pojmowania. Ale zmieniłam się. Naprawdę. Już nie jestem taka jak one.

- Nigdy taka nie byłaś, Rusty. Teraz o tym wiem, miałem okazję się o tym przekonać.  
- Ujął jej twarz w dłonie. - Ale to jest życie, które znasz. Ja nie mógłbym takiego prowadzić. Nie byłbym w stanie. Nie chciałbym nawet próbować. A ty nie chciałabyś wejść do mojego środowiska i zaakceptować mojego stylu życia.

Zraniona bolesną prawdą pobrzmiwającą w tych słowach, ze złością odepchnęła jego rękę.

- Twoje życie! Jakie życie? Odsunięcie się od świata? Samotność z wyboru? Zgorzknienie? Ty to nazywasz stylem życia? Masz słuszność, Cooper. Nie mogłabym funkcjonować w ten sposób. Nie zniosłabym tego.

Dolna warga zwężyła mu się do cienkiej twardej kreski. Rusty zdała sobie sprawę, że trafiła w dziesiątkę, ale nie czuła radości zwycięstwa.

- A więc widzisz - odezwał się. - Właśnie to próbowałem ci powiedzieć. W łóżku idzie nam wspaniale, ale nigdy nie udałoby nam się podjąć wspólnego życia.

- Bo jesteś zbyt uparty, żeby choć spróbować! Czy kiedykolwiek myślałeś o kompromisie?

- Nie. Nie chcę mieć nic wspólnego z czymś takim. - Rozłożył ręce, ogarniając nimi luksusowo umeblowany pokój i widok rozpościerający się za wielkim oknem.

- Jesteś snobem. - Rusty wycelowała w niego palec.

- Ja? Snobem?!

- Tak, ty. Odwracasz się plecami do ludzi, ponieważ uważasz się za kogoś lepszego. Odważniejszego, bardziej doświadczonego, mądrzejszego, bo przeżyłeś wojnę i obóz. Pogardzasz światem, ponieważ widzisz w nim samo zło. Patrzysz na nas wszystkich z góry i nawet nie zadasz sobie trudu, żeby zrozumieć innych.

- Nie o to chodzi! - wybuchnął.

- Czyżby? Czy nie jesteś obłudny i arbitralny? Jeśli nasz świat jest naprawdę taki zły, jeśli zasługuje wyłącznie na krytykę, dlaczego nie robisz niczego, by to zmienić? Co chcesz osiągnąć, wycofując się? Społeczeństwo od ciebie nie stroni. To ty stronisz od społeczeństwa.

- Zostawiłem ją dopiero wtedy, jak...

- Ją?

Twarz Coopera zastygła w maskę. Światło w jego oczach zgasło.

A więc u źródeł cynizmu Coopera tkwiła sprawa z jakąś kobietą. Rusty przebiegały przez głowę tysiące pytań. Chciała mu je zadać, ale na razie musiała znieść jego lodowate, wrogie spojrzenie. Był wściekły na siebie i na nią. Sprowokowała go do wskrzeszenia przeszłości, którą chciał pogrzebać na zawsze.

Rusty poczuła palącą zazdrość. Jakaś kobieta wywarła na niego na tyle silny wpływ, że zmieniła bieg jego życia. Pewnie był pogodnym, optymistycznie nastawionym mężczyzną, zanim ta nie znana jej kobieta nie zraniła go tak mocno, że odwrócił się od życia. Czy tak bardzo ją kochał?

Taki mężczyzna jak Cooper Landry nie wytrzymałby długo bez kobiety. Rusty aż do tej chwili sądziła, że jego przygody były przelotne, że chodziło głównie o fizyczne zaspokojenie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógł być z kimś poważnie związany. Tak jednak było i ich rozstanie pozostawiło na nim niezatarte piętno.

- Kim była?

- Zapomnij o tym.

- Poznałeś ją przed wyjazdem do Wietnamu?

- Daj temu spokój, Rusty.

- Czy poślubiła kogoś, kiedy ty byłeś w obozie?

- Powiedziałem ci, że masz o tym zapomnieć.

- Kochałeś ją?  
- Słuchaj, była niezła w łóżku, ale nie tak gorąca jak ty, w porządku? Czy to właśnie chcesz usłyszeć: jaka była w porównaniu z tobą? Cóż, pomyślmy. Nie miała rudych włosów, więc brakowało jej twego ognistego temperamentu. Miała wspaniałe ciało, ale było mu daleko do twojego.

- Przestań!

- Miała większe piersi, ale nie bardziej wrażliwe. Brodawki? Większe i ciemniejsze. Uda? Jej były równie gładkie, ale nawet w połowie nie tak mocne jak twoje.

- Nie zamierzał jej oszczędzać. Był demonstracyjnie brutalny. Zakryła dłonią usta, chcąc powstrzymać okrzyk bólu i oburzenia. Oddychała równie mocno i gwałtownie jak on. Przeszywali się wzrokiem z wrogością tak płomienną jak namiętność, która towarzyszyła im w chwilach miłosnych uniesień. W tę gorącą atmosferę wkroczył Bill Carlson.

- Rusty?

Aż podskoczyła na dźwięk głosu ojca.

- Ojczy! - zawołała gwałtownie. - Wejdz... dzień dobry. To... - Miała sucho w ustach, a dłoń, którą uniosła w kierunku Coopera, drżała. - To właśnie jest Cooper Landry.

- Ach, pan Landry. - Carlson wyciągnął rękę. Cooper potrząsnął nią. Mocno, ale z widocznym brakiem entuzjazmu i dużą dozą niechęci. - Kilka osób próbowało pana odszukać.

- Ponieważ Cooper nie zamierzał wyjaśniać, co porabiał w nocy, Carlson ciągnął grzmiącym głosem: - Chciałem panu podziękować za uratowanie życia mej córce.

- Podziękowania nie są konieczne.

- Owszem, są. Ona jest dla mnie wszystkim. Z tego, co mówi Rusty, wynika, że gdyby nie pan, nie byłoby jej wśród żywych. To ona prosiła mnie wczoraj, żebym pana odszukał.

Cooper spojrział na Rusty, później znów na Carlsona, który właśnie sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął stamtąd białą kopertę.

- Rusty chciałaby podziękować panu za wszystko.

Podał kopertę Cooperowi. Cooper otworzył ją i zajrzał do środka. Przez dłuższą chwilę patrzył na jej zawartość. Wreszcie uniósł wzrok ku Rusty. Jego oczy były pełne pogardy. Kącik wąsów wygiął mu się w paskudnym uśmiechu. Po chwili jednym gwałtownym ruchem przedarł kopertę i znajdujący się w niej czek na pół.

- Dziękuję, panno Carlson, ale podczas spędzonej wspólnie nocy zostałem w pełni wynagrodzony za moje usługi.

## **Rozdział 12**

Bill Carlson popatrzył w ślad za wybiegającym Cooperem, po czym odwrócił się do córki i zauważył:

- Co za nieprzyjemny typ.

- Ojczy, jak mogłeś zaproponować mu pieniądze?! - zawołała wstrząśnięta Rusty.

- Sądziłem, że tego ode mnie oczekujesz.

- Na jakiej podstawie tak pomyślałeś? Cooper... pan Landry... To dumny człowiek.

Myślisz, że uratował mnie dla zysku?

- Nie zdziwiłoby mnie to. Z tego, co słyszałem, nie jest szczególnie sympatyczny.

- Rozpytywałeś o niego?

- Naturalnie. Jak tylko dowiedziałem się, kim jest mężczyzna, którego uratowano wraz z tobą. Przebywanie z nim sam na sam musiało być dla ciebie niełatwe.

- Rzeczywiście miały miejsce pewne nieporozumienia - odparła Rusty ze smutnym uśmiechem. - Nie zapominaj, że w każdej chwili mógł mnie zostawić, by ratować siebie.

- Nie zrobiłby tego. Sądzę, że liczył na nagrodę.

- Nie brał takiej możliwości pod uwagę, wierz mi.

- Jest bystry. Domyślił się, że nie będę oszczędził pieniędzy, aby cię odnaleźć, a chyba szybko zorientował się, z kim ma do czynienia. Może poczuł się urażony wysokością kwoty, którą mu oferowałem? - Podniósł przedarty czek i przyjrzał mu się uważnie. - Sądziłem, że to hojna nagroda, ale może on jest bardziej zachłanny, niż zakładałem.

Pokonana Rusty zamknęła oczy. Głowa ponownie opadła jej na poduszki.

- On nie chce twoich pieniędzy, ojcze. Jest szczęśliwy, że się mnie pozbył.

- Ja też nie będę rozpaczał, że Landry zszedł mi z oczu. Muszę jednak przyznać, że przy jego udziale łatwiej byłoby zarobić na twojej niemiłej przygodzie.

Rusty uniosła powieki i popatrzyła na ojca badawczo.

- Zarobić? O czym, u licha, mówisz?

- Nie wyciągaj pochopnie wniosków, póki nie wysłuchasz mnie do końca.

Już zdążyła wyciągnąć kilka wniosków, z których żaden jej się nie podobał.

- Nie mówisz o filmie, prawda? Carlson poklepał ją uspokajająco po rękę.

- Nie mam na myśli niczego tak prostackiego, kochanie. Jesteśmy ludźmi z klasą.

- O co więc chodzi?

- Jednym z twoich problemów był zawsze brak wyobraźni, Rusty. Twój brat z miejsca dostrzegłby możliwości, jakie ta sytuacja przed nami otwiera.

Jak zwykle, porównanie z bratem sprawiło, że poczuła się gorsza.

- To znaczy?

- Masz wysoką pozycję w branży nieruchomości - wyjaśniał cierpliwie Carlson. - Nie tylko dlatego, że jesteś moją córką. Może ułatwiłem ci parę spraw, podsunąłem kilka możliwości, ale potrafiłaś je wykorzystać.

- Dziękuję ci, ale do czego zmierzasz, ojcze?

- Jesteś raczej znana w liczących się kręgach. A ostatnio twoje nazwisko i twoje zdjęcia pojawiły się w prasie i w telewizji. Stałaś się kimś w rodzaju publicznej postaci. Ten rodzaj darmowej reklamy jest równie cenny jak pieniądze na koncie. Proponuję, żebyśmy obrócili twój wypadek na naszą korzyść.

- Chcesz dla reklamy wykorzystać fakt, że przeżyłam katastrofę samolotu? Zarabiać na tym pieniądze?

- A komu to szkodzi?

- Chyba żartujesz! - Nie żartował. Jego mina i zachowanie na to nie wskazywały.

Rusty potrząsnęła głową. - Nie, ojcze. Absolutnie nie. Ten pomysł zupełnie mi się nie podoba.

- Nie zarzekaj się zawczasu. Zlecę naszej agencji reklamowej, żeby nad tym popracowała. Obiecuję, że nie wykorzystam żadnego pomysłu, dopóki go z tobą nie skonsultuję i nie uzyskam twojej aprobaty.

Rusty z trudem panowała nad sobą, żeby nie wybuchnąć gniewem. Nagle zobaczyła ojca w innym świetle. Głos, twarz, gładkie maniery - wszystko było znajome. To, co mówił, to, co myślał, było nie do przyjęcia. Popatrzyła na niego poprzez pryzmat ostatnich dramatycznych przeżyć, bogatsza o wiedzę, co się w życiu naprawdę liczy. Czyżby nie znała własnego ojca? Nie wiedziała, jakim jest człowiekiem?

- Nigdy się na to nie zgodzę. W tym wypadku zginęło sześciu ludzi! Sześciu ludzi, ojcze. Spotkałam się z ich rodzinami: ze zrozpaczonymi wdowami, dziećmi, rodzicami. Rozmawiałam z nimi. Złożyłam im szczerze wyrazy współczucia. Miałabym wykorzystać ich nieszczęście dla własnej korzyści? - Wzdrygnęła się z odrazą. - Nie, ojcze. Nie wolno mi tego zrobić.

Bill Carlson skubał palcami dolną wargę jak zawsze, kiedy się nad czymś głęboko zastanawiał.

- W porządku. Na razie odłożymy ten pomysł. Mam jeszcze jeden.

Ścisnął jej obie dłonie w swoich. Rusty nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ojciec trzymają ją tak na wszelki wypadek, niepewny jej reakcji.

- Jak już ci mówiłem, wczoraj zebrałem sporo informacji o panu Landrym. Jest właścicielem dużego rancza w Siern Nevada.

- Mówił mi o tym.

- Dotąd nikt nie zajął się turystycznym wykorzystaniem tej okolicy.

- Na tym polega jej piękno. Ten region pozostał nie tknięty ręką człowieka. Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

- Rusty, co się z tobą dzieje? Czy po spędzeniu dwóch tygodni w lesie stałaś się zwolenniczką zielonych? Chyba nie zamierzasz rozpowszechniać petycji w obronie ziemi, za każdym razem gdy buduje się jakieś osiedle, prawda?

Bill Carlson starał się mówić żartobliwym tonem, ale Rusty wyczuwała w słowach ojca dezaprobatę.

- Oczywiście, że nie, ojciec - zapewniła go, gotowa obstawać przy swoim zdaniu w sprawie Coopera. - Mam nadzieję, że nie myślisz o żadnych budowach na tym terenie. Zapewniam cię, że pan Landry by się z tego nie ucieszył. Wręcz przeciwnie.

- Jesteś pewna? A jak ci się podoba pomysł wejścia z nim w spółkę?

- Ja i Cooper?

- Walczył w Wietnamie. To się dobrze sprzedaje. Wyszliście cało z katastrofy i przeżyliście niejedno w leśnych ostępach, póki was nie odnaleziono. To też dobrze się sprzedaje. Klienci po prostu się na to rzucają.

Bill Carlson był zbyt zaabsorbowany swoimi planami, by zauważyć reakcję córki.

- Mogłbym zadzwonić w parę miejsc i do wieczora znalazłbym grupę inwestorów, którzy byliby zachwyceni, mogąc wybudować apartamenty w tej okolicy. W Rogers Gap jest wyciąg narciarski, ale w fatalnym stanie. Zmodernizujemy go, ulepszymy, a teren wokół niego zabudujemy. Oczywiście włączylibyśmy w to Landry'ego - pośpiesznie dodał Carlson. - Ułatwiłoby to pertraktacje z innymi mieszkańcami. Nie jest wprawdzie zbyt towarzyski, ale moi ludzie donieśli mi, że cieszy się tam sporymi wpływami. Jego nazwisko wiele znaczy. Jak tylko zacznie się budować apartamenty, ty zajmiesz się ich sprzedażą. Zarobimy miliony.

- Ojciec, jeśli nie słyszałeś tego, co powiedziałam przed chwilą, to powtarzam: pan Landry nie jest zainteresowany robieniem pieniędzy. - Wzięła dwie połówki czeku i podsunęła mu je pod nos. - Zwłaszcza w ten sposób. On kocha tę ziemię. Chce, żeby zostawiono ją w spokoju, żeby pozostała taka, jaka jest, taka, jak ukształtowała ją natura.

- Każdy człowiek ma swoją cenę, zdążyłem się o tym przekonać - zauważył sceptycznie Carlson.

- Nie Cooper Landry.

- Twoja naiwność jest zachwycająca.

Znajomy błysk w jego oku świadczył o tym, że Carlson jest na tropie wielkiego interesu. W gronie kapitalistycznych rekinów jej ojciec należał do tych najbardziej krwiożerczych. Zaniepokojona Rusty złapała go za rękę i mocno ścisnęła.

- Obiecuj mi, proszę, że tego nie zrobisz. Nie znasz go.

- A ty znasz? Nie zadawałem ci żadnych pytań, żeby nie wprawiać cię w zakłopotanie. Nam obojgu chciałem tego oszczędzić. Nie jestem jednak ślepy. Landry to niemal karykatura macho. Typ wojowniczego odludka, na widok którego kobiety głupieją i nabierają ochoty, by go oswoić. - Bill Carlson przybliżył się, żeby widzieć reakcję córki. - Ty z pewnością jesteś za inteligentna, by nabrać się na szerokie ramiona i ponure usposobienie. Mam nadzieję, że nie przywiązałaś się zbyt mocno do tego mężczyzny. To byłoby wyjątkowo niefortunne.

Ojciec nieświadomie powtórzył teorię Coopera, według której ich uczucia wynikały przede wszystkim z zależności wobec siebie.

- Czy przywiązanie do niego byłoby w tych okolicznościach nienaturalne?

- Zgoda. Okoliczności jednak się zmieniły. Nie tkwisz już z Cooperem w lasach, jesteś w domu. Nie powinnaś pozwalać sobie na młodzieńcze zauroczenie. Cokolwiek się tam wydarzyło - dodał, wskazując swą doskonale wypielęgnowaną głową w kierunku okna - minęło i trzeba o tym zapomnieć".

Cooper twierdził to samo. Ale to nie minęło i nie mogło zostać zapomniane. Ani odległość, jaka ich dzieli, ani czas nie mogą mieć wpływu na to, co czuje do Coopera. Nie była to uwarunkowana okolicznościami zależność od drugiego człowieka, która zniknie wraz z powrotem do dawnego życia. Rusty odkryła, że jest zakochana. Cooper nie był już jej żywicielem i obrońcą, znaczył dla niej o wiele więcej. Był mężczyzną, którego pokochała. To, czy są razem, czy osobno, niczego w tej sprawie nie zmieni.

- Nie martw się, ojczu. Doskonale znam swoje uczucia wobec pana Landry'ego. - To było prawdą. Pozwoli ojcu wyciągnąć własne wnioski.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Carlson, poklepując ją po ramieniu. - Wiedziałem, że mogę liczyć na to, że wyjdiesz z tego jeszcze silniejsza i bystrzejsza. Masz głowę na karku, tak jak twój brat.

Minął już tydzień, odkąd Rusty wróciła do domu po niemal tygodniowym pobycie w klinice w związku z pierwszą operacją. Blizna nie wyglądała o wiele lepiej niż przed zabiegiem, ale lekarz zapewnił ją, że po kilku operacjach stanie się zupełnie niewidoczna.

Poza lekkim bólem w nodze, czuła się doskonale. Bandaż już usunięto, lecz lekarz zalecił jej, by nie zakrywała nogi ubraniem, a przy chodzeniu używała kul.

Przytyła blisko dwa kilogramy, które straciła po wypadku. Codziennie około pół godziny pławiła się w słońcu, leżąc na pomoście z drewna sekwojowego przy basenie, aby odzyskać lekką opaleniznę. Przyjaciółki spełniły obietnicę: fryzjer podciął jej włosy, odżywił je i przywrócił im ich dawny, olśniewający blask. Kosmetyczka poddała twarz licznym upiększającym zabiegom. Manikiurzystka i pedikiurzystka w jednej osobie doprowadziła do porządku paznokcie. Wmasowała też krem w wysuszone, szorstkie dłonie. Obserwując, jak wyglądał łuszcząca się, czerwoną skórę, Rusty wróciła myślą do prania, które robiła ręcznie, a potem rozwieszała na szorstkim sznurze przed chatą. Za każdym razem martwiła się, czy pranie zdąży wyschnąć, zanim zamarznie. Nie było to takie straszne. Naprawdę! A może we wspomnieniach wszystko jawi się w różowych barwach? Czy pocałunki Coopera naprawdę były tak porywające? Czy jego ramiona i szept były tak kojące w mrokach nocy? Jeśli nie, dlaczego tak często budziła się, tęskniąc za jego bliskością, jego ciepłem?

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka samotna.

Nie chodzi o to, że była sama - nie była. Odwiedzali ją znajomi i przyjaciele, przynosząc drobne prezenty, którymi mieli nadzieję ją rozbawić, ponieważ wydawała się przygnębiona. Fizycznie doszła do siebie, ale jej nastrój wciąż był minorowy. Bliscy i współpracownicy martwili się o nią. Od czasu katastrofy nie była dawną, wesołą Rusty. Opychali ją smakołykami, poczynając od czekoladek Godiva, przez *tacos* na wynos, aż do dań z najlepszych restauracji Beverly Hills, przyrządzanych specjalnie dla niej przez szefów kuchni, którzy znali jej upodobania kulinarne.

Miała mnóstwo czasu, ale nie próżnowała. Przewidywania ojca sprawdziły się: stała się niezwykle popularna. Każdy, kto chciał coś sprzedać czy kupić, szukał jej rady. Codziennie odbierała telefony od potencjalnych klientów, w tym od imponującej liczby ludzi filmu i telewizji. Uszy ją bolały od godzin spędzanych ze słuchawką. Dawniej skakałyby z radości do sufitu, mając taką listę klientów. Zamiast tego prześladowała ją nuda, której nie potrafiła wytłumaczyć ani przezwyciężyć.

Ojciec nie wspominał już o zabudowie okolic Rogers Gap. Miała nadzieję, że ten pomysł umarł śmiercią naturalną. Ojciec przychodził do niej codziennie pod pozorem sprawdzania, jak przebiega rekonwalescencja. Rusty podejrzewała jednak, może niesprawiedliwie, że



bardziej jest zainteresowany szybkimi zyskami z handlu nieruchomościami niż jej powrotem do zdrowia.

Rusty podporządkowywała się zaleceniom lekarzy, ale zdawała sobie sprawę, że wydłuża czas rekonwalescencji jak tylko może. Była jednak zdecydowana nie wracać do biura, dopóki nie będzie się czuła zupełnie dobrze. Zorientowała się, że ojciec jest tym stanem rzeczy zniecierpliwiony.

Tego popołudnia westchnęła z rezygnacją, kiedy u wejścia zabrzmiał donośnie głos dzwonka. Ojciec telefonował wcześniej, by zawiadomić, że z powodu jakichś służbowych spotkań nie będzie mógł do niej wpaść. Rusty poczuła ulgę. Kochała ojca, ale ucieszyła się, że nie przyjdzie. Po jego wizytach zawsze czuła się wyczerpana. Najwidoczniej spotkanie zostało odwołane. Nie ma co liczyć na spokojny wieczór.

Weisnąwszy kule pod pachy, pokuśtykała przez hol do frontowych drzwi. Mieszkała w tym domu od trzech lat. Był to mały, otynkowany na biało budynek z czerwoną dachówką, wciśnięty w skałę i obrośnięty różnobarwnymi pnączami bugenwilli. Rusty spodobał się, gdy tylko go ujrzała.

Wspierając się na jednej kuli, otworzyła drzwi.

Była całkowicie zaskoczona. Na progu stał Cooper. Nie powiedział ani słowa. Wpatrywali się w siebie przez długi czas, po czym Rusty odsunęła się na bok, a jej gość wszedł do środka.

- Witaj.

- Witaj.

- Co tutaj robisz?

- Przyszedłem dowiedzieć się, co z twoją nogą. - Kiedy spojrzał na jej goleń, wysunęła ją bardziej do przodu. - Nie wygląda o wiele lepiej.

- Ale będzie. - Jego sceptyczne spojrzenie powędrowało ku jej oczom. - Lekarz powiedział, że będzie.

Wyglądało na to, że Cooper ma wątpliwości, ale nie ciągnął tematu. Rozejrzał się po otoczeniu, obracając się powoli.

- Podoba mi się twój dom.

- Dziękuję.

- Bardzo przypomina mój.

- Naprawdę?

- Może mój wygląda na masywniejszy. Przy urządzaniu go nie kierowałem się modą.

Mają jednak ze sobą wiele wspólnego. Duże pokoje. Mnóstwo okien.

Rusty uznała, że pozbierała się na tyle, by móc się poruszać. Poszła przodem i skinęła na Coopera, żeby szedł za nią.

- Chodźmy do kuchni. Napijesz się czegoś?

- Coś bezalkoholowego.

- Może być lemoniada?

- W porządku.

- Za minutę będzie gotowa.

- Nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot. Poza tym ja też mam ochotę się napić. Dotarli do jadalni, a potem do kuchni na tyłach domu.

- Siadaj. - Wskazała w kierunku stołu z jednego bloku drewna, który tworzył wyspę pośrodku kuchni, a następnie podeszła do lodówki.

- Pomóc ci? - zaoferował się.

- Nie, dziękuję. Mam wprawę.

Kiedy odwróciła głowę, chcąc uśmiechnąć się do niego, zobaczyła, że Cooper wpatruje się w jej łydki. Przekonana, że przez cały dzień będzie sama, włożyła szorty zrobione ze

zniszczonych dżinsów i nie zawracała sobie głowy pantoflami. Poły płóciennej koszuli związała w supeł nad talią. Włosy spięła do góry w rozwichrzony koński ogon.

Przyłapany na gapieniu się na jej gładkie, obnażone nogi, Cooper poruszył się na krześle z poczuciem winy.

- Czy to boli?

- Co?

- Noga.

- Nie. Może trochę. Od czasu do czasu. Nie powinnam jeszcze dużo chodzić, prowadzić auta ani nic w tym rodzaju.

- Wróciłaś do pracy?

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że koński ogon uderzył ją w szyję.

- Prowadzę niektóre sprawy przez telefon. Posłańcy mnie uwielbiają. W końcu dają im pracę. Ale wciąż nie czuję się na tyle dobrze, żeby się ubrać i jechać do biura.

Wyjęła z lodówki puszkę koncentratu lemoniady.

- Miałaś dużo zajęć od powrotu do domu?

Nalała gęstego różowego płynu do dzbanka i dodała butelkę schłodzonej wody sodowej. Parę kropel lemoniady kapnęło jej na rękę. Uniosła ją do ust i oblizwała. Właśnie wtedy odwróciła się, patrząc na niego pytająco.

Cooper obserwował każdy jej ruch. Wpatrywał się chciwie w jej wargi. Rusty powoli pochyliła głowę i powróciła do swego zajęcia. Ręce jej drżały, gdy wyjmowała szklanki z szafki i napełniała je kostkami lodu.

- Tak, miałem sporo zajęć.

- Co zastałaś po powrocie?

- Wszystko było w porządku. Sąsiad zaopiekował się żywym inwentarzem. Pewnie, gdybym nie wrócił, robiłby to cały czas.

- Dobry sąsiad. - Chciała wnieść trochę lekkości do rozmowy, ale jej głos był nienaturalnie ożywiony. Nie pasował do atmosfery tak ciężkiej i przytłaczającej jak lato w Nowym Orleanie. Powietrze było duszne, nie miała czym oddychać.

- Nikt ci nie pomaga w prowadzeniu rancza? - spytała.

- Od czasu do czasu zatrudniam sezonowych pracowników. Większość z nich to amatorzy nart, którzy zarabiają w ten sposób na swoje hobby. Kiedy kończą im się pieniądze, pracują przez kilka dni, żeby starczyło na parę wjazdów i na jedzenie. Taki system urzęda zarówno ich, jak i mnie.

- Bo nie lubisz, jak w pobliżu kręci się dużo ludzi.

- To prawda.

Ogarnęło ją przygnębienie. Usiłowała się z niego otrząsnąć, zmieniając temat:

- Jeździsz na nartach?

- Trochę. A ty?

- Tak. A raczej jeździłam. - Spojrzała na swoją nogę. - Ten sezon pewnie będę musiała sobie darować.

- Niekoniecznie. Skoro kość nie została złamana.

- Może masz rację.

Jak się wydawało, było to wszystko, co mieli do powiedzenia. W milczącej zgodzie przerwali wymianę nic nie znaczących uwag i zajęli się tym, na co naprawdę mieli ochotę - patrzyli na siebie.

Cooper przyciął włosy, ale wciąż były niemodnie długie. Podobało jej się, że muskają kołnierzyk jego sportowej koszuli. Policzki i podbródek były gładko wygolone, ale wąsy pozostały z całą pewnością takie jak dawniej. Może bruzdy biegnące od ust były głębsze, co sprawiało, że jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej męską. Ciekawe, jakie to szczególne zmartwienie pogłębiło te bruzdy?

Jego ubranie nie pochodziło z wytwornych salonów, ale przyciągałby wzrok na Rodeo Drive i wyróżniałby się na tle tych wszystkich modnisiów. Błękitne džinsy same w sobie dodawały każdemu mężczyźnie więcej uroku niż jakakolwiek inna część ubrania. Na Cooperze wyglądały korzystniej niż na większości mężczyzn.

Bawełniana koszula opinała szeroką pierś. Zawinięte do łokci rękawy pozwalały podziwiać muskularne przedramiona. Miał ze sobą krótką kurtkę z brązowej skóry, która teraz leżała przerzucona przez poręcz krzesła. Wyglądał, jakby zapomniał o wszystkim z wyjątkiem kobiety stojącej w odległości półtora metra od niego, a jednak najwyraźniej oddalanej o lata świetlne. Nie mógł oderwać od niej oczu, rozbiierał ją spojrzeniem.

Rusty przeszedł dreszcz, zupełnie jakby rzeczywiście niecierpliwie zdierał z niej ubranie przed mającym nastąpić zbliżeniem. Niepewna, a jednocześnie podekscytowana obecnością mężczyzny, do którego tak bardzo tęskniła, Rusty niespokojnie obracała w rękę szklankę, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

Spojrzenie Coopera spoczęło ponownie na jej twarzy. Tęsknota i pragnienie bliskości, które na niej ujrzał, było odbiciem jego własnych odczuć. Rusty przemierzyła dzielący ich dystans, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Coopera. Wydawało się, że trwało to całe wieki, ale minęło zaledwie parę sekund, i już stała przed nim, wspierając się na kulach.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś - powiedziała zakłopotana.

- Do diabła! Nie mogłem wytrzymać z dala od ciebie. Całkowicie poddała się miłości do tego skomplikowanego mężczyzny.

Objął ją i ukrył twarz w miękkiej pachnącej dolince między piersiami. Po chwili przyciągnął Rusty jeszcze bliżej.

- Brakowało mi ciebie - przyznała cicho. Nie oczekiwała, że on uczyni podobne wyznanie. Nie zrobił tego. Ale żarliwość jego uścisku była niemy dowodem tego, jak bardzo za nią tęsknił. - Wydawało mi się, że słyszę twój głos, i odwracałam się, spodziewając się, że cię zobaczę. Albo zaczynałam coś do ciebie mówić, zanim uświadomiłam sobie, że ciebie tu nie ma.

- Cudownie pachniesz. - Delikatnie całował miękkie wewnętrzne krzywizny jej piersi.

- Pachniesz górami - zauważyła, całując jego włosy.

- Muszę... - Gorączkowo rozwiązywał supeł bluzki -...tylko jeden... - kiedy mu się to nie udało, poodrywał guziki - .. .raz. - Jego wargi zamknęły się na jej piersi wysuwającej się z miseczki stanika.

Gdy poczuła na skórze jego wargi, wygięła się i jęknęła. Zapragnęła rzucić kule i zanurzyć palce w jego włosy. Czowała je na swojej skórze, kiedy przesunął głowę i pocałował drugą pierś. Wydała z siebie przejmujący dźwięk przypominający szloch. To, że ma unieruchomione ręce, podniecało ją i frustrowało zarazem.

Sięgnął za jej plecy i odpiął stanik, po czym zsunął go tak, że ramiączka zatrzymały się w rękawach koszuli. Ale to wystarczyło. Całkowicie odsłonił piersi. Przez chwilę pożerał ją oczami, po czym objął wargami jeden sterczący różowy koniuszek i wciągnął go do ust. Ssał go czule, potem polizał sam koniuszek językiem, a wreszcie osuszył wąsami. Całą twarzą muskał jej piersi, ocierając się o nie policzkami, podbródkiem, ustami, nosem. Rusty, wsparta niepewnie na kulach, gorączkowo powtarzała jego imię.

- Powiedz mi, czego chcesz - wychrypiał.

- Chcę ciebie.

- Kobieto, masz mnie. Czego chcesz?

- Chcę dotykać. Być dotykana.

- Gdzie?

- Cooper...

- Gdzie?

- Wiesz gdzie - zawołała.

Puściła kule, które upadły z trzaskiem na podłogę. Przechyliła się lekko do przodu i oparła ręce na barkach Coopera. Wówczas on zsunął się z krzesła i padł przed nią na kolana.

Głaskał ją, przytulał, pieścił, szeptał czułe słowa. Po jakimś czasie wstał i wziął ją na ręce.

- Którędy? - Kiedy pochylił się nad nią, jego twarz była łagodniejsza niż kiedykolwiek.

Uniosła rękę i wskazała w kierunku sypialni. Trafił tam bez kłopotu. Ponieważ ostatnio spędzała w tym pokoju wiele czasu, to było w nim po domowemu przytulnie, co najwyraźniej mu się spodobało. Wnosząc Rusty przez drzwi, uśmiechnął się. Delikatnie postawił ją na lewej nodze i odrzucił przykrycie na łóżku, Pomógł jej usiąść i ściągnąć bluzkę. Zdjęcie stanika wymagało tylko zsunięcia ramiączek. Usiadła przed nim całkiem naga i zdumiewająco bezwstydna. Musnął różowe otarcie od wąsów na wrażliwej skórze.

- Zawsze zostawiani na tobie jakiś ślad - powiedział z odcieniem żalu. - Przykro mi.

- Mnie nie.

- Przygotuj się, dziecinko. Czeka cię mnóstwo przeżyć. Rusty mimo wszystko nie była przygotowana na to, co nastąpiło. Westchnęła urywanie i zadrzała, kiedy się połączyli.

- Nie mogę nic robić, tak cię pragnę - szepnął niskim głosem wprost w jej ucho. - Nie mogę pracować. Spać. Jeść. Już nie znajduję spokoju w moim domu na odludziu. Zburzyłaś mój spokój. Góry już nie wydają mi się piękne. Przysłoniła mi je twoja twarz.

Zakołysał się na niej i przesunął wyżej, moszcząc się wygodniej.

- Myślałem, że zdołam o tobie zapomnieć, ale dotychczas mi się to nie udało. Nawet wybrałem się do Vegas i wynająłem prostytutkę na wieczór. Kiedy poszliśmy do hotelu, po prostu siedziałem, wpatrywałem się w nią i piłem, próbując wzbudzić w sobie pożądanie. Wypraktykowała na mnie parę najwymyślniejszych sztuczek, ale ja nie czułem absolutnie nic. Nie mogłem tego zrobić. Nie chciałem. Wreszcie odesłałem ją do domu, zanim rozczarowała się mną tak jak ja samym sobą.

Wtulił twarz w jej włosy.

- Ty rudowłosa czarownico, co mi zrobiłaś? Było mi dobrze, rozumiesz? Dobrze, dopóki nie pojawiłaś się ty, ze swoimi aksamitnymi, wilgotnymi ustami i jedwabistą skórą. Teraz moje życie nie jest nic warte. Wszystko, o czym myślę, widzę, słyszę, dotykam, smakuje, wącham, to ty. Ty!

Wargami przywarł do jej warg. Rozdzielił je natarczywym językiem.

- Muszę cię mieć! Muszę! Teraz!

Przywarł do niej całym ciałem, jakby chciał stopić się z nią w jedno. Z jękiem rozkoszy pochylił głowę ku jej piersi. Wezwał wszystkie moce niebieskie i piekielne, by uwolniły go od tej udręki. Czuła na piersiach jego gorący, urywany oddech. Miał zaczerwienioną skórę. Paliła jej dłonie, którymi przesuwiała po drgających, naprężonych mięśniach jego pleców i ud. Zagarnęła jego twarde pośladki i przycisnęła go jeszcze mocniej. Wykrzyczał jej imię i znów przycisnął wargi do jej ust.

Rusty nie czuła się pokonana jego męską siłą, choć nie byłoby w tym nic dziwnego. Przeciwnie, miała wrażenie, że jest wolna i nieskrępowana, gotowa fruwać, wzbić się do granic wszechświata. Otworzyła dla niego nie tylko swoje ciało, ale serce i duszę. On musiał to odczuwać! Musiał to wiedzieć!

Była pewna, że tak jest. Bez końca powtarzał jej imię. Głos miał ochryply z emocji. Ale na ułamek sekundy przedtem, zanim zupełnie przestał panować nad sobą, poczuła, że zamierza się wycofać.

- Nie! Ani się waż.

- Tak, Rusty, tak.

- Kocham cię, Cooper. Chcę cię! Całego.

- Nie, nie -jęknął w rozpacz i ekstazie zarazem.

- Kocham cię.

Zaciskając zęby i odsłaniając je, odrzucił głowę do tyłu i poddał się uniesieniu z długim niskim pierwotnym jękiem, pochodzącym z głębi jego duszy.

### Rozdział 13

Opadł bezwładnie, bezgranicznie szczęśliwy. Przytuliła go do siebie mocno, z niemal macierzyńską czułością.

Minęło sporo czasu, zanim odzyskał siły na tyle, by się poruszyć, ale nie spieszyło się im. Wreszcie rozłączyli się i Cooper odwrócił się na plecy, przygarniając Rusty ramieniem. Wygodnie umościła się w jego objęciach i wpatrywała się w rozpogodzoną twarz ukochanego. Położyła głowę na jego piersi i pogładziła mu dłonią brzuch, przeczesując wilgotne włosy.

- Robiłeś tak nie tylko ze mną, mam rację? - Intuicja mówiła jej, że Cooper po raz pierwszy od bardzo długiego czasu doprowadził miłosny akt do końca.

- To prawda.

- Nie chodziło o to, że mogłabym zajść w ciążę, prawda?

- Nie.

- Dlaczego kochałeś się w ten sposób, Cooper?

Otworzył oczy i popatrzył na nią niepewnie. Ten, którego uważała za nieustraszonego, obawiał się jej, nagiej kobiety leżącej ulegle obok niego, zafascynowanej nim i bez reszty poddanej jego urokowi.

- Dlaczego narzuciłeś sobie taką samodyscyplinę? - spytała łagodnie. - Powiedz mi.

- Była pewna kobieta.

Aha, to ta kobieta, pomyślała Rusty.

- Miała na imię Melody. Poznałem ją wkrótce po powrocie z Wietnamu. Byłem skołowany. Zgorzkniały. Pełen gniewu. Ona... - rozłożył bezradnie ręce - ... pomogła mi znów spojrzeć na świat z odpowiedniej perspektywy, nadała memu życiu cel. Studiowałem w college'u w ramach programu pomocy dla byłych żołnierzy. Mieliśmy się pobrać, jak tylko skończę studia. Myślałem, że wszystko się ułoży. Tak było. Do czasu.

Ponownie zamknął oczy i Rusty domyśliła się, że Cooper zbliża się do najtrudniejszej części opowieści.

- Zaszła w ciążę. Bez mojej wiedzy dokonała aborcji. - Zwinął dłonie w pięści i zacisnął szczęki. Rusty drgnęła, kiedy gwałtownie odwrócił się ku niej.

- Zabiła moje dziecko! Po tych wszystkich okropnościach, których byłem świadkiem, ona...

- Tak mi przykro, Cooper, kochany! Tak mi przykro!

- Taak.

- Od tamtej pory byłeś na nią wściekły?

- Na początku tak. Potem zniechęciłem się na nią wściekły.

Wiedziała, co dzieje się w mojej głowie, co czuję. Nakłoniła mnie, żebym opowiedział jej o obozie jenieckim i o wszystkim, co się tam wydarzyło.

- Uznałeś, że nadużyła twego zaufania?

- Nadużyła zaufania i oszukała mnie. - Poduszczką kciuka startł łzę spływającą po policzku Rusty. - Trzymała mnie w ramionach, kiedy płakałem jak dziecko, opowiadając jej o kumplach, których... zabito na moich oczach. Opowiedziałem jej o piekle, przez które przeszedłem, zanim uciekłem, i o tym, co robiłem, żeby przeżyć, zanim mnie uratowano. I o tym, jak leżałem w stosie gnijących, cuchnących ciał, żeby znów mnie niezapano...

- Cooper, nie. - Rusty objęła go i mocno przytuliła.

- Poszła i zabiła nasze dziecko. Po tym, jak widziałem dzieci rozszarpane na strzępy, pewnie sam zabiłem kilkoro, ona...

- Cii, cii. Cooper, nie.

Rusty przytuliła jego głowę do piersi i szeptała uspokajająco, gładząc go po włosach. Łzy zamgliły jej wzrok. Rozumiała jego ból i żałowała, że nie może go wziąć na siebie. Pocałowała go w czubek głowy.

- Tak mi przykro, kochany. Tak bardzo przykro.

- Rozstałem się z Melody. Przeprowadziłem się w góry, kupiłem konie i bydło, zbudowałem dom.

I mur wokół siebie, pomyślała ze smutkiem Rusty. Nic dziwnego, że odsunął się od ludzi. Został oszukany dwukrotnie - przez swój kraj, który nie chciał, by mu przypominano o przeszłości, a potem przez kobietę, którą kochał i której ufał.

- Pilnowałeś się, by żadna kobieta nie *zaszła* z tobą w ciążę? Uwolnił głowę i spojrzał Rusty w oczy.

- To prawda. Aż do dziś. Dopiero z tobą. Nie potrafiłem się powstrzymać. - Pocałował ją mocno. - Chciałem, żeby to trwało wiecznie.

Nie przestając się uśmiechać, powiedziała:

- A mnie się zdawało, że trwa.

On też się uśmiechnął, zadowolony z siebie niczym chłopiec.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Tym razem zostawiłem ci szczególny ślad. Nosisz w sobie część mnie. - Potarł wargami jej obrzmiałe od pocałunków usta.

- Tego właśnie chciałam. Tym razem nie pozwoliłabym ci się wycofać.

- Nie? - W oczach pojawił mu się żartobliwy błysk. - A *co* byś zrobiła?

- Walczyłabym z tobą. Tak bardzo cię pragnęłam. Całego. W odpowiedzi złożył na jej ustach pocałunek.

- Jedna z rzeczy, która podoba mi się w tobie najbardziej to... - Przesunął wargi na jej szyję.

- Tak?

- To, że zawsze wyglądasz, jakbyś była po królewsku... - tu użył wulgarnego określenia, któremu tylko on potrafił nadać zmysłowy odcień.

- Cooper! - Rusty, udając, zrobiła obrażoną minę. Roześmiał się szczerze, beztrósco, serdecznie. Takim go jeszcze nie widziała.

- Cooper! - przedrzeźniał ją. - To przecież nie moja wina, że tak seksownie wyglądasz. - Wyciągnął rękę i przejechał kciukiem po jej dolnej wardze. - Nie mogę nic na to poradzić, że twoje usta zawsze wyglądają tak, jakby niedawno je całowano i jakby błagały o więcej, a twoje piersi są zawsze w pogotowiu.

- W pogotowiu? - spytała bez tchu, kiedy objął jedną z nich.

- Hmm. To chyba nie moja wina, *co*?

- Szczerze mówiąc, tak.

Podobała mu się ta odpowiedź. Nie ustawał w pieszczotach.

- W pogotowiu na *co*, Cooper?

Pochylił się do przodu i zademonstrował to, używając warg i języka.

Rusty poczuła w dole brzucha znajome słodkie pulsowanie. Z westchnieniem ujęła głowę Coopera i odsunęła od siebie. Spojrzał na nią zdumiony, ale nie opierał się, kiedy pchnęła go na poduszki.

- Co robimy teraz? - spytał.

- Zamierzam dla odmiany trochę się z tobą pokochać.

- Myślałem, że właśnie to robiłaś.

Potrząsnęła potarganą głową. W jakimś momencie jej koński ogon rozwiązał się.

- Ty się kochałeś ze mną.

- A na czym polega różnica?

Uśmiechając się, z oczami pełnymi obietnic, wyciągnęła się przy nim i zaczęła delikatnie przygryzać zębami skórę na jego szyi.

- Poczekaj, a przekonasz się.

Później, dużo później leżeli w uścisku, wyczerpani i szczęśliwi. Po jakimś czasie Rusty spytała:

- Jak wyglądało twoje życie w rodzinnym domu?

- Życie rodzinne? - Zbierając myśli, bezwiednie pocierał stopą o jej lewą nogę, uważając, by nie urazić prawej nogi, tej z blizną. - To było tak dawno temu. Właściwie wszystko, co pamiętam o ojcu, to że codziennie wychodził do pracy. Był sprzedawcą. W pracy dostał w końcu ataku serca i umarł na miejscu. Chodziłem wtedy do podstawówki. Matka nigdy nie przestała być na niego wściekła za tę przedwczesną śmierć i za to, że zostawił ją samą. Nigdy nie przestała też być wściekła na mnie za to... że istnieję, jak się domyślam. W każdym razie byłem dla niej tylko ciężarem. Musiała pracować, żeby utrzymać nas oboje.

- Nie wyszła powtórnie za męża?

- Nie.

Matka prawdopodobnie obwiniała swego syna również i za to, że nie znalazła kolejnego partnera. Rusty wypełniła puste miejsca układanki i uzyskała kompletny obraz. Cooper dorastał niekochany. Nic dziwnego, że kiedy wyciągała się do niego życzliwa dłoń, gryzł ją, zamiast się jej uchwycić. Nie wierzył bliźnim. Jego życie osobiste było znaczone bólem, rozczarowaniem i zdradą.

- Po skończeniu szkoły średniej wstąpiłem do piechoty morskiej. Matka zmarła podczas pierwszego roku mojej służby w Wietnamie. Na raka piersi. Należała do kobiet, które są zbyt uparte, żeby dać się zbadać, zanim będzie za późno.

Rusty przepeśniało współczucie dla tamtego samotnego, niekochanego dziecka. Takie nieszczęście! W porównaniu z nim, jej było tak łatwo.

- Moja matka też zmarła.

- A potem straciłaś brata.

- Tak, Jeffa.

- Opowiedz mi o nim.

- Był wspaniały - powiedziała z czułym uśmiechem. -Wszyscy za nim przepadali. Był przyjacielski: taki typ człowieka, który wszędzie ma znajomych, jest powszechnie lubiany. Miał wyjątkowe zdolności przywódcze. Potrafił poradzić sobie w każdej sytuacji, nie było dla niego przeszkód.

- Wystarczająco często ci o tym przypominano, co? Szybko uniosła głowę do góry.

- Co masz na myśli?

Cooper przez chwilę zastanawiał się, czy rozsądnie będzie ciągnąć tę rozmowę, ale w końcu uznał, że tak.

- Czy twój ojciec bez przerwy nie stawia ci brata za wzór?

- Jeff miał przed sobą obiecującą przyszłość w branży nieruchomości. Ojciec chce tego samego dla mnie.

- Pytanie tylko, czy bierze pod uwagę, że to ma być twoja przyszłość, a nie przyszłość twego brata?

Wsunęła się z uścisku i przerzuciła nogi na brzeg łóżka.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Akurat. Wszystko, co powiedziałaś o ojcu i bracie, naprowadza mnie na myśl, że oczekuje się od ciebie, byś zajęła miejsce Jeffa.

- Ojciec chce tylko, żeby mi dobrze szło.

- Chce tego, co on uważa za dobre. Jesteś piękną, inteligentną kobietą. Kochającą córką. Masz własną pracę i odnosisz w niej sukcesy. Czy to mu nie wystarcza?

- Nie! To znaczy tak, oczywiście, że to wystarcza. On tylko chce, żebym w pełni wykorzystywała swoje zdolności.

- Albo zastąpiła Jeffa. - Próbowала wstać, ale przytrzymał ją za barki. - Weźmy tę wyprawę nad Wielkie Jezioro Niedźwiedzie.

- Mówiłam ci, że to był mój pomysł, nie ojca.

- Dlaczego uważałaś, że musisz to zrobić? Dlaczego uznałaś, że na tobie spoczywa obowiązek utrzymania tradycji, którą dzielił z Jeffem? Wybrałaś się tam, bo myślałaś, że to ucieszy ojca.

- Co w tym złego?

- Nic. O ile był to tylko gest poświęcenia, miłości. Ale tak sobie myślę, że pojechałaś tam, by mu coś udowodnić. Chciałaś, aby ojciec się przekonał, że jesteś równie doskonała jak Jeff.

- Cóż, nie udało mi się.

- Właśnie o to mi chodzi. Nie lubisz polowania ani łowienia ryb. I co z tego? Czy każdy musi to lubić?

- Nic nie rozumiesz, Cooper.

- Oczywiście, że nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego to, że jesteś taka, jaka jesteś, nie wystarcza twemu ojcu. Dlaczego bez przerwy musisz mu udowadniać swoją wartość? Stracił syna; to nieszczęście, przyznaję. Ale ma jeszcze córkę. I próbuje ją zmienić w kogoś, kim ona nie jest. Oboje macie obsesję na punkcie Jeffa. Cokolwiek robił, na pewno nie potrafił chodzić po wodzie.

- Świetnie ci idzie głoszenie kazań o cudzych obsesjach. Za to ty obsesyjnie pielęgnujesz swój ból. Upajasz się swoją rozpaczą.

- Bzdura!

- Tak właśnie jest. Łatwiej ci siedzieć na tej twojej górze, niż żyć wśród ludzi. Wówczas może musiałbyś się trochę otworzyć, pozwolić innym zobaczyć, jaki jesteś naprawdę. A to cię przeraża, prawda? Bo mógłbyś zostać zdemaskowany. Ktoś mógłby odkryć, że nie jesteś twardym, zimnym, nieczułym draniem, za jakiego chcesz uchodzić. Ktoś mógłby uznać, że potrafisz dawać i brać miłość.

- Dziecinko, porzuciłem wiarę w miłość wiele lat temu.

- Co to w takim razie było? - Wskazała na łóżko.

- Seks. - Postarał się, by zabrzmiało to tak wulgarnie, jak tylko się dało.

- Nie dla mnie. Kocham cię, Cooper.

- Tak powiedziałaś.

- I to prawda.

- Byłaś ogarnięta namiętnością, kiedy to powiedziałaś. To się nie liczy.

- Nie wierzysz, że cię kocham?

- Nie. Miłość nie istnieje!

- Nieprawda. - Zagrała kartą atutową. - Wciąż kochasz swoje nie narodzone dziecko.

- Zamknij się! - Wciąż się martwisz tym, co się stało, bo je kochałeś. Wciąż kochasz tych wszystkich kumpli, którzy umierali na twoich oczach w obozie dla jeńców.

- Rusty...

- Patrzyłeś, jak twoja matka marnuje życie na pielęgnowaniu swego gniewu i goryczy. Żywiła się swoim nieszczęściem. Czy ty chcesz zniszczyć swoje życie w ten sam sposób?

- Lepsze to niż żyć tak jak ty, bez przerwy dokładając starań, by być kimś, kim nie jesteś.

Stali teraz naprzeciw siebie jak najgorsi wrogowie. Wściekli, obrażeni na siebie, zranieni. W ferworze kłótni nie usłyszeli dzwonka u drzwi. Dopiero kiedy Bill Carlson zawołał córkę po imieniu, uświadomili sobie, że nie są sami.



- Rusty!  
- Tak, ojciec. - Błyskawicznie usiadła na skraju łóżka i zaczęła gwałtownie naciągać ubranie.

- Wszystko w porządku? Czyj to poobijany stary samochód stoi na podjeździe?  
- Już idę, ojciec.

Cooper ubierał się ze znacznie większym spokojem niż Rusty. Ciekawe - przyszło jej do głowy - czy po raz pierwszy znalazł się w tak niezręcznej sytuacji, czy też może zdarzało mu się uciekać z domu kochanki, której mąż nieoczekiwanie pojawił się w drzwiach? Kiedy się ubrali, pomógł jej wstać i podał kule. Razem przeszli z sypialni do holu. Zarumieniona, świadoma swego wyglądu, który nasuwał jednoznaczne skojarzenia, Rusty weszła do salonu.

Ojciec niecierpliwie chodził tam i z powrotem. Na widok Coopera twarz mu się ściągnęła. Zmierzył go zimnym spojrzeniem, a potem spojrzał oskarżycielsko na córkę.

- Nie mogłem znieść myśli, że dziś się nie zobaczymy.  
- Dziękuję, ojciec, ale naprawdę nie musisz zaglądać do mnie codziennie.  
- Właśnie widzę.  
- Przypominasz sobie... pana Landry'ego?

Mężczyźni wymienili chłodne ukłony, mierząc się wzrokiem jak przeciwnicy, których walka ma zdecydować o losach bitwy. Cooper uparcie milczał. Rusty nie mogła mówić, była zbyt zakłopotana. Bill Carlson pierwszy przerwał pełną napięcia ciszę.

- Właściwie dobrze się składa - powiedział. - Muszę omówić z wami pewną sprawę. Może usiądziemy.

- Oczywiście - powiedziała Rusty nerwowo. - O, przepraszam. Cooper? - Wskazała mu fotel. Po krótkim wahaniu zajął miejsce. Wyniosłość Coopera działała jej na nerwy. Rzuciła mu pełne wyrzutu spojrzenie, ale on nie spuszczał wzroku z jej ojca. Tak samo czujnie obserwował obu Gawryłowów. Ta myśl ją zaniepokoiła. Jaki związek dostrzegł między nimi a ojcem? Podeszła do krzesła, na którym siedział ojciec.

- O czym chciałeś z nami rozmawiać? - spytała.  
- O budowie, o której wspominałem ci przed paroma tygodniami.

Rusty nagle zabrakło powietrza. Policzki jej pobrały, a dłonie zwilgotniały od potu.

- Miałam wrażenie, że już wszystko ustaliliśmy. Carlson zaśmiał się pobłaźliwie.  
- Niezupełnie. Ale zrobimy to teraz. Nasi inwestorzy przenieśli kilka konkretnych pomysłów na papier. Chcieliby poddać te pomysły pod rozwałę panu Landry'emu.  
- Czy ktoś wreszcie powie mi, o co tu, u diabła, chodzi? - przerwał brutalnie Cooper.  
- Nie!

- Oczywiście, że tak. - Carlson zignorował protest córki i zabrał głos. Z typową dla siebie pewnością przedstawił w skrócie pomysł przekształcenia terenów wokół Rogers Gap w ekskluzywny kurort narciarski.

W podsumowaniu powiedział:

- Kiedy tego dokonamy, współpracując wyłącznie z najbardziej twórczymi architektami i budowniczymi, to miejsce prześcignie Aspen, Vail, Keystone, wszystkie ośrodki w Górach Skalistych i wokół jeziora Tahoe. Założę się, że za parę lat będziemy mogli ubiegać się o organizację zimowych igrzysk olimpijskich.

- Odchylił się do tyłu na krześle i z szerokim uśmiechem spytał - I cóż, panie Landry, co pan o tym myśli?

Cooper, który nawet nie mrugnął okiem podczas przemowy Carlsona, powoli wyprostował się i wstał z fotela. Okrążył go kilkakrotnie, zupełnie jakby starannie rozważał usłyszaną propozycję. Ponieważ był właścicielem części ziemi, która wchodziła w grę - Carlson pilnie odrobił zadanie domowe - i zaproponowano mu dobrze płatne, eksponowane stanowisko lokalnego koordynatora całego projektu, mógł zarobić na tym interesie mnóstwo pieniędzy.

Carlson zerknął na córkę i mrugnął, pewien zwycięstwa.

- Co ja o tym myślę? - powtórzył Cooper.

- O to właśnie pytałem - powiedział Carlson. Cooper spojrział mu prosto w oczy.

- Myślę, że jest pan draniem, a pana pomysł jest godzien pogardy - rzucił bez ogródek, po czym dodał: - I, do pana wiadomości, pańska córka też nie lepsza.

Nawet nie pofatygował się zatrzasnąć za sobą drzwi, wychodząc. Dobiegł do nich warkot zapuszczanego silnika, a potem chrzęst żwiru, kiedy Cooper wyjeżdżał z podjazdu.

Carlson odchrząknął i powiedział:

- No cóż, widzę, że nie myliłem się co do niego.

Rusty, przekonana, że nigdy nie wyleczy się z rany zadanej przez Coopera, powiedziała apatycznie:

- Nie mogłeś się bardziej mylić, ojcze.

- Jest nietaktowny.

- Uczciwy.

- Mężczyzna bez ambicji i obycia.

- Bez pretensji.

- I najwidoczniej niemoralny. Wykorzystał twoją samotność i to, że jesteś niemal przykuta do łóżka.

Zaśmiała się cicho.

- Nie pamiętam, kto kogo zaciągnął do sypialni, ale Cooper z pewnością nie zmusił mnie do pójścia z nim do łóżka.

- A więc jesteście kochankami?

- Już nie - odparła ze łzami w oczach.

Cooper sądził, że go oszukała, tak samo jak tamta kobieta, Melody. Myślał, że była narzędziem w ręku swego ojca, wykorzystała łóżko dla osiągnięcia celu. Nigdy jej nie wybaczy, bo nie wierzy w jej miłość.

- Byłaś jego kochanką przez cały czas? Za moimi plecami?

Chciała zaprotestować. Mając dwadzieścia siedem lat, nie musi tłumaczyć się ojcu ze swego prywatnego życia. Ale po co? Jakie to miało znaczenie? Cała energia z niej uszła. Czowała się pozbawiona siły, zapędu, chęci do życia.

- Kiedy byliśmy w Kanadzie, tak. Zostaliśmy kochankami. Po wyjściu ode mnie z kliniki tamtego dnia pojechał do domu i pojawił się dopiero teraz. Dzisiejszego popołudnia.

- Z tego wynika, że najwidoczniej ma więcej rozsądku, niż sądziłem. Zdaje sobie sprawę, że kompletnie do siebie nie pasujecie. Jak większość kobiet, patrzysz na tę sytuację przez różową mgiełkę. Pozwalasz, by władały tobą uczucia zamiast rozumu. Myślałem, że jesteś ponad takie kobiece słabości.

- Cóż, myliłeś się, ojcze. Tak się składa, że jestem kobietą. I nieobce mi są zarówno słabości, jak i mocne strony mojej płci.

Wstał i przeszedł przez pokój. Uścisnął ją pocieszająco. Stała oparta na kulach, nie zauważył więc, jak zeszywniała, opierając się jego uściskowi.

- Widzę, że pan Landry znów sprawił ci przykrość. Naprawdę kawał drania z niego, że osmielił się powiedzieć coś takiego o tobie. Lepiej ci będzie bez niego, Rusty, uwierz mi. Jednak - ciągnął energicznie - nie możemy dopuścić, by jego brak oglądy przeszkodził nam w interesach. Zamierzam zrealizować nasze plany mimo jego sprzeciwów.

- Ojcze, błagam cię... Położył jej palec na ustach.

- Cicho. Nie rozmawiajmy już dziś na ten temat. Jutro poczujesz się lepiej. Jesteś wyczerpana emocjonalnie i fizycznie. Ta operacja tak szybko po katastrofie samolotu to chyba nie był najlepszy pomysł. Całkowicie zrozumiałe, że nie jesteś sobą. Pewnego dnia wróci ci rozsądek i znów będziesz dawną Rusty. Jestem przekonany, że mnie nie zawiedziesz.

- Pocałował ją w czoło. - Dobrej nocy, kochanie. Rzuć okiem na tę propozycję - powiedział,

wyjmując kilka kartek z eleganckiej teczki i kładąc je na stoliku do kawy. - Wpadnę jutro rano, jestem ciekaw twojej opinii.

Po jego wyjściu Rusty zamknęła frontowe drzwi i wróciła do sypialni. Wzięła długą, gorącą kąpiel w pianie. Kąpała się codziennie, odkąd lekarz powiedział jej, że może moczyć nogę. Ale nawet kiedy już się wytarła do sucha i posmarowała balsamem, jej ciało wciąż nosiło ślady miłości.

Patrząc na siebie w lustrze, przyznała, że Cooper miał rację. Faktycznie wyglądała tak, jakby przed chwilą opuściła ramiona kochanka. Jej łóżko wydało się zbyt obszerne i puste. Pościel wciąż nosiła zapach Coopera. W myśli przeżywała na nowo każdą chwilę, którą spędzili razem tego popołudnia - dawanie i branie rozkoszy. Wypowiadane szeptem przez Coopera nieprzyzwoite słowa odbijały się echem w jej głowie, sprawiając, że oblała się żarem.

Tęskniła za jego obecnością i przerażała ją myśl, że jej życie będzie składało się z pustych dni przeplatanych pustymi nocami.

Będzie miała swoją pracę, oczywiście.

I ojca.

Duże grono przyjaciół.

Spotkania towarzyskie.

To nie wystarczy!

Nie będzie przy niej mężczyzny, którego pokochała.

Usiadła na łóżku i otuliła się ciasno prześcieradłem, zupełnie jakby chciała zatrzymać coś, co w przeciwnym razie mogło jej uciec.

Miała wybór. Mogła przewrócić się na plecy jak owad i udawać martwą. Mogła też zacząć walczyć. Jej głównym przeciwnikiem byłby sam Cooper. Był uparty i nieufny. Ale w końcu udałoby jej się go zmęczyć i przekonać, że ona kocha jego, a on ją.

Oczywiście, że ją kocha! Mógł zaprzeczać aż do samej śmierci, ale ona nigdy nie uwierzy, że Cooper jej nie kocha, ponieważ - zaraz po tym, jak ojciec przedstawił ten obrzydliwy plan, zanim twarz Coopera skamieniała z pogardy - Rusty ujrzała w niej niezmierny ból. Nie miałyby władzy, żeby zranić go tak mocno, gdyby jej nie kochał.

Położyła się z powrotem. Wiedziała dokładnie, jak ma postąpić następnego dnia.

Ojciec został wzięty przez zaskoczenie. Strateg, przebiegły jak sam generał Patton, wpadł w pułapkę. Nie spodziewał się ataku zniecka.

Kiedy bez zapowiedzi pojawiła się w jego gabinecie następnego ranka, uniósł głowę znad lśniącego, polakierowanego na biało biurka i zawołał:

- Rusty! Co... co za urocza niespodzianka.
- Dzień dobry, ojczu.
- Dlaczego wyszłaś z domu? Zresztą nieważne. Cieszę się, że cię tu widzę.
- Musiałam się z tobą zobaczyć, a nie miałam ochoty czekać.
- Widzę, że czujesz się o wiele lepiej. Czy pani Watkinst zaproponowała ci kawę?
- Tak, ale podziękowałam.

Zwrócił uwagę na jej sportowe ubranie.

- Najwidoczniej nie zamierzasz iść do swego biura.
- Nie, nie zamierzam.

Przechylił głowę na bok, czekając na wyjaśnienie. Nie doczekał się, więc spytał:

- Gdzie masz kule?
- W samochodzie.
- Przyjechałaś sama? Nie sądziłem...
- Tak, prowadziłam samochód. Chciałam przyjść tu o własnych siłach i stać na własnych nogach.

Podniósł się i oparł o krawędź biurka. Niedbale skrzyżował, kostki nóg i złożył ręce na brzuchu. Rusty rozpoznawała tę postawę. Przybierał ją wówczas, kiedy czuł się przyparty do muru, a nie chciał pokazać przeciwnikowi, że tak jest.

- Rozumiem, że zapoznałaś się z projektem. - Płynnym ruchem głowy wskazał folder, który trzymała pod pachą.

- Tak.

- I?

Przedarła folder na pół. Rzucając papiery na lśniący blat biurka, powiedziała:

- Zostaw w spokoju Coopera Landry'ego. Porzuć projekt Rogers Gap. Dzisiaj.

Roześmiał się, rozbawiony jej zachowaniem, i wzruszył ramionami.

- Trochę na to za późno, Rusty, kochanie. Maszyna już została puszczone w ruch.

- To ją zatrzymaj.

- Nie mogę.

- A więc znajdziesz się w niezłych tarapatkach razem z tymi swoimi inwestorami, ojciec... - pochyliła się ku niemu - bo ja będę was zwalczać zarówno prywatnie, jak i publicznie. Skłonię każdą grupę zielonych w tym kraju, żeby przyszli z protestami do twoich drzwi. Nie wydaje mi się, żeby ci na tym zależało!

- Rusty, na litość boską, bądź rozsądna! - syknął.

- Jestem. Nabrałam rozsądku gdzieś między północą a drugą nad ranem. Zdałam sobie sprawę, że jest coś, co liczy się dla mnie o wiele bardziej niż najbardziej obiecująca transakcja. Coś ważniejszego niż zdobycie twojego uznania.

- Landry?

- Tak. - W jej głosie dźwięczało przekonanie. Nie pozwoli manipulować sobą dłużej.

Bill Carlson nie dawał za wygraną.

- Rzucasz wszystko, na co pracowałaś, żeby go mieć?

- Miłość do Coopera w żaden sposób mnie nie zubaża. Tak wielka miłość może tylko wzbogacać, nie niszczyć.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak śmieszne jest to, co mówisz? Nie obraziła się. Roześmiała się tylko.

- Chyba tak. Zakochani zawsze mówią od rzeczy, prawda?

- To nie jest zabawne, Rusty. Jeśli to zrobisz, nie będziesz miała odwrotu. Przede wszystkim stracisz swoje stanowisko.

- Nie sądzę, ojciec - powiedziała, demaskując jego blef. - Pomyśl, jak niekorzystnie wpłynęłoby na twoje interesy pozbycie się swego najbardziej wydajnego pracownika. - Wyciągnęła klucz z kieszeni kurtki. - Do mego gabinetu. - Rzuciła klucz na biurko. - Biorę bezterminowy urlop.

- Robisz z siebie idiotkę!

- Zrobiłam z siebie idiotkę nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. I to także z miłości.

- Odwróciła się i pomaszerowała do drzwi.

- Dokąd się wybierasz? - warknął Bill Carlson. Nie nawykł do tego, że ktoś go opuszcza.

- Do Rogers Gap.

- I co tam zamierzasz robić?

Rusty odwróciła się twarzą do ojca. Kochała go. Bardzo. Ale nie mogła poświęcać dla niego swego szczęścia. Z niezłomnym przekonaniem oświadczyła:

- Zamierzam zrobić coś, co Jeffowi nigdy by się nie udało. Zamierzam urodzić dziecko.

## Rozdział 14

Rusty stała na skale, wdychała głęboko chłodne, rześkie powietrze i podziwiała widok roztaczający się przed jej oczami. Nie mogła się nim nasycić. Niby ten sam, a jednak ciągle się zmieniał. Dziś niebo przypominało błękitną chińską wazę odwróconą dnem do góry. Śnieg wciąż jeszcze okrywał szczyty gór na horyzoncie. Ale drzewa mieniły się kolorami: od niebieskawej zieleni iglastych do delikatnej zieleni tych, które lada chwila pokryją się wiosennym kwieciami.

- Nie jest ci zimno?

Mąż stanął tuż za nią i objął ją. Wtuliła się w niego.

- Nie teraz. Jak się czuje żrebie?

- Je śniadanie - ku zadowoleniu swemu i swojej matki. Uśmiechnęła się i przechyliła głowę na bok. Cooper odchylił

odrobinę golf swetra żony i pocałował ją za uchem.

- A co słysząc u drugiej młodej mamy?

- Jeszcze nie jestem matką. - Westchnęła z zadowolenia, kiedy przejechał dużymi dłońmi po jej wypukłym brzuchu.

- Dla mnie tak wyglądasz.

- Myślisz, że ta moja nowa figura jest zabawna, prawda? - Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego przez ramię z udawanym oburzeniem, ale trudno było jej zachować taką minę, gdy mąż patrzył na nią z nie ukrywaną miłością.

- Kocham ją.

- A ja kocham ciebie. Pocałowali się.

- Ja też cię kocham - szepnął, kiedy wreszcie oderwał wargi od jej ust. Słowa, których jeszcze nie tak dawno nie był w stanie: wypowiedzieć, teraz przychodziły mu bez trudności. To Rusty nauczyła go miłości.

- Nie dałam ci wyboru.

- Tak, pamiętam ten wieczór, kiedy pojawiłaś się na progu; mego domu, przemoczona jak bezdomna kotka podczas burzy.

- Wziąwszy pod uwagę, przez co właśnie przeszłam, chyba wyglądałam całkiem nieźle?!

- Nie miałem pojęcia, czy cię pocałować, czy dać ci klapsa.

- Zrobiłeś jedno i drugie.

- Tak, ale klapsy nastąpiły znacznie później. Roześmieli się równocześnie, ale po chwili Cooper powiedział z powagą:

- Nie żartuję, naprawdę nie mogłem uwierzyć, że przejechałaś sama całą drogę w taką pogodę. Nie słuchałaś radia w samochodzie? Nie słyszałaś, że zapowiadano burzę? Przywiozłaś ze sobą pierwszą solidną burzę śnieżną sezonu. Za każdym razem, kiedy to sobie przypomnę, przenika mnie dreszcz. - Przyciągnął ją bliżej, skrzyżował ręce na jej piersiach i ukrył twarz we włosach.

- Musiałam zobaczyć cię natychmiast, zanim stracę odwagę. Przeszłabym przez piekło, żeby się tu dostać.

- Prawie ci się to udało.

- Wtedy pogoda nie wydawała mi się taka zła. Poza tym prze-; żyłam katastrofę samolotu. Czym jest przy niej odrobina śniegu?

- Ładna mi odrobina. A poza tym była jeszcze ta twoja chora noga.

Wzruszyła lekceważąco ramionami. Ku uciesze obojga przy tym geście jej piersi wzniosły się ku górze i opadły przy jego dłoniach. Cooper, szepcząc słowa uznania, nakrył je i masował delikatnie, świadomy dolegliwości, jakie jej ostatnio sprawiały w związku z ciążą.

- Bolała? - spytał.

- Trochę.

- Chcesz, żebym przestał?
- Ani się waż!

Zadowolony z odpowiedzi wsparł podbródek na czubku głowy Rusty i kontynuował masaż.

- Cieszę się, że operacja nogi musiała zostać przełożona, aż urodzi się dziecko - powiedziała. - To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko patrzeniu na moją szkaradną bliznę.
- Zawsze zamykam oczy, kiedy się Kochamy.
- Wiem. Ja robię to samo.
- To skąd wiesz, że mam zamknięte oczy?

Znów się roześmieli, bo żadne z nich nie zamykało oczu, kiedy się kochali. Byli zbyt pochłonięci wpatrywaniem się w siebie i zafascynowani widokiem swych złączonych ciał. Kiedy obserwowali jastrzębia, który powoli zataczał w powietrzu koła, schodząc w dół, Cooper spytał:

- Pamiętasz, co powiedziałaś tamtego wieczoru, jak tylko otworzyłem drzwi?
- Powiedziałam: Musisz mi pozwolić się kochać, Cooperze Landry, nawet gdyby miało cię to zabić!

Zaśmiał się cicho na wspomnienie tej chwili i zrobiło mu się ciepło na sercu, tak samo jak wtedy, kiedy pomyślał o jej odwadze, która skłoniła ją do przyjazdu do niego i złożenia tego zdumiewającego oświadczenia.

- Co byś zrobiła, gdybym zatrzasnął ci drzwi przed nosem?
- Ale nie zrobiłaś tego.
- Założmy, że zrobiłem. Zastanawiała się przez chwilę.
- I tak jakoś bym się wdarła do środka, rozebrała do naga, przysięgła ci wieczną miłość i oddanie i zagroziła użyciem siły, jeśli mnie nie będziesz kochał.
- To właśnie zrobiłaś.
- Och, tak - zaśmiała się cicho. - Cóż, po prostu robiłabym to, aż przestałbyś mi odmawiać.

Przysunął wargi do jej ucha.

- Padłaś przede mną na kolana i błagałaś mnie, żebym cię poślubił i dał ci dziecko.
- Jaką masz dobrą pamięć!
- To jeszcze nie wszystko, co zrobiłaś, klęcząc przede mną. Obróciła się w jego ramionach i powiedziała słodko:
- Nie słyszałam, żebyś się skarżył. A może te urywane zdania wychodzące z twoich ust były skargami?

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu i dając upust szczerzej radości - co zdarzało mu się teraz często. Bywały momenty, kiedy stawał się na powrót zamyślony, zamknięty w sobie, jak dawniej. Wracał pamięcią do bolesnej przeszłości, dokąd nie mogła za nim podążyć. Ale nagrodą było to, że mogła przywrócić go teraźniejszości. Cierpliwie, z miłością wymazywała dręczące wspomnienia i zastępowała je innymi, szczęśliwymi.

Teraz pocałowała go w spaloną słońcem szyję i powiedziała:

- Lepiej chodźmy do domu i przygotujmy się do wyprawy do Los Angeles.

Raz w miesiącu jeździli do miasta, gdzie spędzali dwa, trzy dni w domu Rusty. Jadali w eleganckich restauracjach, chodzili na koncerty i do kina, robili zakupy, a nawet od czasu do czasu u brali udział w spotkaniach towarzyskich. Rusty utrzymywała kontakty z dawnymi przyjaciółmi, ale cieszyły ją nowe przyjaźnie, które Cooper i ona nawiązali jako para. Mąż, kiedy chciał, potrafił być naprawdę czarujący i umiał prowadzić rozmowę na wiele tematów. Podczas ich pobytu w mieście Rusty załatwiała służbowe sprawy, które wymagały jej decyzji. Po ślubie awansowała na wiceprezesa w firmie prowadzonej przez ojca.

Cooper pracował społecznie jako doradca w grupie terapeutycznej weteranów wojennych. Zainicjował kilka programów samopomocy, które podchwycono w innych stanach.

Teraz, objęci ciasno, weszli do domu ukrytego w sosnowym lasku, z widokiem na oszałamiająco piękną dolinę. Na górskich pastwiskach poniżej linii drzew pasły się konie i bydło.

- Wiesz - zauważył Cooper, kiedy się znaleźli w sypialni o oszklonych ścianach - wspomnienia wieczoru, kiedy tu przybyłaś, sprawiły, że jestem cały podniecony. - Ściągnął koszulę.

- Zawsze jesteś podniecony. - Rusty ściągnęła sweter przez głowę. Kiedy byli w domu sami, nie nosiła stanika.

Na widok jej powiększonych piersi rozpiął dżinsy i podszedł do niej rozkołysanym krokiem.

- To zawsze jest twoja wina.

- Naprawdę mnie pragniesz, mimo że jestem taka bezkształtna? - Wskazała na swój zaokrąglony brzuch.

Zamiast odpowiedzi ujął jej dłoń i wsunął sobie w spodnie. Kiedy objęła jego męskość, jęknął cicho.

- Pragnę cię. - Ugiąłszy kolana, pocałował kremową pierś. - Jak długo będziesz sobą, będę cię kochał, Rusty.

- Cieszę się. - Westchnęła przeciągle. - Ponieważ, tak samo jak po katastrofie samolotu, jesteś na mnie skazany.